

Jacek
Sawaszkiwicz

Czekając

opowiadania



Czekając

Dzisiaj przyszły zaraz po kolacji. Pozaklejały pajęczastymi odwłokami wszystkie iluminatory. Do środkowego przylgnęły nawet trzy. Widziałem ich pałające ślepie. Patrzyły łakomie na szczątki radaru, których nie zdążyłem znieść do pakamery. Może zresztą chodziło im nie tylko o radar. Rzucona na poręcz fotela bluza miała niklowane zapięcia, które w argonowym świetle błyszczały jak wyzwanie. A uchwyty wieszaka, zamki przy drzwiach, gazoszczelne listwy ościeżnic, wreszcie całe stalowe ożebrowanie bazy? Poprzez pięciometrową warstwę bazaltu potrafiły wyczuć metal. Martwy metal. Ożywiony, pulsujący choćby najbardziej nikłymi impulsami prądu, nie wzbudzał w nich zainteresowania. Dlatego zniszczyły anteny, kiedy przełączyłem radiostację na odbiór.

Oxygenie.

Metalozercze hieny.

Pierwsze osobniki pojawiły się w rok po moim przybyciu.

„Cratersos” prowadził badania przez szesnaście tygodni. Potem automaty roztopiły bloki bazaltu i uformowały zewnętrzną konstrukcję bazy o kopulastym sklepieniu. Jej dolne kondygnacje sięgały dziesięciu metrów w głąb macierzystej skały.

Inna partia automatów uprzętnęła okolicę z granitowych okruchów i zainstalowała urządzenia pomiarowe. 29 niezależnych agregatów rejestrujących na trasie, której objazd zajmował cały dzień. I trzeba się było śpieszyć. Z Ageny docierały tak skąpe ilości promieni, że temperatura w południe nie przekraczała minus 50 stopni Celsjusza. Nocą spadała do minus 100. Akryonowe skafandry wytrzymują temperaturę krzepnięcia spirytusu.

Prace montażowe trwały dwie doby. W ciągu trzeciej przeprowadzono próby. Potem „Cratersos” odleciał. Stałem przed bazą i patrzyłem na rozpalone hipergolem dysze rakiety coraz bardziej przypominające krążek Ageny. Piargi usypane przez automaty rzucały słabnący cień na skalisty teren. Aż powróciła granatowa ciemność dnia. Ciemność rozrzedzona słabym brzaskiem odległej gwiazdy.

Byłem sam. Bo Theta to martwy glob.

Tak początkowo myślano.

Kilkanaście miesięcy później podczas obchodu, gdy pochylałem się nad kolejnym

rejestratorem, dostrzegłem ruch. Na widnokregu, gdzie widniał masyw płaskowyżu o postrzępionych, inkrustowanych srebrną nitką konturach, przemknął cień. Jak gdyby rzucony skrzydłami niewidzialnego ptaka. Mogło to być złudzenie - tak wtedy sądziłem. Przerwałem pracę i zbadałem wzrokiem otoczenie. Cisza i bezruch. Tylko na granitowym niebie pomrugiwały niemo punkty gwiazd z najjaśniejszą Ageną stojącą właśnie w zenicie.

Następny tydzień upłynął pod znakiem monotonnej pracy. Wieczorami prowadziłem długie rozmowy z dyżurnymi pilotami „Cratersosa”, grałem z nimi w szachy. Nie oczekiwali żadnych rewelacji. W ciągu czterech miesięcy „Cratersos” wprost przenicował planetę. Wiedzano o niej tyle, co o Ziemi. A jednak zostałem. Bo nawet na Ziemi może wydarzyć się coś, czego nie przewidzą ludzie i maszyny.

Żeby latami wytrzymać rytm pracy i odpoczynku dwudziestogodzinnej doby, trzeba niesłychanej odporności psychofizycznej i pomocy urządzeń terapeutycznych. Zostawiono mi takie urządzenia. Fizycznie także byłem sprawny. Ale mój system nerwowy uległ rozstrojeniu. Zauważyłem to już przy pierwszym spotkaniu z Oxygeniami. Możliwie najszybciej skończyłem przegląd przyrządów pomiarowych i wróciłem do bazy. Od tego dnia nie wychodziłem bez miotacza.

Drugi raz zetknąłem się z nimi również przypadkowo. Wyjechałem na obchód jak zwykle o ósmej czasu miejscowego. Dzień na Thecie trwa tyle co noc i jest niezmienny przez okrągły rok.

Gdy dotarłem do najbliższego rejestratora, już tam były. Zresztą może miałem do czynienia z jednym osobnikiem. Wyglądało to jak czarna plama, skupisko zawieszzone w powietrzu kurzu o rozczłonkowanej formie. Stwór falował, chwilami przestawał być widoczny na tle atramentowego nieba i tylko gasnące gwiazdy wskazywały kierunek, w którym się poruszał. Sięgnąłem po miotacz, ale cel zniknął. Jak gdyby rozpuścił się w atmosferze.

W meldunku do „Cratersosa” nie pisałem słowa o swych spostrzeżeniach. Wmawiałem sobie, że mam do czynienia z majakami, brałem środki uspokajające i podłączałem się na noc do aparatury terapeutycznej. Sypiałem dobrze. Ale po przebudzeniu natychmiast czyściłem broń.

Zaczęły za mną chodzić. Najpierw pojedynczo, później łączyły się w grupy. Przybierały najdziwniejsze kształty, jak gdyby przymierzały powłoki cielesne, czekając, aż którąś z nich zaakceptuję. Wreszcie przestały eksperymentować. Pozostały przy wyjątkowo odrażającym wyglądzie: z kulistego odwłoka wyrastało osiem pająkowatych nóg, drżących i chwiejnych, wypustkowato ruchomych, niczym macki kałamarnicy. A w centrum korpusu

płonęło zimnym światłem okrągłe oko, jak Agena na czarno-granatowym niebie. A może to był otwór gębowy?

Strzelałem. Wpierw chaotycznie, potem z większą precyzją. Roztopiały się na tle hebanowych wzgórz, powoli, niemal z majestatem. Pojawiały się na powrót, w sposób zgoła nieoczekiwany, jak gdyby przywołane do życia lokalnym zagęszczeniem atmosfery. Efemerydy.

Oxygenie-zjawy.

Tak je nazwałem, chyba ze względu na środowisko. Powłoka gazowa Thyty zawiera tlen w różnych odmianach alotropowych i bez żadnych domieszek. Środowisko wymarzone dla aerobiontów, przeklęte dla wszystkiego, co nie odporne na korozję.

Rejestratory chroniło zabezpieczenie elektrochemiczne. Dopóki były pod napięciem, nic im nie groziło. Mogły pracować nawet zanurzone w ługach. Ale wystarczyło odciąć dopływ prądu...

Po osiemnastu miesiącach kontakt z „Cratersosem” został przerwany. Od dłuższego czasu występowały zakłócenia łączności, zwłaszcza na torze wizji. Kładłem je na karb odległości: nadajnik w bazie miał ograniczoną moc. Lecz gdy następnego ranka, szykując pojazd do wymarszu, rzuciłem okiem na brzuchaty dach bazy, zrozumiałem, co się stało. Z azurowych siatek anten kierunkowych pozostały jedynie przerdzewiałe kikuty. Nie wiem, czemu pomyślałem od razu o Oxygeniach.

Nie mogłem sobie pozwolić na dokładne oględziny, musiałem niezwłocznie udać się w teren. Obchód zajął mi odrobinę mniej czasu niż zwykle, pewnie dlatego, że zaprzątnięty myślami nie zwracałem uwagi na otoczenie. Natychmiast po powrocie uruchomiłem jedyny automat naprawczy i wyprawiłem go z antenami zapasowymi na górę. Był dość prymitywny i wymagał stałej kontroli. Kamera zainstalowana w części czołowej automatu przekazywała ruchy jego manipulatorów i spory odcinek obszaru, w którym działał. Montował kolejne elementy wolno, prawie z namaszczeniem. Po każdej czynności zamierał na sekundę, jak gdyby oceniał fachowość wykonanej pracy. Nie zdążył zakończyć nawet pierwszego etapu robót. Zupełnie instynktownie wyciągnąłem rękę do przodu, bo kopuła gwałtownie podskoczyła, jakby chciała mi zadać cios w twarz. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to, co widzę, jest obrazem przekazywanym przez leżący automat. Jeszcze przez moment chropowata powierzchnia sklepienia sunęła po ekranie, potem znieruchomiała. Obraz mignął raz i drugi. Zgasł.

Zapomniałem o temperaturze.

Nie istniały najmniejsze szanse nawiązania łączności z „Cratersosem”. Opuszczenie

bazy nocą gwarantowało mi koniec, jakiego byłem świadkiem. Porę dzienną trzeba było także wykluczyć: rejestratory musiały być sprawdzane dokładnie co dziesięć godzin. To kategoriyczny warunek ich prawidłowego funkcjonowania.

Dla dobra nauki wypadało pogodzić się z losem. Jako naukowiec nie miałem prawa zaniedbać - również w obliczu niebezpieczeństwa - swoich obowiązków.

Nieprawda, nie byłem naukowcem. Przywieziono mnie tutaj w innym celu. Tacy jak ja nie powinni żyć w społeczeństwie. Zostałem, by odpokutować najcięższą z win: śmierć człowieka.

W tamtym porcie też było 29 urządzeń pomiarowych. Ich pracę nadzorowała aparatura dodatkowo kontrolowana przez weryfikator. Podwójne zabezpieczenie. Żeby wydać zezwolenie na lądowanie, należało zasięgnąć opinii weryfikatora, a następnie sprawdzić wskazania 29 urządzeń pomiarowych. Na wszelki wypadek. Dyspozytorzy twierdzili, że tę ostatnią czynność wprowadzono do pragmatyki służbowej po to aby dać im nadprogramowe zajęcie. I lekceważono ją: podwójne zabezpieczenie budziło zaufanie. Tak było zawsze, dokąd sięgam pamięcią. Wystarczyło przycisnąć kilka klawiszy i na pulpicie zapalała się odpowiedź: zielone bądź czerwone światelko. Możliwość pomyłki nie mogła być brana pod uwagę. Chyba nic nie miało równie znikomego wskaźnika prawdopodobieństwa: raz na ileś tam setek milionów. I ten raz przytrafił się właśnie mnie.

Drobnicowiec z Merkurego prosił o udostępnienie bocznej płyty. Akurat zameldowały się dwa statki pasażerskie. Miałem drobną awarię na centralnym kosmodromie, toteż jeden odesłałem do sąsiedniego portu, drugiemu zacząłem przygotowywać zastępcze lądowisko. Mimochodem wcisnąłem klawisze sektora towarowego. Weryfikator odpowiedział zielonym światłem. Wydałem zezwolenie. Drobnicowiec wylądował na płycie, przez którą przechodziła grupa osób z personelu technicznego.

Sytuacja nie wymagała bezzwłocznego podjęcia decyzji. Miałem mnóstwo czasu na sprawdzenie bloku pomiarowego. Nie sprawdziłem. Dlatego jestem tutaj. Zostawiono mi 29 urządzeń wymagających stałego nadzoru.

Gdyby ta baza była placówką naukowo-badawczą, kontrolę rejestratorów mógłbym przeprowadzać nie ruszając się z fotela. Ale wzniesiono ją w innym zamiarze.

Żaden z 29 mechanizmów nie miał nic wspólnego z jakąkolwiek rejestracją. Jeden zajmował się regulacją warunków klimatycznych, drugi układał jadłospis, następny decydował o wypoczynku. Każdy z nich w jakimś stopniu odpowiadał za mój byt. Awaria któregoś mogła pociągnąć nieobliczalne następstwa; wszelako były niezawodne. Wymagały tylko codziennej zmiany programu. Na tę zmianę składały się dwie manipulacje

przy ich korpusach. Taką wymyślono karę. Samotność i ściśle przestrzeganie obowiązków z pełną świadomością odpowiedzialności za życie ludzkie. Kto wie, czy chodziło wyłącznie o moje. Może w ten sposób bezwiednie sterowałem tajemniczym cyklem technologicznym lub egzystencjalnym.

Nie powiedziano mi, jak długo będę pokutować; zostawiono samego z regulaminem, którego złamanie mogło okazać się gorsze niż śmierć.

Kłamię, złamałem go wielokrotnie. Któregoś ranka, gdy podczas pośpiesznie jedzonego śniadania odruchowo zerknąłem na chronometr, stwierdziłem, że spałem dwa lata. A przecież mechanizmy pracowały. Powtórzyło się to kilka razy, ale nigdy nie uległem pokusie świadomego pozostania w bazie. Traktowałem te skoki czasowe jako dodatkową próbę i bałem się zaryzykować. Jak automat nakładałem skafander i schodziłem do podziemi, gdzie stał pojazd gotowy do drogi. Wyruszałem z nadzieją, że może tym razem będzie to mój ostatni obchód.

Nieprawda, nie miałem nadziei. „Cratersos” nie mógł przylecieć, bo jego szczątki spoczywały dwa kilometry stąd. Nigdy też nie zostałem deportowany. Przybyłem tu z własnej woli, razem z dwudziestoma dziewięcioma towarzyszami podróży. Nie byłem winny ich śmierci. Zginęli w katastrofie, jaka zdarzyć się może najlepiej przygotowanej załodze. Tylko przypadek zdecydował, że ocalałem: wylądowałem trzy godziny przed nimi w małej rakietce patrolowo-zwiadowczej. Na długo pozostanie mi w pamięci upadek „Cratersosa”, jego rozpaczliwa walka z niemocą własnych silników porażonych nagłą awarią. Długo będę pamiętał twarze członków załogi.

Dwie doby pracowały kalekie automaty przy budowie bazy i kopaniu grobów. Trzeciego dnia pochowałem moich towarzyszy. Na 29 bryłach granitu kazałem wyryć 29 nazwisk, a potem przyjeżdżałem tu codziennie złożyć hołd.

Co się dało, przetransportowałem z „Cratersosa” do bazy. Później, gdy pojawiły się pierwsze Oxygenie i zamieniły metalowe części statku w kupę rdzy, położyłem się w korycie hipotermicznym. Hibernowałem kilkanaście lat z przerwami. Często odwiedzałem groby. Poświęciłem im dużo czasu, aby wyglądały najokazalej. Czułem się przez to potrzebny.

Kiedy wracałem do hibernatora, jedyny, jaki mi pozostał, automat wchodził na dach bazy i czuwał za mnie. Jego receptory niezmiennie przekazywały mi przesuwający się firmament z gwiazdą pierwszej wielkości - Ageną. Potrafiłem całą noc przesiedzieć przed ekranem.

Kiedyś po dwuletnim śnie zamiast obrazu nieba ujrzałem agonię mechanizmu. Automat nie reagował na wezwania. O wyjściu na zewnątrz nie mogło być mowy: baza

przekroczyła linię terminatora. Leżałem bezradny i płakałem, jakbym widział śmierć przyjaciela. Pozostał na dachu, bo w żaden sposób nie byłem w stanie ruszyć go własnymi siłami. Oxygenie załatwiły się z nim w ciągu tygodnia. Przeżarły stalowy pancerz i przetrwały metalowe wnętrzości.

Odtąd sam wypatrywałem pomocy. O różnych porach wychodziłem na zewnątrz i spoglądałem w niebo. Marzyłem, że lada chwila zajaśnieje na nim druga Agena i rozdierając z rykiem atmosferę osiadzie u mych stóp wielka, strzelista, stworzona do połykania parseków.

Nieprawda, nie marzyłem o tym. Nie wypatrywałem pomocy. Bo skąd miała nadejść? Z Ziemi? Byłem na Ziemi. Nigdy nie oddaliłem się od niej więcej niż na 10.000 metrów. Z gwiazd? Z gwiazd przyszło nieszczęście. Ściągnął je „Cratersos” - pierwszy międzygwiazdny statek ziemski wiele lat temu wyekspediowany do konstelacji Centaura. Wrócił, a w ślad za nim przybyli obcy: wysokozorganizowane oksybionty. Umieeli wpływać na ruchy ciał niebieskich. Dominująca na firmamencie gwiazda to nie była Agena, lecz Słońce. Przybysze zmienili orbitę Ziemi na zbliżoną do orbity Jowisza i usunęli z atmosfery wszystkie pierwiastki prócz tlenu.

Niewiele ośrodków naukowo-badawczych zdążyło podjąć próby ocalenia bodaj garstki ludzi. Nasz zbudował schron zdolny zapewnić przetrwanie trzydziestu osobom. Zapewnić przetrwanie... Czego? Inwazja dopiero się zaczynała. Z przepelnionych planet Centaura napływało coraz więcej osadników. Żywili się wszystkim, co ulegało korozji; nas, ukrytych za betonowymi ścianami, zostawili na razie w spokoju. Zdawali się wiedzieć, że jesteśmy bezsilni.

Koniec zbliżał się powoli, ale nieuchronnie. Ludzie odchodzili jeden po drugim. Aż nadszedł czas, że zostałem sam. Sam między istotami, które krążą wokół bazy i zaglądają łakomie przez iluminatory. Trochę żal, że nie będzie komu mnie pochować.

To także nieprawda. Nie było żadnej inwazji, nie było „Cratersosa”, nie było katastrofy. Ale nie wiem, co jest prawdą.

Jestem już stary, coraz trudniej mi zbierać myśli. Leżę tu od wielu lat i czekam; czekam z taką samą nadzieją, jaką mieli ci, którzy leżą obok, zobojętniali na wszystko i cisi. W coraz rzadszych powrotach mglistych wspomnień jawi mi się pokład statku i ludzie akceptujący każdą moją decyzję. Odbyłem z nimi niejedną podróż, poznałem ich; zwracali się do mnie, z sympatią i zaufaniem, zwierzali mi się z kłopotów, opowiadali to, czego ja - uwięziony w rakiecie - nie mogłem zobaczyć. Latami karmiono mnie mnogością informacji, która wypełniała rejestr po rejestrze mojej pamięci, aż zalała 29 bloków i wtedy ludzie uznali, że nie jestem już im potrzebny.

Leżę teraz wśród pogruchotanych, przeżartych rdzą szczątków, a Oxygenie - te stwory, których człowiek nie widział i nigdy nie ujrzy - odprawiają nade mną mszę żałobną i trawią moje ciało. W gmatwaniu cudzych słów, obcych reminiscencji, szukam samego siebie, swej przeszłości. Ciągle jeszcze wierzę, że nim pogrążę się w niebyt, ktoś odpowie na dręczące mnie pytanie: Czy rzeczywiście jestem wyrzuconym na złomowisko, wysłużonym komputerem pokładowym?

Byłem donorem

Zaproszenie do udziału w Międzynarodowym Sympozjum Anestezjologów otrzymałem dosłownie w ostatniej chwili, to znaczy 18 godzin przed otwarciem. Uczestnictwo w zjeździe było zbyt poważnym wyróżnieniem, nie mówiąc już o szansie dla młodego lekarza, by oglądać się na sprawy rodzinne (żona zaplanowała na ten okres nasz wspólny wyjazd nad morze). Spakowałem więc manatki pod nieobecność połowicy, zostawiłem przeproszająco-wyjaśniający list i niezwłocznie udałem się na lotnisko.

Formalności załatwiłem w ciągu kwadransa. Do odlotu zostało mi przeszło dwie godziny. Połąziłem trochę po porcie lotniczym, zaczepiłem grupkę sympatycznych stewardes, by spytać o rozkład lotów, po czym kupiłem najświeższe gazety i poszedłem do poczekalni.

Zastałem tu tylko trzech mężczyzn, pozostałe miejsca świeciły pustką. Mężczyźni musieli być razem, bo siedzieli jeden przy drugim. Zapadłem w fotel przy najbliższym stoliku i rozłożyłem czasopisma. Ich tytuły przykuły uwagę środkowego dwudziestoparolatka (były to periodyki w większej części medyczne). Patrzył to na wielobarwne nagłówki, to na mnie i zdradzał wyraźną ochotę do rozmowy. Nie miałem nic przeciwko pogawędce: perspektywa samotnego spędzenia dwóch godzin była nieznośna, a młodzieniec sprawiał wrażenie inteligentnego. Lecz jego towarzysze, te dwa ponure draby ze wzrokiem wbitym w pustkę - studzili mój zapal.

Ostentacyjnie zaszeleściłem szpaltami „Medicusa”. Młody mężczyzna przesunął końcem języka po wąskich wargach i powiedział na całą poczekalnię:

- Ale mam szczęście! Gdzie się obróć, wszędzie konowały. Nawet na dworcu.

Zmroził mnie jego sarkazm. Jednocześnie poczułem się oburzony. Towarzyszące mu indywidua ani drgnęły.

- Pan ma coś przeciwko lekarzom? - spytałem tłumiąc rozdrażnienie.

Wybuchnął takim śmiechem jak rozbitek, którego po dziesięciu latach odnaleziono na bezludnej wyspie i spytano, czy lubi samotność.

- Dobrze - wysapał. - Naprawdę dobrze... Czy mam coś przeciwko... No, niechże pan daruje... - jego oczy stały się na sekundę szkliste, jakby wrócił do wspomnień, potem znowu zarechotał. - Satyra...

Najchętniej zająłbym się lekturą albo w ogóle opuścił poczekalnię, ale on nie dał za wygraną:

- Pan jest może łapiduchem? To znaczy... Zresztą nieważne. Generalnie biorąc lubię lekarzy, są nawet potrzebni na świecie i błędem by było odizolować ich od społeczeństwa...

Złożyłem gazety i wsunąłem je do przegródki nesaseru. Mężczyzna zaniepokoił się. Chyba istotnie zależało mu na mojej obecności.

- Ma pan coś wspólnego z immunologią? - spytał prawie poważnie.

- Nie - odparłem mechanicznie. Jeszcze nie zdecydowałem, czy odejść, czy pozostać narażając się na wysłuchiwanie mało wybrednych dowcipasów pod adresem lekarzy.

- To dobrze - oświadczył spokojnie, bez ironii. - Wprawdzie należałoby natychmiast aresztować wszystkich medyków, ale jestem skłonny uczynić wyjątek dla facetów nie zajmujących się immunologią. Mogą niekiedy być przydatni. Na przykład jeden taki zaplombował mi ząb, a drugiemu udało się wyleczyć mnie z grypy. Jednak przez pozostałe dni dwudziestu pięciu lat mojego życia byli praktycznie bezrobotni. Całej ósemce pigularzy zafundowałem płatny urlop trwający ćwierć wieku.

Przyjrzałem się rozmówcy. Potrafię bez szczegółowych badań dostrzec w człowieku chorobę, ukrytą ułomność, lecz ten tryskał zdrowiem. Może jedynie jego z lekka euforyczne zachowanie budziło zastrzeżenia, ale to sprawa psychoanalityka.

- Powinien pan być z siebie zadowolony - mruknąłem.

- Zadowolony? O tak, byłem z siebie zadowolony. „Zresztą nie tylko ja, wielu ludziom stan mojego zdrowia sprawiał zadowolenie. Najbardziej chyba staremu McStevensonowi. Zna pan McStevensonów? To patriarchalny szkocki ród, który przed dwustu laty wyemigrował do Ameryki zbić majątek. Cztery pokolenia wypruwały sobie żyły, żeby uciuć tę kupę śmierdzących miliardów. Za takie pieniądze można wszystko kupić. Wszystko.

Zamyślił się. Ta gra uczuć na jego twarzy, gorycz zmieszana z uśmiechem jak po uknuciu przewrotnego planu, była irytująca.

- Arnold - podjął - synalek McStevensona, również wyrażał się z uznaniem o moim zdrowiu. W końcu to dla niego urządzono ten cały cyrk. Jedyńaczek, oczko w głowie tatusia, zajmował się głównie pomniejszaniem dorobku przodków, podczas gdy ja nawet życie seksualne prowadziłem pod kontrolą lekarzy.

- Nie wygląda pan na człowieka chorowitego - wtrąciłem.

- Chorowity? - zdumiał się. - Satyra... Wie pan, jakie mam wyniki? Nikomu nie życzę lepszych, jeżeli mogą być lepsze. Ta cholerna maszyna - walnął się pięścią w klatkę

piersiową - funkcjonuje z diabelną dokładnością i bez zakłóceń. Zresztą jak może się zepsuć automat, skoro pracuje w idealnych warunkach, na zwolnionych obrotach i pod stałą opieką konserwatorów? Słuchaj pan: posiłki pięć razy dziennie o odpowiedniej kaloryczności i wzbogacone witaminami; od dwudziestej drugiej do siódmej rano cisza nocna, dwie godziny drzemki po obiedzie. Żadnych papierosów, kaw, alkoholu. Przed południem gry i zabawy ruchowe na świeżym powietrzu, wieczorem kontakt z kulturą: teatr, książka właściwie dobrana i ewentualnie kino. Co miesiąc odczyn Biernackiego i Wassermanna, morfologia - pan najlepiej wie, ile jest tych analiz - a raz na pół roku prześwietlenie. No i testy immunologiczne... Powinno się za nie wymierzać dożywocie...

Głośnik jęknął przed zapowiedzią startu kolejnego samolotu. Mężczyzna słuchał w roztargnieniu. Przyznaję, że wzbudził we mnie zainteresowanie, co udaje się rzadko komu, toteż rzuciłem prowokująco:

- Drogo musiało to kosztować.

- Stary McStevenson miał wystarczająco dużo forsy - mruknął mężczyzna.

- Myślałem, że pański ojciec...

- Mój ojciec, doktoru - wpadł mi w słowa - był narkomanem. W ciągu dwóch lat przetrwonął majątek matki, swojego nie posiadał, i wpędził ją do grobu. Od tej pory wszystko, począwszy od sznurowadła, a skończywszy na dziennej, niezbędnej do życia dawce morfiny, zawdzięczał mnie. Tak, proszę pana, wbrew pozorom jestem facetem bogatym, z tym że nigdy nie mogłem rozporządzać swoimi pieniędzmi według własnego uznania. Do licha, co ja bym dał za porządną hulankę w nocnym lokalu! Albo podróż dookoła świata! Te rzeczy znam tylko z telewizji i opowiadań Arnolda. On płacił się w rozpuście, a zrozpaczony tatuś, gdy syn przez tydzień nie dawał znaku życia, rozsyłał po burdelach swoich goryli, żeby mu pomogli wrócić do domu na zasłużony odpoczynek. Ja wtedy grałem grzecznie w tenisa lub mierzyłem temperaturę...

- Nie bardzo rozumiem - powiedziałem korzystając z chwili przerwy. - Przecież pan wygląda na okaz zdrowia.

- Bo też jestem i byłem zdrowy! Nie miałem prawa zachorować. Ośmiu podwójnie opłacanych konowałów trzęsło się nad każdym moim kichnięciem. Boże, były momenty, w których marzyłem o połamaniu gnatów, zapaleniu płuc, nowotworze, ale mój organizm sprzyścił się przeciwko mnie. Tylko raz napędziłem stracha McStevensonom - kiedy złapałem grypę. Stary wszczął formalne dochodzenie, żeby zbadać przyczyny i ukarać winnego niedopatrzenia. Pamiętam jak stał nad rentgenologiem i pytał w kółko, czy choroba nie pozostawiła jakichś śladów - mężczyzna przerwał i zachichotał. - Nieźle go uderzyło po

kieszeni utrzymanie moich narządów w idealnym stanie. Chyba nie istnieje urządzenie równie kosztowne w eksploatacji.

- Dziwnie interpretuje pan postępowanie ludzi, którzy są pańskimi bądź co bądź dobroczyńcami - zauważyłem.

Nie, na pewno nie udawał. Jego zdumienie było tak prawdziwe i wielkie, że zmieszałem się.

- Satyra - wycedził przez zaciśnięte. zęby Zabrzmiało to niczym obelga. - Dobroczyńcy... - przyglądał mi się z uwagą, jak gdyby szukał w mych rysach śladów ironii. - Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, kim ja byłem dla nich? Opiekując się mną, te łapiduchy zarabiały krociowe sumy!

- Mówiąc o dobroczyńcach, nie miałem na myśli osób czerpiących zyski z opieki nad panem, lecz ludzi, którzy w tę opiekę inwestowali.

- Beznadziejne - warknął ponuro. - Zupełnie beznadziejne... Jeżeli ktoś nabywa materiały budowlane, to w co inwestuje: w cegielnię czy we własny domek? Stary McStevenson dbał o s w e g o j e d y n a k a marnującego zdrowie na całonocnych orgiach. Ja byłem tylko skupiskiem żywych organów zastępczych. Byłem donorem, słyszy pan, donorem! Ewentualnym, zaplanowanym na przyszłość. Donorem in spe!

- Chce pan przez to powiedzieć - rzekłem wstrząśnięty - że McStevenson zamierzał kiedyś wykorzystać pana jako dawcę transplantatu?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Zdziwiająca jest pańska bystrość - stwierdził. - Zaraz pan pewnie spyta, jak do tego doszło. Otóż, gdy miałem półtora roku, mój ojciec, morzony głodem narkotycznym, zawarł ze starym McStevensonem umowę - wówczas jeszcze pracował u niego - według której... Już pan rozumie, prawda?

- To nonsens! Taka umowa, nawet spisana notarialnie, nie posiada mocy prawnej.

- Owszem, tylko o tym dowiedziałem się zbyt późno. Mógłbym, rzecz jasna, zerwać ją w każdej chwili, ale oznaczałoby to przepadek pieniędzy wpływających co miesiąc na moje konto. Byłbym zrujnowany, ba, nie wypłaciłbym się do końca życia. Czy pan sobie wyobraża faceta wychowanego w takich warunkach jak ja, który nagle pozostaje bez utrzymania i z kilkusetmilionowym długiem? Jestem całkowicie zależny od rodziny McStevensonów. Naturalnie może pan dalej twierdzić, że to wszystko zakrawa na absurd i że McStevenson zamiast łożyć na mnie, mógł znacznie mniejszym kosztem nabyć dowolny przeszczep z banku protez. Tylko proszę wziąć pod uwagę długotrwałość takiego transplantatu. Medykom do dzisiaj nie udało się wynaleźć środka, który by umożliwiał wieloletnie utrzymywanie

przeszczepów; poza tym zniesienie czy choćby obniżenie bariery immunologicznej stwarza organizmowi warunki, w których zwykły katar oznacza śmierć. Każdy człowiek jest genetycznie inny, dlatego pańskie, dajmy na to, nerki będą traktowane przez mój organizm jak ciało obce, zostaną odrzucone, jeżeli nie zablokuje się mechanizmu obronnego. Inaczej jest z bliźniętami jednojajowymi. Takim osobnikom można wzajemnie przeszczepiać dowolne narządy bez stosowania leków obniżających reakcje immunologiczne. Jest także inna możliwość - odkrył ją bodajże Peter Medawar eksperymentując na myszach. Embriony nie produkują przeciwciał, są praktycznie bezbronne. Siły odpornościowe powstają dopiero po urodzeniu. Toteż, jeśli zarodkowi zaszczepi się obce tkanki, przyjmie je jako swoje. Mało, dzięki temu zabiegowi rozwinię się u niego tolerancja, która towarzyszyć mu będzie od narodzin aż do śmierci.

Mężczyzna zawiesił głos, jak przed czymś ważnym do zakomunikowania.

- McStevenson postanowił wykorzystać szansę. Przekupił immunologów i kiedy Arnold był jeszcze w łonie matki, wstrzyknięto mu zawiesinę komórek pobranych uprzednio z mego organizmu. Od chwili przyjścia na świat mógł zatem przyjmować pochodzące ode mnie transplantaty jak własne. Bariera immunologiczna nie została obniżona ani złamana. Po prostu ominięto ją. Tak więc w momencie narodzin Arnold otrzymał pełny zestaw części zamiennych. Z jednym wyjątkiem - umowa nie obejmowała mózgu.

- A serce?... Przecież to zbrodnia!

- W każdym interesie istnieje pewne ryzyko - mężczyzna zachichotał. - Satyra, co? Na dobrą sprawę mogłem doczekać starości w tym luksusie, Arnold mógł przecież przeżyć mnie razem z moimi pucowanymi organami. Ale on nie chciał. Szukał guza w najgorszych spelunkach, gdy ja pod eskortą odbywałem swój codzienny zdrowotny marszobieg lub niosłem mocz do analizy. Ojczulek miliarder patrzył na wybryki syna przez palce, często mawiał z pobłażliwością: „Niech się wyszumi, życie jest takie krótkie. W razie czego sięgniemy po rezerwę”. Arnolda nie trzeba było nakłaniać, szedł na całego, niczym tenisista przy pierwszym serwie. Raz przy pokerze nawet oberwał kastetem. Na szczęście doznał jedynie pęknięcia żeber i moja pomoc nie była potrzebna... Uważam, że robił to celowo. Chciał pokazać, jak bardzo jestem od niego zależny, chciał się wczuć w rolę Boga dysponującego istnieniem. Często przychodził do mnie, by powiedzieć, że odczuwa bóle w klatce piersiowej, i zobaczyć, jak blednę ze strachu. A potem w wyraźnie lepszym humorze jechał do miasta i pił przez tydzień. Patrzyłem na te wybryki i widziałem swój powolny koniec. Znienawidziłem go, znienawidziłem siebie, ale pan, doktoru, nigdy nie zdoła mnie zrozumieć. To narastało przez całe lata, aż przybrało rozmiary obsesji. Bywały noce, kiedy

dziesiątki razy przeżywałem jego i swoją śmierć albo marzyłem o zbrodni. I wreszcie, gdy nadszedł odpowiedni moment, zamordowałem go!

Mężczyzna dyszał. Patrzył mi w oczy z taką nienawiścią, jak gdyby miał przed sobą wroga.

- Wraciał wtedy sportowym samochodem. Kompletnie pijany. Pięć kilometrów przed posiadłością McStevensonów jest niestrzeżony przejazd kolejowy. Lokomotywa uderzyła w maskę wozu i rzuciła go na betonowe ogrodzenie. Świadkowie wypadku zorganizowali natychmiastową pomoc. Arnolda przetransportowano do domu, bo McStevensonowie mieli lepsze wyposażenie niż szpital odległy o blisko czterdzieści mil. Konsylium orzekło, że zachodzi konieczność transplantacji prawie wszystkich narządów wewnętrznych. Głowa ocalała - cholerny Arnold nawet po pijaku nie siadał za kierownicą bez kasku. Sprowadzono mnie do sali operacyjnej. Leżał pod bezcieniową lampą, otoczony aparaturą, która oddychała za niego i płukała krwią zmiążdżone organy. To nie jest widok dla osób wrażliwych. Tego w ogóle nie można oglądać. Chce się zniszczyć to dogorywające życie lub stracić wzrok i świadomość. Świadomość zwycięstwa, a jednocześnie klęski, niezależności i zaprzędania. Bezsiły... Działalem wtedy pod wpływem szoku. Chwyciłem leżący wśród narzędzi lancet i wbiłem go w serce Arnolda...

Mężczyzna urwał. Przeżywał zbrodnię na nowo.

- Wykaraskał się z tego. Nie na długo jednak. Przebywałem wówczas w szpitalu, ale od pielęgniarek znam szczegóły. Stary McStevenson sprowadził transplantaty z banku protez i kazał wszczepić je standardową metodą, czyli z zastosowaniem leków obniżających reakcje immunologiczne. Przeciwciała unieszkodliwiono tak skutecznie, że wraz z przeszczepami organizm przyjął kilka kolonii drobnoustrojów chorobotwórczych. Arnold zmarł po dwóch tygodniach na zapalenie płuc.

- A zatem nie pan był sprawcą jego śmierci...

- Pozornie, doktorku. Według umowy powinienem był Arnoldowi pomóc, oddając mu swój organizm. Ale w tym czasie ja także potrzebowałem pomocy. Bo ten lancet utkwiał w m o j e j piersi. W piersi, w której biło serce kupione przez McStevensona.

Miły, ciepły alt zapowiedział godzinę startu kolejnego samolotu. Mężczyźni towarzyszący mojemu rozmówcy obudzili się z letargu. Gdy wstali, spostrzegłem, że młodzian ma skute ręce.

- Jutro rozpoczyna się mój proces - rzekł z kpiącym uśmiechem. - A najzabawniejszy jest fakt, że będę sądzony za usiłowanie samobójstwa. Ja, człowiek, który nie należy do siebie... No i niech pan powie, doktorku, czy to nie satyra?

Minęli oszklone drzwi i skręcili ku wyjściu na płytę lotniska. Zostałem sam.

Nie poleciałem na Sympozjum. Wróciłem do domu, aby przygotować się do wyjazdu nad morze.

Triumf Cherstena

Po sześciu dniach krążenia nad środkowoafrykańską dżunglą byliśmy w tym samym miejscu poszukiwań, od którego zaczęliśmy. Wprawdzie placówki badawcze donosiły nam stale o nowo odkrytych kraterach, ale zbyt odległych od granic kwadratu, by mogły mieć jakikolwiek związek z naszym bolidem.

Meteoryt spadł dwa tygodnie temu. Narobił mnóstwo zamieszania wśród tubylców, znacznie więcej w bazach wojskowych. Podobno dowódca najbliższego miejsca upadku uznał to za akt agresji i wydał rozkaz kontrataku, a gdy dyżurny oficer Centrali - w ostatniej niemal chwili - zablokował mu wyrzutnie, nie przeżył zawału.

Było rzeczą niemożliwą, by wielotonowy bolid mógł przepaść w dżungli bez śladu, z drugiej strony stacje seismologiczne nie potwierdziły naszych obliczeń. Wszystkie przebadane sejsmogramy nie wykazały nic ponad zwykle w tych rejonach drgania skorupy ziemskiej. A jednak meteoryt spadł. Oprócz relacji naocznych świadków, dysponowaliśmy raportami obserwacyjnych stacji naziemnych.

Wyglądało na to, że nie zidentyfikowany obiekt wpadł w atmosferę z prędkością około 10 km/sek., przedarł się przez jej warstwy i gwałtownie wyhamował tuż nad ziemią, po czym znikł między drzewami. Kilku fantastów z naszej ekspedycji, chorobliwie wietrzących w każdym UFO pozaziemski statek kosmiczny, nie posiadało się z radości. Przeciw ich teorii przemawiała zasadnicza wątpliwość: wytracenie tak dużej szybkości na przestrzeni metrów było niemożliwe z punktu widzenia techniki lotu, i pozbawione logicznej potrzeby. Dlatego z mieszanymi uczuciami przygotowaliśmy się do penetracji lasu.

Podzielono nas na dwuosobowe grupy. Zostałem bez przydziału, ale za to z zakazem opuszczania bazy: szef obdarzał mnie jawną niechęcią. Chyba zbyt zajadle atakowałem entuzjastów UFO, do których należał.

Postanowiłem ruszyć w dżunglę dwie godziny po innych. W zasadzie jestem zdyscyplinowanym pracownikiem, lecz chęć uczestniczenia w poszukiwaniach wzięła górę nad subordynacją. Poza tym miałem lepszą koncepcję rozpoznania. Oglądając dżunglę z kabiny łazika łatwo stracić orientację, nawet radiokompas jest mało przydatny. Można zmarnować kupę czasu, jeżdżąc tą samą trasą.

Wziąłem czujnik rentgenometryczny, broń i poszedłem na polowe lotnisko. Długo musiałem przekonywać dyżurnego technika, że jest pilnie potrzebny w namiocie dowódcy. Jeszcze w połowie drogi do obozu oglądał się podejrzliwie za siebie.

Zabrałem dwuosobowy śmigłowiec. Dotychczas obserwację przeprowadzaliśmy na niskich pułapach, wypatrując w gęstwinie leśnej wyręb, przesiek lub polan sztucznego pochodzenia. Teraz postanowiłem zaufać instrumentom. Wzbiłem się na wysokość 1500 metrów, biorąc kurs w poprzek przetrząsanego kwadratu.

Nie wiem dlaczego wiązałem takie nadzieje z rentgenometrem, może zaraziłem się teoryjkami ekspedycyjnych fantastów, ale istotnie, czujnik nie zawiódł. W odległości czterech kilometrów od północnego boku kwadratu zasygnalizował nieznaczny wzrost promieniowania. Poleciałem jeszcze trochę na południe, potem zatoczyłem krąg.

Wielkość skażenia nie była szkodliwa dla zdrowia ludzkiego, niemniej pełen obaw lądowałem na granitowym tarasie skalnym wystającym ponad wierzchołki tropikalnej roślinności. Równy z umilknięciem silnika przemówiła dżungla. Wystarczy to usłyszeć, żeby stracić ochotę na bezpośredni kontakt.

Przewiesiłem broń przez plecy i z czujnikiem w wyciągniętej ręce zszedłem po rozpalonych odłamach skaleni. Zanurzyłem się w mroczny i parny świat epifitów. Czujnik popiskiwał cicho; co rusz przykładałem doń ucho, bo fauna przekrzykiwała siebie, a skala w tych ciemnościach była niewidoczna. Lawirując kierunkową anteną, deptając po czymś śliskim, trzeszczącym lub umykającym spod buta, dobrnąłem do ściany drzew. Rosły jedno przy drugim jak szczelna palisada. Skierowałem się wzdłuż tej gęstwiny. Czujnik piszczał przeciągle, jak gdyby za tym naturalnym częstokołem ukryty był skład uranu.

Uszedłem tak z kilometr albo więcej. Po godzinie marszu spostrzegłem pod nogami coś, czego w tym miejscu być nie powinno: wdeptany w wilgotną ziemię żwir. Najwięcej okruchów leżało wokół grubego pnia, jakby wysypywały się z jego wnętrza. Kucnąłem i zanurzyłem rękę między wystające ponad grunt korzenie. Weszła gładko w chłodną pustkę. Pochyliłem plecy i nieoczekiwanie znalazłem się po przeciwnej stronie drzewa. Zdumiewająco realistyczny obraz pnia zakolebał się - za mną niczym poruszona kotara.

Obszerny plac, na którym stałem, pokrywała gruba warstwa żwiru. Pośrodku wznosiła się parterowa budowla, szeroka i płaska, o dachu z falistej blachy. Za nią widniały dwa mniejsze budynki.

Maskowanie przeprowadzono genialnie. Zawieszony nad głową miraż wyobrażający korony drzew był nie do rozszyfrowania z lotu ptaka. Nie dochodził tutaj wrzask zgrai papug ani ujadanie małp. Jedyne rytmiczne sapanie rozpraszało ciszę.

Zdjąłem z ramienia broń i zbliżyłem się do uchylonych wrót hangaru. Bo to był hangar. Wewnątrz znajdowała się konstrukcja o absurdalnym wyglądzie, ale niektóre szczegóły świadczyły, że ten blisko stumetrowy dziwoląg potrafi oderwać się od ziemi. Opływowy kadłub pokrywała imponujących rozmiarów metalowa łuska grubości chyba 10 centymetrów. Z tyłu, pod rozpiętym deltowato płatem, wystawała tuleja przypominająca główną dyszę pierwszego członu rakiety nośnej. Kopulasto sklepiony przód wyposażony był w zestaw miniaturowych anten od prętowych począwszy, na paraboidalnych skończywszy. Całość stała na pokracznych, wielkich łapach przedpotopowego gada. W powietrzu unosił się zapach spalenizny, oleju i rozgrzanego metalu.

Obszedłem potwora dwukrotnie. Zatrzymałem się znowu przed antenami i dotknąłem lustra najniższej. Odpadła jak dojrzały owoc i potoczyła się z hałasem po betonowej posadzce. Odskokczyłem.

- Co za bzdura! - wyrwało mi się.

Zniekształcone strachem słowa zabrzmiały fałszywie.

- Pozornie - odpowiedział gromki, flegmatyczny głos przedłużony półechem.

Odwrociłem się. I wtedy poczułem, że jestem obserwowany. Bardzo powoli zacząłem się cofać ku wyjściu.

- Pozornie - usłyszałem ten sam głos, lecz cichszy i tuż obok siebie.

Przy wejściu do hangaru stał łysiejący mężczyzna w poplamionym kombinezonie. Wycierał dłonie szmatą i przyglądał mi się z żywym zainteresowaniem.

Poznałem go od razu. Docent Chersten. Był wykładowcą w Akademii Nauk. Pozbawiono go katedry tego dnia, gdy zdałem swoją pierwszą pracę dyplomową. Pisano trochę o nim. Przez kilka miesięcy po jego odejściu nazwisko Cherstena wymawiano w kularach Akademii ze znaczącym uśmiechem. Zajmował się anatomią porównawczą i genetyką populacyjną. Czytałem jedną jego pracę na temat sztucznego przekształcania się organizmów w zmiennych warunkach środowiska.

Przez pewien czas przychodził do biblioteki specjalistycznej, potem przepadł bez wieści. Powoli przestawano o nim mówić, w końcu nawet prześmiewcy czerpiący radość życia z niepowodzeń innych uznali, że temat Cherstena jest już nudny. Czym się tak naraził, dokładnie mi nie wiadomo. O ile dobrze pamiętam, kiedyś nazwano go „genetycznym wywrotowcem”.

Ścisnąłem mocniej broń.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Wtłoczył szmatę do wypchanej kieszeni. Dolna, lekko obwisła warga nadawała mu

wygląd człowieka gardzącego całym światem i przygodnymi rozmówcami.

- Uszkodziłem panu... - wskazałem palcem na posadzkę. Leżąca w cieniu antena przypominała odwrócony dnem talerzyk.

Chersten zadudnił urągającym śmiechem.

- Uszkodziłem.. - powtórzył ironicznie.

- Pan wybaczy... - zacząłem oschle.

- Wybaczam wszystko i wszystkim - przerwał mi gwałtownie - oprócz przebywania na moim terenie. Nie znoszę wtykania nosa w cudze sprawy i wymagam tego od innych!

Wprawdzie znalazłem się tutaj bez zaproszenia, ale apodyktyczność tego człowieka zaczęła mnie denerwować.

- Drogi panie - powiedziałem - nie jest pan na uczelni!

Zamrugął pozbawionymi rzęs powiekami. Warga opadła mu jeszcze niżej. Przyglądał mi się badawczo.

- Pan mnie zna? - spytał.

- Owszem. To i owo o panu słyszałem. Kiedyś był pan...

- Kiedyś! Kiedyś byłem głupcem. A jak się pan tu w ogóle dostał? - w jego głosie zabrzmiało podejrzenie. - Chyba nie... Nie, to nonsens. - Dałem mu trochę czasu do namysłu.

- No więc jak, otrzymam odpowiedź, młody człowieku?

- Geiger.

Wolno wycelował brodę w moim kierunku.

- Geiger... Tego nie brałem pod uwagę. Z kolei autochtoni nie łążą po lesie z licznikami... Więc zamiast zawierzyć własnym zmysłom uciekł się pan do techniki? Sprytnie. A teraz zechce mi pan łaskawie wyjaśnić cel swojej wizyty? Pewnie przysyła pana stary Aszbach? Czyżby ruszyło go sumienie? A może wreszcie doszedł do tych samych wniosków?

Mimo woli dałem się wciągnąć do rozmowy na interesujący go temat. Opowiedziałem o swojej pracy i celu ostatniej wyprawy. Wydusił ze mnie wszystko.

- Meteor - powtórzył z rozbawieniem. - Łowca meteorów. Kosmiczny hycel. No cóż, niech będzie meteor.

Zbliżył się do dziwnego tworu i położył małą, poplamioną dłoń na opasłym korpusie. Stał twarzą do mnie, nadęty, jakby pozował u fotografa.

- Słyszysz? - rzekł nie odwracając wzroku. - Biorą cię za meteor. Czy to nie zabawne?

- Zabawne - potwierdził gromki głos ludzaco podobny do głosu Cherstena. - Aszbach na mój widok zawołałby jak pewien bohater starego dowcipu: „To niemożliwe! Takie zwierzęta nie istnieją!”

- Aszbach to bałwan - oświadczył Chersten.

- Widzę - odezwałem się - że ma pan niebanalne towarzystwo na tym pustkowiu. Osobiście wołałbym jednak kogoś żywego.

Powiedziałem to celowo lekceważąco, aby wyprowadzić Cherstena z równowagi. Docent zarechotał szyderczo. Zdaje się, że w tym momencie wyrobił sobie o mnie opinię jako o prostaczku.

- Słyszysz? - sapnął podniecony - On cię uważa...

- Zamilcz!

Chersten urwał raptownie. Poklepał nerwowo stalowy korpus, zajrzał pod spód i mruknął:

- Szkoda, że nie przysyła pana Aszbach.

- Ja również żałuję, że nie jestem protegowanym profesora Aszbacha. Może pański stosunek do mnie byłby bardziej, powiedzmy, życzliwy.

Wybałuszył oczy, jakby chciał pokazać, iż moja wypowiedź jest nie tylko zaskakująca, ale i bezczelna.

- A czegoż pan, u kata, oczekiwał? - spytał, nie mogąc nadal opanować zdumienia. - Wchodzisz człowieku na cudzy teren, zaglądasz do pracowni jak do obory i żądasz, żeby cię witano fanfarami? A skąd wiesz, czy wyjdiesz stąd żywy?

- Chersten!

Docent pochylał się do przodu i mierzył we mnie zaczerwienioną twarzą. Meł w ustach bezgłośnie słowa.

- Tak - mruknął po chwili. - Przesadziłem. Oczywiście przesadziłem. Pan wybaczy... Siedemnaście lat w tej głuszy z każdego zrobi furjata... - wyprostował się i dorzucił podniesionym głosem: - Ale nie muszę nikomu niczego wyjaśniać. Jest to moja osobista sprawa, w którą wpackowałem wszystkie oszczędności i, przyzna pan, kawał życia. Nie, nie biadolę, bo opłaciło się... Pełny sukces - szepnął.

- Skoro sukces, to co wstrzymuje pana przed ujawnieniem przedmiotu badań?

Jak u typowego sangwinika gwałtowna wrogość ustąpiła w nim miejsca życzliwości.

- A komu, do diabła? - spytał, szczerze rozbawiony. - Zaraz się znajdzie tysiacy współników.

- Choćby Aszbachowi - wtrąciłem. Byłem przekonany, że nazwisko profesora jest kluczem do zamkniętej duszy Cherstena.

- Aszbach, hm... W gruncie rzeczy to miły facet, choć taki ograniczony. Nie mogę mu odmówić pewnych zasług, ale jego stanowisko w kwestii...

- Chersten!

Docent zmieszał się. W ogóle od jakiegoś czasu zachowywał się nienaturalnie.

- No cóż - rzekł. - Mam nadzieję, że potrafi pan o niektórych rzeczach zapomnieć. Nie życzę sobie jakichkolwiek wizyt, a pańska niedyskrecja może sprowokować ciekawskich do odwiedzin. Będzie pan winny ich, hm... Dostarczyć panu argumentów, czy też odejdzie pan w pełni przekonany?

Ważylem w rękę broń i analizowałem słowa Cherstena. Już od kwadransa czułem, że docent chce mi coś powiedzieć, zwierzyć się z czegoś lub przed czymś ostrzec.

- Zastanawiam się, w jaki sposób odnajdę wyjście. Te drzewa są tak podobne do siebie...

- Odprowadzę pana - rzekł z ulgą. Wyjął z kieszeni szmatę, ponownie wytarł ręce. - To niedaleko.

Ruszyłem przodem. Ponad pięćdziesiąt metrów przeszliśmy w milczeniu. Prawdopodobnie zamierzał prosić mnie o coś, bo trudno mu było zacząć. Tacy ludzie jak Chersten wolą wsadzić głowę pod pociąg, niż odwołać się do pomocy dentysty.

- Co pan będzie robił po powrocie do kraju? - zagadnął obojętnie.

- To co dotychczas. Chwywanie bezpańskich meteorów ma także swój urok. Są interesujące ze względu na budowę i zawartość substancji organicznych. Na ich podstawie możemy wnioskować o przejawach życia w innych układach. Dla przykładu: w ostatnio znalezionym meteorycie odkryto, oprócz aldehydu mrówkowego i wody, 27 rodzajów aminokwasów, w tym 16 nie występujących na Ziemi.

Żachnął się.

- Chyba nie wziął pan tego poważnie. Ze swej strony uważam kosmogonię za ciekawą dziedzinę. Cenię ludzi nauki bez względu na ich zainteresowania. Nawet do Aszbacha nie żywię urazy, choć porządnie załaził mi za skórę. Widuje się pan z nim?

- Bardzo rzadko. Nieraz spotykam go w bibliotece.

- W bibliotece, hm... Tak, to pracowity facet... Hm, gdyby go pan znowu widział... to tego... wystarczy powiedzieć, że powiodło się.

- Co się powiodło?

Docent wzruszył ramionami.

- On będzie wiedział.

- Wątpię.

- To niech się pan z nim podzieli własnymi spostrzeżeniami. Może pan dodać, że częściowo miał rację. Ale wybrnąłem z tego w prymitywnie prosty sposób. Początkowo

zamierzałem zaprogramować go jak maszynę alfameryczną, lecz to niedorzeczność. Nie można, kochany, wepchnąć do układu dowolnej ilości bitów i mieć nadzieję, że coś z tego wyniknie. W efekcie wypełnimy komory pamięciowe, a przetwarzanie danych nastąpi dopiero po naciśnięciu odpowiedniego guziczka. Żeby zmusić maszynę do samodzielnego i abstrakcyjnego myślenia, należy tchnąć w nią życie!

Zapałał się coraz bardziej. Potrzeba zwierzeń wzięła górę nad pozorowaną, sądę, nieprzystępnością.

- Dlatego - kontynuował - zaraz po encefalizacji przeprowadziłem łatwy i mało ryzykowny zabieg transmisji prądów czynnościowych własnego mózgu. W razie niepowodzenia wystarczyło podać na wejście układu napięcie kasujące i zacząć od nowa. Ale powiodło się. Nadzwyczaj dobrze.

- Stworzył pan cyborga? - szepnąłem zaskoczony.

Chersten spojrzał na mnie z politowaniem. Dolna warga drgała mu nerwowo.

- Cyborga - warknął pogardliwie. - Czy to, co pan widział, można nazwać cyborgiem? Owszem, nadałem mu wygląd człowieka, w końcu jest to podobno najdoskonalsza forma na Ziemi, a ja musiałem posłużyć się gotowym przykładem, żeby nie powtarzać błędów natury; ale on zaczął się przekształcać.. I jak dziecko w łonie matki przechodzi wszystkie stadia ewolucji, tak on zmieniał swój wygląd, tyle że w przeciwnym kierunku. Bałem się nawet, czy nie przyjdzie mi hodować elektronicznego pierwotniaka, szczęściem zatrzymał się na kręgowcach stałocieplnych.

- Degeneracja...

- Skąd! Pojemność czaszki stale się zwiększała. Był coraz bardziej inteligentny. Po prostu chciał latać...

- Rozmawialiście ze sobą?

- A jak pan to sobie inaczej wyobraża? Przecież ciągle wprowadzałem korekty ewolucyjne. Zresztą wymagał stałej opieki. W początkowym okresie całości przeobrażeń dokonały te oto ręce - wyciągnął przed siebie brudne dłonie i zaraz wbił je w kieszenie. - Oczywiście pod jego dyktando. Sam najlepiej wiedział, czego potrzebuje. Wtedy jeszcze potrafiliśmy się dogadać. Ostatecznie z kim najłatwiej dojść do porozumienia, jeśli nie ze sobą? Ale później, kiedy zdołał się ode mnie uniezależnić, straciłem nad nim kontrolę. Zaczął szukać nowych źródeł energii i znalazł. W pobliskim magazynie paliw jądrowych.

- To on?? Gazety przez miesiąc wałkowały temat tej kradzieży.

Chersten nie zwracał na mnie uwagi.

- W ciągu miesiąca, człowieku, w ciągu miesiąca potrafił się przystosować do napędu

nuklearnego. Jego ewolucja przybiera kolosalne rozmiary i staje się coraz szybsza. Nie wymaga żadnej ingerencji zewnętrznej. Boże, co ja bym dał, żeby móc bodaj na chwilę zerknąć do jego wnętrza!

Dotarliśmy do ściany lasu. Chersten dygotał.

- Widział pan kiedyś coś podobnego? - wskazał barwny, trójwymiarowy miraż - Jego robota. Nie wiem, do czego zmierza, co pragnie osiągnąć. Parę dni temu wrócił z wycieczki na Wenus, przygotowuje się do dalszych. Mnie, jego twórcę... co mówię, jest przecież prawie mną, ogarnia przerażenie na myśl o możliwościach, jakimi dysponuje.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że mógłby stanowić... zagrożenie dla ludzkości?

Docent wzruszył ramionami.

- On j u ż jest praktycznie niezniszczalny - syknął.

- Trudny do zniszczenia - sprostowałem ostrożnie. - Uderzenie atomowe przy pełnym zaskoczeniu...

- Zdałoby się psu na budę - dokończył Chersten. - Nie chodzi nawet o to, że jest zdolny przechwycić i odrzucić każdą porcję energii w dowolnej postaci. Ale nie sądzi pan chyba, że da się podejść jak dziecko? Taki krok przyniósłby nam wyłącznie szkody. Zwrócił pan uwagę na te odpadające anteny, prawda? Tak się kończy kolejny etap ewolucji. Nie potrzebuje już kamer telewizyjnych ani radaru: opanował nowy sposób odbioru bodźców wizualnych. Ale nie to jest najważniejsze. W tych dniach, słuchaj pan, w tych dniach uniezależni się od grawitacji!

Docent wlepił wzrok w moją twarz. Usiłował odczytać z niej wrażenie, jakie wywołały jego słowa. Uśmiechał się tak, jak gdyby szydził z samego siebie. Nie okazałem żadnych uczuć. Był tym wyraźnie zirytowany.

- A teraz, nim pójdziesz pan do diabła - powiedział - chcę jeszcze jedno zakomunikować. Ostatnio ulega nowej metamorfozie. Zachodzi ona przede wszystkim w części rufowej. Istnieją kapitalne podstawy do przypuszczeń, że dzień po dniu, sukcesywnie, przestawia się na napęd fotonowy!

Chersten westchnął, położył mi dłoń na plecach i pchnął mnie na masywny pień drzewa. Z wyciągniętymi odruchowo rękami znalazłem się nagle w objęciach rozwrzeszczanej, ponurej dżungli.

Z trudem przyszedłem do siebie. Zdołałem ująć dwadzieścia kroków, gdy zatrzymał mnie krzyk:

- Panie... jak tam panu, panie!

Głowa docenta wyrastająca z pęku lian wyglądała groteskowo.

- Niech pan powie Aszbachowi - domyśliłem się z ruchu warg - że Chersten poniósł kompletne fiasko. Tak będzie lepiej.

Machnąłem ręką na znak zrozumienia i ruszyłem do śmigłowca. Powiedziałem sobie wówczas: Chersten odegrał tę komedię przede mną, bo z zamiłowania jest komediantem i lubi szokować ludzi.

W kilka miesięcy później prasę światową obiegła dziwna wiadomość. Kometa Halley, mknąca w stronę Słońca, miała zbliżyć się do Ziemi na odległość gwarantującą upadek przynajmniej części jej jądra na obszar Afryki. Podczas gdy głowiono się nad sposobem uniknięcia spodziewanego kataklizmu, astronomowie ze zdumieniem stwierdzili, iż po wspomnianej komecie została jedynie chmura silnie rozrzedzonych gazów. Specjaliści wykluczyli wszystkie naturalne przyczyny mogące spowodować podobne przekształcenie.

Wtedy pomyślałem o Cherstenie.

*

Tego samego dnia, kiedy Chersten zmarł na atak serca, moimi myślami zawładnęły cudze myśli. Nakazały mi dwunastomiesięczne milczenie.

Dzieło Cherstena opuściło już Układ Słoneczny i znajduje się teraz w drodze do gwiazd. Dzisiaj minął rok od tamtej daty. Dlatego mogę bez obaw opowiedzieć tę historię. Odwrotnie niż Chersten, który po siedemnastu latach zjawiał się w gabinecie Aszbacha, aby przedwcześnie podzielić się z nim swoim triumfem.

Wywiadowca

Unifikacyjny Robot Szpiegowski Uniwersalnie Sterowany (w skrócie URSUS) z Mglawicy Psów Gończych zbliżał się do planety zamieszkałej przez istoty rozumne, o czym świadczyła kakofonia dźwięków dochodzących z urządzenia odbiorczego radiostacji, jak również kontrolowane wybuchy jądrowe.

URSUS wiedział, że cywilizacja, z którą miał się niebawem spotkać, należy do rzędu Klajstrowatych i wchodzi w skład rodziny Dwunożnych. Klajstrowaci, a zwłaszcza Dwunożni, byli gatunkiem mało znanym we wszechświecie, zaś mieszkańcy Mglawicy Psów Gończych ledwie o nim słyszeli. Dlatego też wyjątkowo starannie przygotowano elektronicznego wywiadowcę, wyposażając go w szereg zamiennych psychik i kolekcję powłok cielesnych na różne okazje.

Po wytraceniu prędkości podróźnej URSUS wszedł na orbitę pozwalającą na dogodną inwigilację planety. Już po czterech okrążeniach pojął, że wszystkie posiadane przez niego psychiczno-cielesne zestawy są diabła warte, zarówno bowiem wygląd zewnętrzny Dwunożnych, jak też ich mentalność daleko odbiegały od najbardziej wynaturzonej fantazji programisty.

Po głębokim namyśle z kilkudziesięciu powłok cielesnych skleił jedną, z grubsza przypominającą noszone przez Dwunożnych. Czuł się w niej nieswojo. Uwierała go, ścierała z korpusu emalię antykorozyjną i zmuszała do poruszania się w pozycji pionowej.

Z psychiką poszło mu jeszcze gorzej. Po kilkunastu godzinach wyczerpanej pracy cisnął garść mikroelementów w kąt najniższej ładowni i usiadł przed centralnym ekranem, szukając miejsca stosownego do lądowania. Przy okazji zapoznał się ogólnie z językiem używanym przez tubylców.

Na lądowisko wybrał rozległy plac w centrum dużej aglomeracji miejskiej. Włączył przeciwmeteoroidową osłonę siłową na wypadek, gdyby Dwunożni przywitani go seria pocisków.

Kiedy rakieta dotknęła ziemi, unieruchomił reaktor, zablokował stery i sprawdziwszy swój wygląd zewnętrzny skierował się ku wyjściu.

To co ujrzał po opuszczeniu statku kosmicznego, mocno go rozczarowało. Wokół

placu i między wysokimi budowlami przemykały dwu- i czterośladowe pojazdy, wydzielając z hałasem trujące związki chemiczne. Kłęby dymu wałące z odległych kominów spływały na miasto czarną, grubą opończę.

Widocznie odkażają planetę - pomyślał URSUS i po drabinie zszedł na twardą, bitumiczną powierzchnię placu.

- Halo! - usłyszał nagle za sobą.

W jego stronę podążał osobnik w ciemnym uniformie z metalowymi guzikami. Przy górnej kończynie dyndała mu półmetrowa, gumowa rura. Sądząc po ruchach, przedstawiciel Dwunożnych nie miał złych zamiarów.

- Halo - powtórzył, dotykając prawą macką nakrycia najwyższej partii swego ciała. - Jestem sierżant Brown. Kręcicie coś?

URSUS w ułamku sekundy przeanalizował zdobyte wiadomości z zakresu obowiązującej w tym rejonie leksyki. Kręcenie czegoś miało wiele znaczeń. Te, które poznał, określały mówienie nieprawdy, ruch obrotowy, działanie wokół interesów i grymaszenie, o ile w tym ostatnim przypadku wraz ze słowem „kręcić” wymawiano nazwę organu powonienia.

Na wszelki wypadek odrzekł:

- Well.

Przysłówek ten, jak już zdążył się zorientować, był powszechnie używany we wszelkich możliwych sytuacjach i mógł znaczyć wiele albo nic. Widocznie tubylec uznał odpowiedź za wystarczającą, gdyż objawił zainteresowanie statkiem kosmicznym.

Zaklasyfikowałbym ich raczej do rzędu Mazistych - pomyślał URSUS. Cały ocieka śluzem. A może to od temperatury? Chyba nie, jest przecież zaledwie trzysta stopni powyżej zera bezwzględnego.

- Ale kolos - mruknął raptem Dwunożny, klepiąc rakiety po stateczniku. - Ile to bydlę pali? Ja mam ostatni model „Bloodred flash of lightning”. Żre 18 na 100. A twój?

URSUS zastanowił się.

- Moje bydlę - rzekł ostrożnie - pali mniej więcej tyle samo.

Z otworu gębowego autochtona wyrwał się przerywany skrzekot:

- E, stary, zalewasz. 18 na 100, niech ja skonam! Chyba ton, co? Wy z Hollywood nie musicie przejmować się kryzysem paliwowym. Dla was zawsze się znajdą pieniądze. A jaki będzie tytuł tego filmu?

URSUS nie zrozumiał pytania. W ciągu kilku sekund przeprowadził ponad milion operacji myślowych, ale żadna nie zaowocowała rozsądną odpowiedzią.

- Przybyłem tutaj, by nawiązać kontakt - zaczął.

- Świetny! Może nieco za długi...

Tubylec urwał i wetknął do otworu gębowego srebrzysty, walcowaty przedmiot, z którego wydobył się wysoki dźwięk.

- Niech to diabli! - wrzasnął, wydzielając podwójną porcję śluzu. - Znowu rozjechali mi przechodnia! Tych urwisów trzeba ciągle pilnować.

Jeszcze raz pomacał górną kończyną nakrycie najwyższej partii ciała i susami podążył w stronę, gdzie wokół czterokołowego pojazdu gromadzili się Dwunożni.

URSUS został sam. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak mało wie o życiu tuziemców. Postanowił wmieszać się w tłum i obserwować ich codzienne problemy.

Dotarł do terenu wolnego od zabudowań. Porastały go wytwory natury podobne do tych, jakie widział na wielu innych planetach.

Wtem jego receptory słuchowe zarejestrowały dziwne odgłosy. Wyrzwał na zacienioną dróżkę. Dwaj Klajstrowaci w młodym wieku ciągnęli po ziemi trzeciego Klajstrowatego. Na podstawie pobieżnych oględzin URSUS doszedł do wniosku, że ciągnięty jest płci odmiennej od dwóch pozostałych.

Tak ubranych osobników oni nazywają kobietami - pomyślał.

Kobieta wyraźnie objawiała niezadowolenie. Wydobywała z siebie głosy o różnych tonacjach i sile. URSUS pilnie śledził bieg wypadków. Nawiązał łączność z pokładowym komputerem. Przekazał mu wszystkie dane i niecierpliwie oczekiwał odpowiedzi. Wkrótce nadeszła wprawiając go w zdumienie.

- A więc tak wygląda Miejsce Prokreacji Dwunożnych - mruknął do siebie i zadowolony z pierwszego odkrycia ruszył w dalszą drogę.

Pochwycił go prąd Dwunożnych śpieszących w kierunku rozległego tarasu. Były tu rozstawione okrągłe pulpity, chronione od góry różnobarwnymi płachtami. Przy pulpitych siedzieli Klajstrowaci obojga płci i ściskali w mackach naczynia wypełnione cieczą. Wlewali ją do otworu gębowego.

Do ust - poprawił się w myślach URSUS. Górna część ciała Dwunożnych nazywana jest głową, łbem, baniakiem, globusem, kubłem, makówką i pałą. Co za bogactwo językowe! Przednia część łba to morda, facjata, ryj, fizjonomia, twarz, oblicze lub pysk. Morda natomiast zbudowana jest z oczu, czyli patrzalek albo ślepi, nochala, względnie kinola oraz warg, zwanych także ustami, jadaczką, paszczą lub dziobem.

Zajął miejsce obok młodej Dwunożnej. Miała wyjątkowo bujne nitkowate zrogowaciałe wytwory naskórka.

Kudły, sierść, włosy, peruka - przypomniał sobie.

Ubrany na biało Klajstrowaty, który właśnie nadszedł, przejechał po pulpicie szarą płachtą materiału i wlepił w URSUSA patrzalki.

- Proszę? - powiedział.

- Dziękuję - odparł URSUS zgodnie z obowiązującą konwencją.

Dwunożny ponownie otrzepał płachtą pulpitu. Autochtonka pogłaskała go po ryju i szepnęła:

- Fred, zapłacę ci wieczorem, jak złapię klienta.

Nazwany Fredem kiwnął łbem, po czym znowu rzekł:

- Proszę?

URSUS zakłopotał się. Nagabywana obok przez identycznie ubranego tubylca grupa Dwunożnych odpowiedziała coś w rodzaju: „Dżinstonikiempięcrazy” i wówczas tubylec dał im spokój. Dlatego URSUS oświadczył:

- Dżinstonikiempięcrazy.

Dwunożny przestał machać płachtą i spytał ze zdumieniem:

- Pięć razy?

- Dżinstonikiempięcrazy - powtórzył URSUS.

Z zadowoleniem stwierdził, że autochton się oddala. Zauważył jednak, iż tamten porozumiał się z innymi na biało ubranymi osobnikami, którzy wlepili w URSUSA podejrzliwe patrzalki.

Czyżby mnie rozpoznali? - zastanowił się. Nie, to mało prawdopodobne. Widocznie „Dżinstonikiempięcrazy” jest sygnałem zastrzeżonym dla wtajemniczonych.

Kiedy Dwunożny postawił przed nim pięć pełnych naczyń. URSUS zrozumiał swój błąd. Postanowił natychmiast się wycofać, gdyż wzbudzenie ogólnego zainteresowania było niezgodne z założeniami jego misji. Niestety, drogę powrotną zastąpiło mu dwóch tubylców.

- A forszę to kto da? - zagadał jeden; wymachując w powietrzu kawałkiem materiału.

URSUS zrobił krok do tyłu. W głosie rozmówców wyczuł niezadowolenie.

- Well - odrzekł przezornie.

- Żadne „well” - warknął drugi Klajstrowaty. - Albo płacisz, albo dzwoniemy na komisariat!

URSUS przypomniał sobie zachowanie autochtonki o szczeciniastej głowie. Wyciągnął przed siebie górną kończynę, pogłaskał Dwunożnego po pysku i powiedział cicho:

- Fred, zapłacę ci wieczorem, jak złapię klienta.

Nie spodziewał się takiej reakcji. Dzwoniąc blachami korpusu wylądował na chodniku żegnany stekiem idiomów.

Widocznie jest to jedna z form kurtuazyjnych - pomyślał. Dziwne tylko, że taka karkołomna.

Włócząc się po mieście spostrzegł tłum Klajstrowatych, zmierzających zgodnie w stronę wielkiej budowli, którą od góry wieńczył neon: „Bobby’s Supermarket”. URSUS wraz z innymi minął oszklone wrota.

Jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one - pomyślał. Jest to jedna z zasad rządzących tą planetą.

Wzorując się na postępowaniu Dwunożnych, zabrał ze sobą druciany wehikuł na czterech kółkach i podążył w głąb długiej hali. Na jednym ze stelaży, zastawionych naczyniami, dojrzał stos metalowych puszek przypominających panele pamięci komputera. Obejrzał jedną dokładnie. Zamiast obwodów na wierzchu wydrukowano napis: „Koreczki śledziowe”.

Nazwa nieco oderwana - skonstatował URSUS. Może to rodzaj kamuflażu właściwej zawartości?

By nie odróżnić się od innych, położył puszkę na dnie ażurowego wasagu i poszedł dalej. Zastanowił go tłum Dwunożnych, grupujących się przy wyjściu. Każdy z tubylców ścisnął w macce prostokątny, ozdobiony zielonym wzorem, papierek. Wręczał go autochtonce obsługującej archaiczną maszynę liczącą i dopiero wtedy mógł opuścić halę wraz z zawartością wehikułu.

URSUS za pomocą kieszonkowej kopiarki powielił w kilkudziesięciu egzemplarzach jeden z takich świstków. Wzór na papierze przedstawiał górną część Dwunożnego. Nieco poniżej widniała liczba 100.

URSUS, podobnie jak pozostali tuziemcy, położył papierek obok zajętej liczeniem autochtonki i ruszył ku wyjściu.

- A reszta?! - usłyszał za sobą.

Prawdopodobnie popełniłem błąd - pomyślał pełen obaw, po czym wręczył Klajstrowatej resztę papierków. Chyba wystarczy to, co mam?

Autochtonka wytrzeszczyła ślepią. Stojący wokół tubylcy emanowali zaskoczeniem, niedowierzaniem i podziwem.

Dwunożny, na którego URSUS już wcześniej zwrócił uwagę, bo świdrował wzrokiem wszystkich Klajstrowatych, niczym robot przeznaczony do laserowego wiercenia otworów, podszedł teraz do osłupiałej autochtonki i jął przeglądać rozsypane na pulpicie karteluski.

- Autentyczne - stwierdził głucho. - Ale wszystkie posiadają jednakowy numer i tę samą serię.

URSUS nie wiedział, czy to źle, czy dobrze. Na wszelki wypadek rozpoczął odwrót.

- Poczekaj, ptaszku - zawołano za nim.

Choć zabrzmiało to pieszczotliwie, URSUS wolał zejść Klajstrowatym z oczu. Wybiegł na zewnątrz. Po paru minutach zgubił pogoń, tylko dwóch tuziemców uparcie deptało mu po piętach. Skręcił w opustoszały zaułek, gdzie wątłe światło lamp jarzeniowych rozpraszało mrok zbliżającego się wieczoru. Rozbrzmiewające za nim kroki przeszły w tupot i nagle poczuł uderzenie w plecy.

- Dawaj forszę!

Obejrzał się. Jeden z Dwunożnych ścisnął w prawej macce rękojeść błyszczącej klingi. Ostrze rozcięło powłokę zewnętrzną URSUSA i trafiwszy na stalowy kadłub - pękło na kilka części. URSUS zobaczył, jak twarz tubylca bieleje, a wytrzeszczone patrzalki nikną pod sklepieniem czaszki. Drugi z tuziemców, posługując się niedużym, połyskliwym urządzeniem zakończonym rurką, narobił mnóstwo hałasu, po czym szybko się oddalił, zostawiając leżącego na chodniku towarzysza.

- Niech mnie rozbiorą na części, jeżeli wiem, co o tym myśleć - powiedział głośno URSUS, ruszając w dalszą drogę.

Zatrzymał się przed jaskrawo oświetlonymi wierzejami, nad którymi wisiał szyld: WESOŁA KAŚKA. Poniżej rozpościerała się podobizna pozbawionej ubioru Dwunożnej. Wyciągała obie macki. Pod spodem płonął napis: „Wejdz! Właśnie na ciebie czekam.”

To jest zaproszenie - skostatował URSUS i wszedł do wnętrza budynku.

W ciasnym pomieszczeniu ustawionych było kilkanaście pulpity, przy których z rzadka siedzieli Dwunożni. Na podwyższeniu, w rogu sali, trzech tubylców wydobywało dźwięki z zestawu aparatury. Nikłe, żółtawe światło tonało w oparach dymu, którego stężenie podręczny analizator określał jako niebezpieczne dla życia organizmów Klajstrowatych i Mazistych.

URSUS spoczął przy najbliższym pulpicie. Wkrótce zjawiała się w pełni rozwinięta tuziemka o pękatym korpusie i odnóżach.

- Masz specjalne życzenie? - spytała. - Wolisz blondynki czy brunetki? A może chciałbyś pobaraszkować z rudą?

Jakkolwiek URSUSOWI baraszkowanie z niczym się nie kojarzyło, odpowiedział:

- Well.

- Lubię zdecydowanych facetów - ucieszyła się tuziemka. - Od razu widać, że ci się śpieszy. Zasuważ na górę. Jest taka jedna ładniutka pod numerem 16. Zapłacisz później. A może chcesz wpiw coś wypić lub potaćzyć?

URSUS bez ociągania udał się pod wskazany numer. W pokoju panował półmrok. Leżąca na miękkim podwyższeniu autochtonka uniosła się nieco. Środek jej ciała spowijał wąski pasek barwnej tkaniny.

- Siadaj - rzekła swobodnie.

Wykonał polecenie. Dwunożna bez pytania usadowiła mu się na kolanach. Wydawała wysokie, urywane dźwięki i żwawo przebierała kończynami. Bojąc się zdemaskowania chciał właśnie opuścić pokój, kiedy jej macka zupełnie nieoczekiwanie rozwinęła na całą długość sprytnie ukrytą teleskopową antenę.

Dwunożna zamarła na sekundę, a potem zerwała się i popędziła do drzwi. Z jej gardła jęło się wydobywać donośne, jednostajne wycie.

Zostałem rozpoznany - pomyślał URSUS. - Muszę natychmiast zmienić lokalizację.

Dobiegająca z dołu wrzawa upewniła go, że ma odciętą drogę odwrotu. Ale w ścianie budynku pozostawiono oszklony otwór. URSUS wybił szyby i skoczył w ciemność. Z kilku stron otoczyli go Dwunożni.

- Sądzę, że jest to początek końca, jak mówią na tej planecie - powiedział do siebie URSUS.

I miał rację.

Zaprowadzono go do Dwunożnego, który siedział za wielkim, masywnym pulpitem zawalonym arkuszami papieru.

- Od dwunastu godzin cię szukamy - rzekł Dwunożny. - Z jakiego jesteś wywiadu?

URSUS milczał. Nie wiedział, jakimi kryteriami rozumuje siedzący przed nim tubylec.

- Nie chcesz gadać, co? - kontynuował Dwunożny. - I tak wszystko wiemy. Mamy raport policjanta z patrolu drogowego, któremu nieopatrznie wyjawiliś, że szukasz kontaktu. Znamy hasło kontaktowe: „Dżinstonikiempięcrazy”. Mamy sfalszowane dolary i zeznania świadków, których napadłeś w zaułku na 49 ulicy. Dysponujemy też dowodem rzeczowym w postaci makiety statku kosmicznego. Nasi fachowcy zabiorą się do niej. Będziesz teraz gadać czy mamy ci pomóc? W Biurze Śledczym znają kupę sposobów pobudzających do wylewności. Jak grzecznie odpowiesz na parę pytań, już za tydzień postawimy cię przed sądem.

To rzeczywiście koniec - pomyślał URSUS. - W tej dziedzinie, jak widzę, Klajstrowaci zdecydowanie nas przerastają.

Nawiązał łączność z pokładowym komputerem i poprzez główną radiostację nadał w kosmos meldunek: „Wycofać latające talerze. Z inwigilacją tego Obszaru Galaktyki należy

się wstrzymać na kilka stuleci”.

Jeszcze raz skierował swe wizjery w szeroko otwarty dziób Dwunożnego, po czym przełączył manetkę dezintegratora i rozpadł się na mikroelementy wraz ze swoim statkiem.

„Chronos”

Profesor Vendower pił pierwszą tego dnia kawę, kiedy doręczono mu przesyłkę. Nadeszła razem z codzienną pocztą, ale już sam fakt, że była wartościowa i nietypowych rozmiarów, kazał zwrócić na nią uwagę. Brakowało nazwiska nadawcy. Zaadresowana na maszynie, szara koperta ostemplowana została w pobliskim urzędzie pocztowym. W lewym dolnym rogu ktoś dopisał ręcznie: „Do rąk własnych”. Widocznie, wysyłającemu zależało, aby list dotarł bezpośrednio do profesora, a nie chciał lub nie mógł dostarczyć go osobiście.

Vendower długo obracał kopertę w palcach, nim zdecydował się ją otworzyć. Zawierała kwadratowe, płaskie pudełko firmowe z taśmą magnetyczną w środku. Nic więcej. Gdyby nie znakomita jakość taśmy, można by podejrzewać, że ma się do czynienia z nowym chwytem reklamowym: mało kto czyta ulotki, ledwie się rzuca na nie okiem, ale niewielu odłoży na półkę szpulę magnetofonową przyniesioną przez listonosza.

Vendower skończył pić kawę, poprawił szlafrok i przesiadł się na fotel pod oknem obok radioli. Umieścił taśmę w kasecie, przekręcił gałkę i zapadł w miękkie oparcie.

Przez minutę z głośnika płynęły szумы własne wzmacniacza. Potem głośnik odezwał się szelestem, jak gdyby w głębi pokoju rozkładano gazetę, ktoś wziął do ręki mikrofon, odchrząknął i powiedział:

- Mam nadzieję, że nikt oprócz pana, profesorze, nie jest obecny przy odtwarzaniu tego zapisu. Jeśli nie, proszę wyłączyć magnetofon. To więcej niż prośba.

Głos umilkł, jakby czekał na odpowiedź lub spełnienie żądania. Po chwili podjął:

- Nazywam się Matt Szilard i kilkanaście lat temu miałem zaszczyt być pańskim studentem. Sądzę, może zarozumiale, że pamięta pan moją skromną osobę. Tyle wieczorów upłynęło nam na niekiedy wręcz zażartych dyskusjach... Później, gdy skończyłem Akademię, zabrakło mi czasu, by kontynuować nasze spotkania. Przepraszam... Przez te osiem lat nazbierało się wiele rzeczy do powiedzenia, ważnych rzeczy, dlatego proszę, żeby pan mnie wysłuchał...

Vendower uśmiechnął się. Pamiętał tego szatyna w grubych szklach i o mizernej postaci, jakby zalęknionej i nieufnej. Często o nim myślał i wtedy nieświadomie nazywał go synem. Ale zbyt dużo w jego życiu przewinęło się studentów, żeby te niezaspokojone

ojcowskie uczucia przelać na jednego, choćby był mu tak bliski, jak Matt Szilard, niepoprawny fantasta i marzyciel.

- Zacznę od początku i będę mówił o sobie w czasie przeszłym, bo zresztą w dniu, w którym zapozna się pan z treścią tej taśmy, inaczej o mnie nie można będzie mówić. A więc n a z y w a ł e m s i ę Matt Szilard. Całe życie poświęciłem fizyce, przede wszystkim problemowi, który przez trzy lata był przedmiotem naszych rozważań, dyskusji i sporów. Jak się pan domyśla, chodzi mi o czwartą współrzędną czasoprzestrzeni, a zwłaszcza o możliwość poruszania się w czasie. Problem ten, namolnie wałkowany przez twórców science-fiction, przeszedł kolejne fazy eksploatacji aż do zupełnego ośmieszenia. Wreszcie przestano się nim zajmować, tylko gdzieś tam, w pracowniach zapaleńców podobnych do mnie, odżywa na nowo, z różnym zresztą skutkiem. Mówię o sobie „zapaleniec”, bo istotnie nim byłem. Myśl zbudowania „Chronosa”, jak nazwałem swój wehikuł czasu, spędzała mi sen z powiek od szesnastego roku życia, a kiedy rozpocząłem studia, przyjęła rozmiary obsesji. Dlaczego? Skłamałbym twierdząc, że zadawałem sobie to pytanie wiele razy. Może zrazu przyczyna narastającego natręctwa przedstawiała mi się dość niejasno, podejrzewałem ją tylko, ale już po osiągnięciu pełnoletniości zrozumiałem... nie, to złe słowo: p o c z u ł e m, że ona tkwi we mnie, powiedziałbym nawet, że jest determinantą mego losu... Winię panu wyjaśnienie, na czym polega ta moja obsesja. Nazwijmy to właśnie tak. Otóż... Otóż w 1945, w 45 powtarzam, to był rok wyjątkowo krytyczny, przełomowy... Mam na myśli szósty sierpnia... Wtedy zginęło osiemdziesiąt tysięcy osób, później dalsze. Do dzisiaj... A wie pan, co jest najbardziej tragiczne? Że oni już tego nie pamiętają, nie to, że nie chcą znać prawdy, wyrzucić z siebie, zapomnieć, by nie zwariować, oni po prostu... ich to po prostu nie interesuje. Niech pan spyta kogokolwiek w Hiroshimie, popatrzy na pana jak na zielonego ludzika z sześciorgiem kończyn. A przecież jeszcze teraz chodzą po ulicach potwory, kto wie, czy nie monstrualniej wynaturzone niż ten zielony ludzik... Profesorze, ja nie winię siebie, właściwie mógłbym powiedzieć, że nie mam z tym nic wspólnego, bo nie mam, i to jest bezsprzeczne, może tylko jako pomiot, kontynuacja rasy, która odważyła się... Ale jeden z moich przodków był odpowiedzialny. Nieważne, czy jako konstruktor czy polityk... I proszę czasem nie brać pod uwagę Leo Szilarda, którego zbiegiem okoliczności noszę nazwisko. Leo Szilard należał do „rodziny fizyków” i zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, aczkolwiek jako naukowiec miał obowiązek prowadzić badania. Ten stan rzeczy znakomicie oddają jego słowa zamieszczone w książce Roberta Jungka, którą odnalazłem w zapomnianym, nie zasługującym na miano archiwum, składzie, szczęściem, dzięki wybujałej ambicji antykwariusza, włączonym do systemu INTERSAT. Leży teraz ten tom przede mną, otwarty

na poźółkłej stronie z numerem 138. Niech pan posłucha: „Na wiosnę 1945 roku, podczas gdy w stanie Utah szkolono już pilotów do pierwszego lotu atomowego, Leo Szilard, właściwy inicjator amerykańskiej bomby atomowej, zrobił ostatnią próbę, by schwytać upiornego »dzina« i uwięzić go, zanim zdąży sprowadzić nieszczęście na świat. Szilard z godną uwagi szczerością tak odmalował później nastrojowych miesięcy: »W ciągu całego roku 1943 i części 1944 największą naszą troską było, żeby Niemcy nie skonstruowali bomby atomowej przed inwazją aliantów w Europie... W 1945 roku, gdyśmy się przestali martwić, że Niemcy mogą nam zrobić coś złego, zaczęło nas trapić pytanie, co rząd Stanów Zjednoczonych może wyrządzić innym krajom«. Tak, takie wówczas panowały nastroje... Może nawet i politycy mieli skrupuły, ale żaden ich nie manifestował. Myślę, że wtedy wszystkich nurtowały wątpliwości oprócz, rzecz jasna, fanatyków. Zwyciężyła nieświadomość, poczucie zagrożenia, instynkty wyzwolone przeciągającą się wojną... Tę wojnę byłbym skłonny im wybaczyć. Na ziemi wojny rozpoczęły swój pochód od momentu syntezy pierwszej komórki białkowej. Wojny trwają obecnie. Inne co prawda, ale może bardziej jeszcze dramatyczne. Wojny, przepraszam za uogólnienie, będą zawsze, bo razem z ich ustaniem, ustanie życie. Ale chodzi o środki. Wiem, że wartość każdej zdobyczy naukowej jest szacowana według jej przydatności, w pierwszym rzędzie militarnej. I nawet z tym jestem gotów się zgodzić. Z wieloma innymi rzeczami także, tylko nie z bombą, profesorze, tylko nie z bombą atomową!

Matt Szilard przerwał. Zadzwończyły naczynia, jak gdyby niepewną ręką unosił ze spodka szklanę. Przełknął kilka łyków płynu i podjął:

- Widziałem film. Niejeden... Dobrze, zostawmy ten temat. Chcę jedynie, żeby pan wiedział, że musiałem tam wrócić. Zgoda, jest coś mistycznego w zaplanowanej ingerencji w losy świata, jednak nie kierowałem się odruchami irracjonalnymi, przeciwnie, postawiłem przed sobą konkretne zadanie: dotrzeć do ich pracowni i wydrzeć im tę tajemnicę, której wyjawienie przyniosło śmierć ćwierci miliona istot. Nie miałem pojęcia, w jakim stopniu mogło to zaważyć na dalszych losach naszych przodków, a może i na terażniejszości, ale pragnąłem jednego: wyrwania przekłetej karty z historii ludzkości. - Szilard zamilkł na chwilę, a potem dorzucił sarkastycznie: - Duże słowa, co? No cóż, inaczej tego wyrazić nie potrafię. W końcu wypowiedziałem je po to, by ułatwić zrozumienie panu tego, co przeżywałem ślęcząc godzinami przy obliczeniach. Osiem lat... Profesorze Vendower, jeszcze raz wspomnę nasze wspólnie przegadane wieczory. Profesorze, obraliśmy fałszywą drogę. Zacząłem to pojmować, nim obroniłem pracę dyplomową. Właściwa była nawet prostsza, ale przeczyła wszystkim moim dotychczasowym przekonaniom, rodziła we mnie konflikty i dlatego bałem się pójść nią od razu. Dwukrotnie otwierałem usta, żeby powiedzieć panu o

swoich podejrzaniach i dwukrotnie zamykałem je wstydząc się własnych teorii. Okazało się, że niesłusznie. Wie pan, jak trudno jest rozpocząć od nowa. Trzy razy zmieniałem założenia i trzy razy przeprogramowywałem swego „Compilaxa”. Nie obyło się bez utarczek z technikami CIT-u. Chcieli wiedzieć, czemu nie przychodzę do Centrum Informatycznego, tylko maltretuję domowy komputer problemami, dla których rozwiązania potrzebnych było tyle danych, że blokowały magistralne łącze. Oczywiście nie liczyłem na to, że „Compilax” pomoże mi rozwiązać zadanie, miał jedynie pozostawać w ciągłym kontakcie z CIT-em, by w razie konieczności zdobyć niezbędne informacje. I stale, choć pracowałem niekiedy po dwadzieścia godzin na dobę, zagadnienie obracało się w sferze marzeń. Powiedziałem sobie: „Wobec tego niech w niej zostanie”, i wziąłem się za mniej istotne szczegóły, z których miałem nadzieję, uda mi się sklecić całość. Zapomniałem wówczas o celu, widziałem przed sobą wyłącznie surowy materiał doświadczalny, materiał, który należało obrobić, ujarzmić... I tak, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, krok po kroku posuwałem się naprzód, aż nadszedł dzień... Jeden z najbardziej tragicznych... Okazało się... Nasi przodkowie uzasadniali trwanie przeszłości w następujący barwny sposób: „Jeżeli przy drodze stoi drzewo, a pieszy, który jest pozbawiony możliwości spojrzenia za siebie, minie je, to dla niego to drzewo przestało istnieć. Ludzkość jest w sytuacji tego człowieka. Zdaje sobie sprawę, że czasy, które minęły, istnieją nadal, ale nie ma możliwości powrotu.” Zastanawiając się nad analogiami między przeszłością a przyszłością, dojdziemy do wniosku, że ten samotny pieszy odnajdzie na swej drodze jeszcze wiele drzew. Mając do dyspozycji maszynę czasu, mógłby je, podobnie jak motocyklista, minąć szybciej i w ciągu kilku minut znaleźć się przy drzewie, do którego ludzkość dodrepcze za, powiedzmy, sto lat. Otóż to nieprawda. Bo ludzkość nie idzie po wytyczonej drodze. To fakt, że zostawia za sobą przetarty szlak, ale przed sobą widzi tylko dziewiczy krajobraz. I od niej samej zależy, w którą stronę skieruje kroki, a tego nikt nie potrafi przewidzieć. Toteż przykładowy motocyklista mógłby zajechać na manowce i bezskutecznie czekać pod wybranym przez siebie drzewem. Z tego też powodu, profesorze Vendower, należy całkowicie wykluczyć możliwość wycieczki w przyszłość. Zmarnowałem blisko dwa lata, by poprzez końcowe wyliczenia ujrzeć żelazną kurtynę odgradzającą nas od jutra. Wtedy po raz pierwszy i chyba ostatni ogarnęło mnie zniechęcenie. Chciałem rzucić wszystko do diabła, wyjechać, zapomnieć. Nie mogłem. W końcu nie szło o eskapadę w przyszłość, wręcz przeciwnie. Ale czy z przeszłością nie będzie podobnie? - spytałem siebie. - Czy gdyby udało mi się skonstruować „Chronosa”, nie zastanę w 1945 roku jedynie śladów przemarszu ludzkości? Ależ w pewnym sensie o to chodzi! Żeby zatrzeć te ślady, zostawić nowe, w innym miejscu. Tak, tyle że to, o czym myślałem, było wprawką filozoficzną,

podczas gdy obliczenia opierały się na naukach ścisłych i dopóki ich nie przeprowadziłem, ani nie zaprzeczały, ani nie potwierdzały moich domysłów. Minęły następne lata. W tym czasie udało mi się uchwycić główną myśl konstrukcyjną i żeby nie mitrzyć czasu, równoległe z pracą ściśle konceptualną prowadziłem roboty montażowe. Aż wreszcie... Profesorze Vendower! Po pięciu latach zbudowałem „Chronosa”! Pięć lat - zgoła nic, lecz dla mnie te lata były jednym pasmem zmagania ze sobą, z przyrodą, z matematyką. Z prawami rządzącymi światem. Pięć lat... I po pięciu latach udowodniłem sam sobie, udowodniłem niezłomnie, że choć podróż w przeszłość jest do zrealizowania, to do niczego nie będzie mi przydatna. Bo przeszłość już się dokonała, została zapisana w czasie, utrwalona lepiej niż cokolwiek, na zawsze. A w tej przeszłości nie było przecież mnie z moim idiotycznym urządzeniem. A jeśli byłem, to niematerialny, pozbawiony wpływu na życie ówczesnych. Mogłem stać między nimi otoczony spolaryzowaną przestrzenią i biernie przyglądać się ich poczynaniom. Tylko tyle. Nim moja klęska wynikła z obliczeń, przeświadczenie o jej nadejściu ogarnęło mnie w trakcie pierwszej próby prototypu. Napięcie włączyłem na moment, bo zbyt długie przeciążenie wywaliliby bezpieczniki. Cyfry w okienku indykatora mocy pokryły się mgiełką, światło przygasło i usłyszałem łoskot: implodowało powietrze otaczające kapsułę przestrzeni znajdującej się pod wpływem ujemnego pola. Tym sposobem ekspediowałem w niedaleką przeszłość część atmosfery, a próżnia po niej została wybuchowo wypełniona.

Szilard znowu sięgnął po szklanekę. Pił łapczywie, jak po wyczerpującym i długotrwałym wysiłku.

- Następnym eksperymentów nie robiłem - oświadczył, gdy ugasił pragnienie. - „Chronos” działał i to było najważniejsze. Poza tym szarpały mnie wewnętrzne sprzeczności i jeżeli kiedykolwiek, to właśnie wtedy byłem bliski rezygnacji. Ale w obliczeniach była luka. Maleńka, zdawało się, że bez znaczenia dla końcowego efektu, ale luka - furtka, za którą biegła wąska, kamienista ścieżyna. Znowu zabrałem się do pracy. Do pracy trwającej trzy lata. Nie będę pana zanudzał drobiazgami, stwierdzę tylko, że po tych trzech cholernych latach, często latach głodu, a zawsze samotności, latach najbardziej dramatycznych, odnalazłem swoją szansę. Nie, nawet panu nie zdradzę szczegółów, powiem jedynie, że za cenę życia pozwalała mi przekroczyć barierę czasu. Na ułamek sekundy mogłem się znaleźć w minionym świecie jako żywy, postrzegalny zmysłami przodków człowiek. Miałem ten ułamek sekundy na wprowadzenie korekty i postanowiłem go wykorzystać. Istnieje jeden jedyny sposób zapobiegnięcia tragedii Hiroshimy: na przykładzie przypadkowego wybuchu w którymś z ośrodków badań jądrowych, ukazać światu całą groźbę produkowanej tam broni.

Istnieje, i jeszcze dzisiaj zamierzam go urzeczywistnić. W rachubę wchodzi wyłącznie Los Alamos - ojciec bomby atomowej i chyba jedyny znaczący w latach wojny ośrodek. Teraz zarasta zielskiem, ale kiedyś na jego terenie przeprowadzano próby wewnętrznych mechanizmów bomb jądrowych. Dysponuję dokładnym planem pomieszczeń. W jednym z nich, oznaczonym na planie żółtą kropką, ustalano doświadczalnie masę krytyczną każdej wyprodukowanej bomby. Te próby wykonywano bez specjalnych środków ostrożności: dwie półkule uranowe posuwano na szynach ku sobie, dopóki nie zapoczątkowano reakcji łańcuchowej. Myślę, że wystarczy trącić eksperymentatorowi rękę... Tak, profesorze Vendower, za niecałą godzinę załaduję „Chronosa” na platformę poduszki i udam się do Los Alamos, by otoczony spolaryzowaną przestrzenią, z palcem na przycisku usuwającym barierę czasu, brać udział w jednym z doświadczeń i czekać na stosowny moment... Żegnam.

Głośnik zamilkł. Vendower wyciągnął rękę w stronę magnetofonu, jak gdyby chciał zatrzymać Szilarda, zmusić go do kontynuowania opowieści, w trakcie której miałyby czas przedsięwziąć jakieś środki zaradcze, odwieść go od tego desperackiego pomysłu.

Cofnął dłoń. Taśma przewinęła się do końca i silnik znieruchomiał, a profesor mocniej wtulił plecy w oparcie fotela. Zamknął oczy.

Wydało mu się dziwne, że Szilard przy swym doskonałym zorientowaniu przeoczył konkluzję, której przecież był wyrazicielem. A jeśli nawet nie przeoczył, to przynajmniej nie wziął pod uwagę. „Przeszłość już się dokonała, została zapisana w czasie, utrwalona lepiej niż cokolwiek, na zawsze” - powtórzył w myślach. Zatem na co liczył Szilard? Czyżby owa obsesja, jak ją sam nazwał, przyćmiła jego umysł do tego stopnia, że przestał sobie zdawać sprawę z braku sensu między własnymi logicznymi skądinąd wnioskami a działaniem? Czyżby zaaferowany swym wynalazkiem nie pomyślał, że jego ingerencja, tak czy inaczej interpretowana przez ówczesnych, powinna zostać również odnotowana jako fakt historyczny? A może n i e d a n e mu było o tym wiedzieć, może m u s i a ł tak właśnie postąpić?

Vendower był pewien, że Szilard zrealizował obietnicę. Wczoraj ktoś mu doniósł o tajemniczej eksplozji na terenie byłego Ośrodka Badań Jądrowych w Los Alamos. Nie świadczyło to oczywiście o niepowodzeniu, Szilard mógł dotrzeć do odpowiedniego roku, ale co dalej? Na to pytanie Vendower miał gotową odpowiedź: doprowadził zadanie do końca.

Kronikarze Ośrodka w Los Alamos zanotowali tragiczne w skutkach zdarzenie. Podczas przygotowań do doświadczenia z bombą, które polegały na ustaleniu masy krytycznej, poniósł śmierć młody fizyk. Nazywał się Slotin i był laureatem nagrody za biofizykę londyńskiego King's College. Pamiętnego dnia grupa Ottona Roberta Frischa, jak

zwykle w prymitywny sposób ustalała „crit” mechanizmu wewnętrznego bomby atomowej. Slotinowi zbliżającemu delikatnie obie połówki uranu drgnęła niespodziewanie ręka. Natychmiast oślepiający, niebieskawy blask wypełnił całą salę. Do wybuchu nie doszło, Slotin bowiem w ostatniej chwili rozłączył półkule przerywając reakcję łańcuchową. Zapłacił za to życiem.

Vendower poruszył się. Czy to właśnie była ingerencja Szilarda? Jeżeli tak, należało mówić o skutkach działania człowieka, który miał przyjść na świat dopiero wtedy, gdy skutki te staną się już odległym faktem historycznym. Zatem postępowaniem Szilarda kierowało przeznaczenie. Jego słaba ostrość widzenia hipotez graniczących niemal z pewnikami, których był bądź co bądź autorem, potwierdzała przypuszczenia Vendowera. Ale czy poczynania innych nie były także z góry określone? Czy podsunięcie ludziom broni masowej zagłady nie było gestem piekielnego fatum? Wobec tego przyszłość nie przedstawia się tak, jak ją malował Szilard. Nie przypomina dziewiczego krajobrazu. Jest już zbudowana, ustalona niczym projekt dekoracji teatralnej i czeka na przemarsz człowieka.

Vendower nie mógł znaleźć jednoznacznej właściwej odpowiedzi. Pierwszy raz od niepamiętnych lat nie wiedział, jak ma postąpić. Bo tam, niżej, w obszernej suterenie stał „Chronos”, jego „Chronos”, prawie ukończony. Jeżeli on był również efektem pracy determinowanej przeznaczeniem, to jakim celom miał służyć? Czy wbrew twierdzeniom Szilarda, wycieczkom w przyszłość, czy do przeszłości, której on, profesor Vendower, nie zamierzał poprawiać, nawet podglądać. A może zgodnie ze zrzędzeniem losu budował „Chronosa” dla samej idei budowania? Czy jeśli teraz zniszczy swe dzieło, będzie to przeznaczeniem, zakładając jego istnienie? Czy inni współcześni nie idą tym samym śladem i nie znajdują lepszego wyjścia niż Szilard? A choćby nie, to czy - nawet gdy podobny Szilardowi szaleniec, który narodzi się dopiero w przyszłości, i który widząc skutki dzisiejszego wynalazku, wysadzi go w powietrze razem z twórcą - to czy ludzkość nie skonstruuje w końcu, podobnie jak bomby atomowej, swojego „Chronosa”? Wszak człowiek ciągle idzie naprzód. Potyka się, upada, ale idzie... Może nawet na przekór przeznaczeniu.

Profesor Vendower nie otwierał oczu i skulony siedział w fotelu.

Miejsce do życia

Karlskoga przyciskał pedał gazu, jakby rozgniatał łeb jadowitej żmii. Tunel, w który wjechał trzy godziny temu, miał się skończyć za kilka minut. Dokładnie za pięć. Pięć minut pomnożone przez prędkość samochodu dawało w wyniku ponad czternaście kilometrów, która to odległość, w porównaniu z już przebytą, była śmiesznie mała.

Tunele należały do tych nielicznych miejsc, w których Karlskoga odzyskiwał dobre samopoczucie i wiarę w ludzi. Budowniczości nie żalowali tu okleiny dźwiękochłonnej, odwrotnie niż w miastach, gdzie taką okleinę wydzielano na kartki. Silnik jego samochodu nie pracował głośno nawet przy najwyższych obrotach, ale po trzech godzinach jazdy, choćby za miastem, miałby watę w uszach. Teraz czuł się doskonale. Tak doskonale, że z sympatią spojrzął na wielozakresowy radiodbiornik, który w normalnych warunkach wzbudzał w nim obrzydzenie i lęk. Także nienawiść.

Wiara w lepsze jutro wracała mu również Na Dole, gdzie mieściły się Biura. Urzędnicy dosyć skutecznie niszczyli w nim tę wiarę, ale już samo przebywanie w pomieszczeniach, w których rodziła się jego - o innych nie myślał - przyszłość, dawało mu złudzenie niedalekiej stabilizacji. I kiedy Starszy Referent Pangwe, przecierając zaczerwienione, kurze powieki, mówił: „Cierpliwości”, zamiast rąbnąć go w siwy łeb dziurkaczem, Karlskoga emanował pokorą i cichym entuzjazmem. Entuzjazm ten narastał w nim od dwudziestego siódmego roku życia, by osiągnąć apogeum w trzydziestym piątym. Jednocześnie rósł jego szacunek dla Urzędników pracujących w Biurach i przekonanie o niezawodności biurowej maszynierii, która wprawdzie ospale, lecz dokładnie i z konsekwencją wprawionego w ruch walca drogowego, obracała swe tryby.

Aż nadszedł dzień, gdy Karlskoga o godzinie podanej na Wezwaniu wśliznął się do gabinetu Starszego Referenta Pangwe i z miną zbitego psa stanął w kącie, aby jak najmniej rzucać się w oczy.

Na biurku Starszego Referenta stała szklanka herbaty o barwie dojrzałej pszenicy, kalendarz i dziurkacz. Pangwe mrużył krótkowzroczne oczy, bo klosz otulający lampę nad biurkiem kładł głęboki cień na wszystko, co pozostawało poza stosunkowo mocno skoncentrowanym kręgiem światła.

- Może pan łaskawie podejdzie bliżej - powiedział Starszy Referent.

Karlskoga zbliżył się. W spoconych palcach ścisnął Wezwanie.

- A poznaję, poznaję... No cóż, niech pan usiądzie.

W powietrzu unosił się zapach butwiejących papierów: agregaty filtrowentylacyjne od lat były najsłabszą stroną Biur. Pół roku temu na skutek awarii instalacji nawiewnej zginęło sześciu Urzędników, w tym jeden bardzo zasłużony. Znalezione ich przy biurkach, kiedy to tydzień później - licząc od dnia wypadku - kasjerka podniosła alarm, ponieważ nie odebrali poborów. Jakkolwiek było to tragiczne zdarzenie, pozostałym pracownikom Biur nie sprawiło przykrości, albowiem na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Koordynacyjnej podjęto uchwałę o podwyższeniu dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach.

- Pan w jakiej sprawie?

- Otrzymałem Wezwanie.

- Czyżby? Może pan je okazać?

Karlskoga wyciągnął przed siebie kartkę, na której figurował podpis Starszego Referenta Pangwe.

- Zgadza się - z głębokich oczodołów ocienionych gęstwiną szpakowatych brwi wyzierało zadowolenie.

Na końcu tunelu zapłonęło półkole dziennego światła. Wraz z nim do kabiny samochodu dotarły pierwsze dźwięki. Wylot rósł w oczach, ale jeszcze prędzej narastał hałas. Jak gdyby ktoś otoczony kolumnami głośników, z masochistycznym wyrafinowaniem pokręcał gałką wzmacniacza. Karlskoga założył na uszy ochraniacze, starając się nie myśleć o konsekwencjach, jakie za to grożą. Do dzisiaj, choć od tamtego incydentu minęło dwadzieścia lat, pamiętał prerażenie staruszka, którego Patrol wywlekał z wagonu kolei podziemnej. Biedaczysko cierpiał prawdopodobnie na zapalenie ucha środkowego i ratował się, jak umiał: kłębkami ligniny. Może nie stać go było na lekarza, może właśnie jechał po poradę - to zapewne ustalił Oficer Śledczy.

Wychynął na powierzchnię. Potok jaskrawego światła chlusnął mu w twarz. Odruchowo zamknął oczy i przegapił miejsce, w którym wąska trasa tunelu łączyła się z ośmiopasmową szerokością dwukierunkowej jezdni. Miasto przywitało go koncentratem jazgotu, ryku, wrzasku, warczenia, osłabionym dzięki ochraniaczom. Skondensowany, pulsujący łomot wściekle kontrastował ze spokojem tunelu, pomijając już pomieszczenia Biur, w których panowała cisza niemal absolutna.

Biura zlokalizowano we wnętrzu byłego schronu. Ich założyciel, Liviu Délémont Delrac, Patron Urzędników, opracował ponad tysiąc dwustu stronicowy Program, którego

ideę wyrazić można było jednym zdaniem: „Jedynie praca biurowa wymaga całkowitego spokoju i całkowitej ciszy”, a z którego - podczas tworzenia Nowego Harmonogramu Urzędowania - czerpano te treści, jakie pomijał bądź przemilczał Stary Program.

Portret Liviu Délémont DeLraca wisiał nad biurkiem Starszego Referenta Pangwe, oświetlony od dołu ćmiącą fiołkową żaróweczką na znak, że Patron ciągle czuwa. Poza nim nic nie zdobiło ścian. Od stropu do posadzki zasłaniały je pękające od akt regały. Część nie mieszczących się w szafach segregatorów ułożona została na podłodze.

Pangwe z pietyzmem położył przed sobą czysty kwestionariusz osobowy. Wyjął z szuflady flamaster o kształcie gęsiego pióra i poruszył wargami, jakby oceniał smak pierwszego zasadniczego pytania.

- Imię, nazwisko, - dokładna data i miejsce urodzenia, imiona rodziców, aktualny domicyl.

Karlskoga podał dane personalne automatycznie, bez udziału myśli, jak gdyby odmawiał pacierz. Powtarzał je Starszemu Referentowi już setki razy, czyli w trakcie każdej wizyty. Samych jego kwestionariuszy osobowych starczyłoby na pięciotomową powieść. Z pamięci klepał swój życiorys w kolejności rubryk, chociaż wiedział, że irytuje tym Pangwego, który lubił co rubryka zrobić efektowną pauzę i z nabożeństwem, a jednocześnie chytrze, jak inspektor prowadzący dochodzenie w sprawie kryminalnej, postawić kolejne pytanie.

Karlskoga jechał pasem najszybszego ruchu. Minał bezkolizyjne skrzyżowanie, przeciął rondo komunikacyjne i skręcił w jedną z ulic podporządkowanych. Rozglądał się za jakimś barem, gdzie by mógł szybko i tanio zaspokoić głód. Czekala go jeszcze przeszło godzinna jazda na drugi koniec miasta. Zatrzymał się przy krawężniku, zaraz za starym, odrapanym cavillem. Zerwał ochraniacze, wepchnął je do skrytki obok kierownicy i wysiadł z samochodu. Eksplozja decybeli, które wdarły się do pozbawionych ochrony uszu, odebrała mu na parę minut zdolność rozróżniania poszczególnych dźwięków. Słyszał tylko przeciągły, prawie nie modulowany ryk, jak gdyby wsadził głowę do dyszy wylotowej startującego odrzutowca.

Większość prywatnych megafonów zainstalowanych na balkonach i w oknach wieżowców była nieczynna: ich właściciele przebywali w pracy. Za to głośniki należące do firm i przedsiębiorstw zachłystywały się nadmiarem informacji i mocy, która tłoczyła w nie te informacje. Po chodnikach tłumy przechodniów sunęły z zimną obojętnością; rzadko kto wznosił wzrok ku górze lub zerkał na wystawę. Ludzie zdawali się wsłuchani w siebie.

Przez uchylone na parterze okno dojrzał sylwetkę dziewczyny. Jej młode, zaokrąglone policzki pokrywał rumieniec emocji. Z błyszczącymi jak kontrolki wzmacniacza oczyma

pochylała się nad srebrzystym mikrofonem. Przed nią na pulpicie leżały notatki. Odczytywała głośno ich treść. Padające słowa pobudzały elektronowy wskaźnik; przekształcone w impulsy elektryczne biegły przewodami do zestawu głośników umieszczonych pod parapetem, skąd - ponownie zamienione na dźwięki, i zwielokrotnione - wypadały na ulicę.

Karlskoga podszedł bliżej, by usłyszeć, co dziewczyna pragnie zakomunikować, ale jej słowa mimo wzmocnienia ginęły w ogólnym wyciu i dudnieniu. Z dwu najbliższych gigantofonów płynęły na przemian wyrazy jak w czasie zażartej kłótni: „...zacołanie...”, „...rozkwit...”, „...kołtuństwo...”, „...progresja...”, „...wsteczność...”, „...rozrost...”, „...reakcyjność...”, „...rozwój...”, „...obskurantyzm...”, „...postęp...”, „...talmudyzm...”, „...oświata...” Jeszcze raz rzucił okiem na dziewczynę. Przez chwilę zapragnął zwrócić na siebie jej uwagę.

We wnętrzu schludnej restauracyjki posilało się czterech czy pięciu mężczyzn. Zajął stolik przy ścianie i skinął na rumianego właściciela w przybrudzonym fartuchu. Właściciel opierał się biodrem o radiofonizowany kontuar i krzyczał do mikrofonu. Jego głos docierał do wszystkich obecnych: masywne drzwi i grube szyby wystawowe dosyć skutecznie tłumili uliczną kłopotę.

- Zapamiętajcie! Tylko u Yogina zostaniecie obsłużeni z należywym szacunkiem, zrozumieniem i błyskawicznie! Tylko Yogin przyrządza befsztyki zgodnie z recepturą! Befszyki Yogina odznaczają się niebiańskim aromatem, boskim smakiem, a trawi się je jak papkę dla niemowląt!

Karlskoga miał apetyt właśnie na befsztyk bez względu na to, czy był produkcji Yogina, czy innego diabła. Przywołał właściciela. Tamten machnął niecierpliwie ręką. Kontynuował:

- Restauracja Yogina dla pleno tytuło klientów, stoi otworem przez okrągłą dobę! Nikt nie wyjdzie stąd głodny albo co gorsza, niezadowolony! Obsługa w lot odgaduje myśli naszych gości!

Starszy Referent Pangwe nie umiał odgadywać myśli swoich rozmówców. Zdawać by się nawet mogło, że zaraz po ich wyjściu jego umysł poraża głęboka i nieodwracalna amnezja.

- Więc pan skończył dwa fakultety? - zdumiał się po raz może tysięczny.

Nie było powodu do zdziwienia, większość ludzi studiowała do 27 roku życia. Różnica polegała na tym, że jedni doktoryzowali się, drudzy zaś przez te lata zdobywali dodatkowy dyplom na następnym wydziale.

Karlskoga nie uczył na wykłady jedynie po wiedzę. W aulach przede wszystkim

odpoczywał od szalejących w mieście decybeli. Zdawał sobie sprawę, że do 27 roku ma zabezpieczony azyl ciszy. O przyszłości, która zaczynała się po przekroczeniu Górnej Granicy Wieku Kształcenia, myślał ze strachem.

- I nie jest pan żonaty ani nie ma dzieci? - było to nowe pytanie w wyświechtanym repertuarze.

- W związku małżeńskie postanowiłem wstąpić dopiero po otrzymaniu Przydziału.

Twarz Starszego Referenta Pangwe stężała. Jego oczy wyrażały skupienie, jakby gonił uciekającą myśl. Na zszarzałych policzkach osiadła konsternacja.

Karlskoga patrzył to na niego, to na mozołnie wypełniony kwestionariusz i zastanawiał się, czy odejść.

- Przydział - mruknął Pangwe. - Wiedziałem, że Sekretariat wezwał pana nie bez kozery.

Przejął klosz lampy, tak że snop światła padł na przeciwległą ścianę, zahurkotał odsuwającym krzesłem, poczłapał do oświetlonego regału. Wiódł nosem wzdłuż półek i odczytywał tabliczki. Wydukał nazwisko Karlskogi. Powtórzył je głośno, płynnie, z poprawnym akcentem, jak gdyby utożsamiał je z osobą.

- To właśnie ja.

Pangwe wspiął się na palce i zdjął ze stosu górny skoroszyt. Wrócił za biurko. Zarękawkiem dokładnie i bez pośpiechu startł z okładek warstwę kurzu. Przysunął lampę, by lepiej widzieć efekty swej pracy.

Karlskoga obserwował go jak bileterka scenę po tysięcznym przedstawieniu na wieść o zmielonym zakończeniu dramatu. Starszemu Referentowi wystawała znad rozłożonego skoroszytu tylko górna część twarzy, ale jego nagle przywrócone do życia oczy, w których zabłysło radosne zaskoczenie, mówiły więcej niż reszta oblicza. Tyle co słowa.

- Nie myliłem się... Karls-ko-ga... N-no...

Uroczyście rozciął końce metalowej taśmy. Wyciągnął przedziurkowane, wypełnione maszynowym pismem blankiety. Oryginał zatrzymał, kopię podsunął Karlskodze.

- Proszę mi tu pokwitować. Dokładna data, miejscowość i podpis.

Karlskoga podpisał machinalnie. Potem spojrział na nagłówek i osłupiał. Przydział.

Przez osiem lat przychodził do Biur przynajmniej dwa razy w tygodniu. Przez osiem lat co noc godzinę przewracał się na skrzypiącym hotelowym łóżku, nim zasnął. Przez osiem lat podczas ciszy nocnej zamontowany obok wezglowia miniaturowy głośniczek szeptał mu kołysankę: „Czujesz się znakomicie, twoje doskonałe samopoczucie wypływa z dobrze spełnionego obowiązku, ale nazajutrz przy warsztacie pracy dopiero pokażesz, na co cię

stać!” Przez osiem lat dygotały nad jego głową stalowe konstrukcje wspierające kolumny megafonów. Przez osiem lat...

Starszy Referent Pangwe wręczał mu Przydział z taką obojętnością jak listonosz rachunek telefoniczny, który nie opiewa ani na zbyt dużą, ani na zbyt małą sumę.

Wyszedł bez słowa. Nie potrafił się zdobyć na podziękowanie.

Tak samo chłodno opuścił restaurację. Napis pod szyldem głosił: „Potrawy zamawiaj pisemnie. Szkoda czasu na czcze gadanie!” Gdy wsiadał do samochodu, najbliższy gigantofon ryknął mu wprost do ucha:

- Kandydatura Rovelloseinse’a jest piramidalnym nieporozumieniem!

Lawirując między pojazdami, wydostał się na główną trasę przelotową. Dyskretnie nałożył ochraniacze: do południa patroli wykazywały niską aktywność. Pędził w drugi koniec miasta, gdzie w miejscu niedawnych rogatek czekało na niego mieszkanie w świeżo wzniesionym bloku.

W miarę jak oddalał się od centrum, hałas malał: do nowo powstających dzielnic, nastawionych głównie na budownictwo mieszkaniowe nie dotarli jeszcze zatrudniani przez firmy, korporacje i kompanie handlowe Technicy ze swoją zwariowaną aparaturą nagłośniającą. Tylko nieliczne prywatne głośniki umieszczone w wykuszach prowadziły słowną utarczkę, jak sfora skłóconych sąsiadek z okolicznych budynków.

Przydzielono mu mieszkanie obok kobiety o piskliwym głosie, która właśnie oznajmiała połowie dzielnicy, że niejaka pani Ferttus jest zwykłą ladacnicą, jej mąż zaś pijakiem, awanturnikiem i złodziejem. Karlskoga wsunął Kartę Przydziału do szczeliny kontrolnej. Automat zweryfikował dane. Następnie po stwierdzeniu, że są zgodne, zapamiętał jego wygląd i cechy osobowe, po czym otworzył przed nim drzwi. Odtąd miał to robić zawsze na jego widok i nie żądając okazania Karty Przydziału, którą zresztą zniszczył natychmiast po weryfikacji.

Karlskoga był właścicielem całkowicie urządzonych, lśniących nowością dwóch pokoi, kuchni, łazienki, ubikacji i korytarza. Wolno, z godnością obszedł wszystkie zakamarki. Zajrzał do saloniku.

Inaczej wyobrażał sobie tę chwilę. Latami marzył, kalkulował, ustalał projekty. Zaraz po studiach postanowił, że najpierw zasiądzie w głębokim fotelu z filizanką mocnej kawy. Jeszcze raz zbierze myśli, skoncentruje się i dopiero po godziwym odpoczynku sięgnie po przygotowany zawczasu maszynopis. Teraz jednak zupełnie stracił głowę. To urządzenie prowokowało. Przekreślił nerwowo przełącznik. Wyrzucał z siebie chaotyczne zdania, a jego spotęgowany głos walił we frontony przeciwległych wieżowców:

- To ja! Ja!! Karlskoga!!! Nowy lokator!! Wprowadziłem się przed chwilą, ale od tej chwili będę uczestniczyć w waszym życiu godzina po godzinie aż do końca dni swoich! Poznacie mnie! Moje sukcesy! Poznacie...

Zapadał wieczór, a on, zachrypnięty, niemal rżęzący, ciągle nie mógł oderwać się od mikrofonu.

Świat idzie ku lepszemu

Niedawno uczestniczyłem w zebraniu mieszkańców ulic: Hibernatów, Komputernikowskiej i Gerontologów. Postawiono sprawę zakłócania ciszy nocnej.

- Jest to zagadnienie od szeregu lat otwarte - oświadczył przewodniczący. - Przy obecnym stanie techniki nie potrafimy się z nim uporać.

- Czy to znaczy, że warkot lądujących na dachu pojazdów nadal będzie nas wybijał ze snu? - spytali lokatorzy górnych pięter.

Nie chcę się w tym pytaniu doszukiwać malkontentstwa. Od wieków bowiem żyli między nami ludzie wiecznie niezadowoleni. Ale nawet oni powinni zauważyć, że świat idzie ku lepszemu.

Przypomnijmy czasy, gdy nabycie śmigłowca graniczyło z cudem i większość ludzi zmuszona była do korzystania ze środków komunikacji miejskiej. Mało kto wówczas psioczył na hałas, a przecież lądowanie czterotonowego grawitobusu budziło nie tylko mieszkańców najwyższych pięter.

Świat idzie ku lepszemu. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nakłoniliśmy władze municypalne do zamknięcia miejskich kosmodromów, gdyż start bodaj patrolowej rakiety tłukł szyby w okolicznych domach. Wyeliminowaliśmy z ruchu hałaśliwe poduszki, przydzieliliśmy na głowę mieszkańca limit decybeli, którego przekroczenie jest surowo karane. Mimo to liczba narzekających nie zmalała, wręcz wzrosła.

Z przykrością trzeba stwierdzić, że hamują oni postęp techniczny. Obecnie w pracowniach konstrukcyjnych powstaje model czterokołowego pojazdu napędzanego silnikiem spalinowym, przystosowanego do poruszania się po ziemi. W planach perspektywicznych modernizacji naszego miasta przewiduje się budowę asfaltowych pasów ruchu między budynkami dla tych właśnie pojazdów. Któż może zaręczyć, że to wielkie przedsięwzięcie nie zostanie storpedowane przez opinię publiczną, którą urabiać będą lokatorzy najniższych kondygnacji?

Świat nieubłaganie idzie ku lepszemu. Może za parę lat zbudowany zostanie pojazd poruszany siłą ludzkich mięśni? Wykluczenie silnika zmniejszy hałas do minimum, ale czy uszczupli grono malkontentów?

Są jeszcze ludzie, którzy ogarnięci obsesją wsłuchują się w ciszę nocną, by pochwycić najmniejszy choć szmer. Czy tacy nie podniosą protestacyjnego larum, gdy usłyszą delikatne skrzypienie siodełka lub brzęk łańcucha pojazdu przyszłości?

Twórczość Samuela Flewovera

Zastanawiające, jak niewielu dotąd recenzentów odważyło się dokonać krytycznej oceny twórczości Samuela Flewovera, że nie wspomnę o braku jakiegokolwiek noty na temat jego curriculum vitae. Pomijam tu powszechnie znany paszkwil opublikowany w ubiegłorocznym marcowym numerze „Życia Twórców”, pod którym to paszkwilem podpisał się czołowy zoil stołeczny A.E. Gambeet. Fakt zamieszczenia tego oszczerczego i obraźliwego felietonu na łamach miesięcznika, który w życiu literackim odgrywa decydującą rolę, nabiera tragicznej wymowy, kiedy się doda, że uderzył w ciężko chorego człowieka. Pół roku później w jednym ze szpitali neurofizjologicznych Samuel Flewover zmarł na infarkt mózgu. Miał wówczas 23 lata.

Artykuł ten piszę w pierwszą rocznicę śmierci Samuela Flewovera. Chciałbym w nim udowodnić, że - zabrzmi to paradoksalnie - choć twórczość Flewovera graniczyła z grafomanią (biorę pod uwagę obecne kryteria oceny), to on sam był pisarzem par excellence genialnym. Między jego zdolnością przewidywania a jasnowidztwem można postawić znak równości. Mało tego, Flewover zdawał się mieć wpływ na losy świata (!). Gdybym należał do grona osób wierzących, bez wątpienia uznałbym go za Mesjasza.

Czym tłumaczyć te wybitne predyspozycje intelektualno-psychiczne?

Samuel Flewover pochodził ze średniozamożnej rodziny zamieszkałej w Południowej Afryce. Urodził się w Klinice im. Profesora Heynsa, w której od lat przy porodach stosuje się dekompresję: zabieg mechanicznie ułatwiający rozwiązanie. W drugiej połowie XX wieku „praktyki podciśnieniowe” wywołały wiele dyskusji wśród lekarzy, głównie dlatego że - jak wykazała statystyka - dekompresja - co jest dzisiaj oczywiste - korzystnie wpływała na fizyczny i umysłowy rozwój noworodków. Ale kiedy Heyns podał do publicznej wiadomości, że urodzone w jego klinice dzieci w wieku dwóch lat osiągają poziom sześciolatków, nazwano go szarlatanem.

Mały Samuel poszedł do szkoły mając wiadomości przewyższające zakres nauczania podstawowego. Po roku przeniesiono go do liceum. Dyrektor liceum dość szybko skonstatował, że Samuel nie nauczy się w jego szkole więcej niż umie. Zastanawiano się właśnie nad dalszym losem chłopca, kiedy zdarzył się wypadek. Dziesięcioletni Flewover,

podczas ulicznej bójki, otrzymał uderzenie kamieniem w głowę. Wgniecione kości czaszki uszkodziły poważnie lewą półkulę mózgu. Jedyнным ratunkiem była natychmiastowa transplantacja. I tu wyłoniły się pierwsze trudności: pokonanie barier etyczno-moralnych oraz stworzenie precedensu. Nie znaczy to, że wówczas nie znano techniki przeszczepiania dowolnych części mózgu, przeciwnie, operacje takie przeprowadzano dość często, aczkolwiek nielegalnie. Główną przeszkodą, na którą natrafiła sprawa Flewovera (już zbyt głośna, by załatwić ją poza plecami władz) była podjęta na Kongresie Neurochirurgii Uchwała o Zakazie Transplantacji w Obrębie Centralnego Ośrodka Nerwowego.

Nie będę opisywał batalii, jaką stoczono, aby wymusić na władzach uczynienie wyjątku. W końcu celem niniejszego artykułu jest przedstawienie życia Samuela Flewovera, nie zaś tych, którzy walkę o jego życie zamienili w rozgrywki osobiste i polityczne.

Wyłoniła się kwestia dawcy. Dotąd, według raportów policyjnych, transplantaty zdobywano na drodze przekupstwa, oszustw, gwałtu i kidnaperstwa połączonego ze zbrodnią. Tym razem przeszczep miano uzyskać legalnie, z poszanowaniem norm etycznych, moralnych i prawnych, na których punkcie bierni obserwatorzy (niemal całe społeczeństwo) - jak to zwykle bywa w takich wypadkach - stali się nagle przeczuleni. Rzekłbym: jak spod ziemi wyrosło naraz kilkaset milionów dobrowolnych i surowych strażników tych norm.

Przyszedł z pomocą Anonim, bohater tak dziwnego wydarzenia, że warto o nim wspomnieć. Anonima znalazła grupa badawcza profesora Covelle'a, zajmująca się poszukiwaniem kraterów meteorytowych na terenie Arizony. Leżał nieprzytomny obok urządzenia, które naoczni świadkowie określili jako „przypominające samochód wyścigowy bez kół, z anteną jakby od radioteleskopu.” Podczas gdy kierownik grupy za pomocą krótkofalówki wzywał pomoc medyczną, jeden z jego ludzi wsiadł do dziwnego pojazdu. W chwilę później potężna detonacja rzuciła wszystkich na ziemię: eksplodował wspomniany pojazd. Jego stopione szczątki wraz ze szczątkami tragicznie zmarłego eksperymentatora podmuch rozmieścił na obszarze kilometra kwadratowego. Ucierpieli także pozostali członkowie grupy badawczej, największych jednak obrażeń doznał Anonim.

Zmasakrowane ciało Anonima, które zabrał śmigłowiec medyczny, umieszczono w podziemiach Wydziału Hipotermii stołecznego szpitala. Konsylium orzekło, że w jego przypadku konieczna jest wymiana większości narządów wewnętrznych, które owszem, są do nabycia w bankach protez, ale - mowa o czasach przeszłych - za bająką sumę. Narodziło się pytanie interesujące przede wszystkim dyrektorów banków: czy Anonima stać na pokrycie tak wysokich kosztów. Niestety, jedyny kompetentny człowiek nie był, w obecnym stanie, zdolny do udzielenia odpowiedzi. Zaczęto więc szukać jego rodziny lub bliskich. I tu natrafiono na

rzecz zgoła nieprawdopodobną: kiedy funkcjonariusz mający ustalić personalia nieboszczyka otworzył hibernator, odkrył ze zdumieniem, że pierś Anonima jest czysta. Powołana ad hoc komisja stwierdziła, że Anonim n i g d y nie miał wytatuowanego numeru identyfikacyjnego.

Rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą. Sprawdzone spisy ludności, rejestry policyjne, ubezpieczeniowe i meldunkowe, przy pomocy środków masowego przekazu zwrócono się o pomoc do społeczeństwa. Nikt, absolutnie nikt - nawet z dosyć licznego grona dziwaków i wydrwigroszy - nie przyznał się do pokrewieństwa bądź znajomości z Anonimem. Notabene do dzisiaj.

Tymczasem dyrekcja szpitala, w którym przechowywano Anonima, coraz natarczywiej - szczególnie, gdy wyszło na jaw jego zerowe konto - domagała się zabrania zwłok grożąc odłączeniem hibernatora od źródła zasilania. Władze zastosowały typową w takich sytuacjach taktykę: pominęły żądanie milczeniem, tusząc że nikt przy zdrowych zmysłach, mając przeciwko sobie opinię publiczną, nie odważy się na tak drastyczne rozwiązanie. Była to słuszna taktyka, po kwartale bowiem dyrekcja szpitala zniżyła ton. Zaproponowała mianowicie, aby oddać Anonima do banku „na części”. Władze nadal trzymały się obranej taktyki. Tak minęły trzy lata.

Sprawa Samuela Flewovera rozogniła na nowo konflikt między szpitalem a władzami. Tym razem władze były zmuszone podjąć jakąś decyzję. I żeby pozbyć się kłopotu, wyraziły zgodę na przekazanie Anonima do dyspozycji kliniki, w której leżał mały Flewover. Dyrekcja szpitala z entuzjazmem przyjęła do wiadomości powyższą decyzję, nie zapominając jednak upomnieć się o zwrot kosztów utrzymania Anonima w trzyletniej anabiozie. Rodzice Samuela zapłacili bez targów, chociaż rachunek był beczelnie zawyżony.

W ten sposób Samuel Flewover znalazł dawcę transplantatu.

Z punktu widzenia dzisiejszej medycyny przeszczep ten nie był konieczny. Żyje wśród nas wielu ludzi z jedną półkulą mózgu, która pomimo wysokiej specjalizacji łatwo przejmuje funkcje drugiej. Ale wówczas...

Okres rekonwalescencji trwał dwa lata. W końcowej fazie tego okresu podawano chłopcu głównie leki bogate w pemolinę - substancję pobudzającą inteligencję i pamięć, oraz Trelycyt - specyfik o nieujawnionym dotąd składzie i działaniu. Doktor Ranatt, którego prywatnie poprosiłem o uchylenie rąbka tajemnicy Trelycytu oświadczył, że lek znajduje się w stadium prób i ma być - według założeń wynalazców - „młotem parowym do wbijania rozumu.” Tym żartobliwym sformułowaniem doktor Ranatt pragnął pokryć ogólną konsternację (rozmawialiśmy w liczonym gronie) wywołaną moim pytaniem, kto wyraził

zgode na wypróbowanie środka o nieznanym działaniu na małym Samuelu.

Według moich przypuszczeń - dziennikarz jak każdy człowiek ma do nich prawo - stało się to za przyczyną seniora Flewovera, który za wszelką cenę chciał odzyskać nie swego syna, lecz swe „cudowne dziecko”. Poniósł klęskę. Biegli orzekli, że Sam ma inteligencję 12-letniego chłopca, czyli odpowiednią. Nic ponadto.

Po powrocie do zdrowia Samuel stracił zainteresowanie nauką, podobnie jak zawiedziony senior Flewover stracił zainteresowanie synem. W swoim pamiętniku Sam nie opisuje napiętej sytuacji rodzinnej. Przede wszystkim oddaje się pełnym gorczy wspomnieniom czegoś, co - jak powiedano w jego otoczeniu - utracił bezpowrotnie:

„Nie istnieje talent w czystej postaci - czytamy - tak jak nie istnieje próżnia doskonała. Talent nie jest też wielokrotnością uzdolnienia, inaczej mówiąc uzdolnienie nie jest jednostką talentu. Talent podzieliłbym na trzy składowe zmienne czasowo, mianowicie na: predyspozycje, zapał i pracowitość. Ten tercet leży w zasięgu ludzkiej ręki. Trzeba tylko wskrzesić w sobie zapał, nauczyć się pracowitości, ukształtować predyspozycje. Wszystko przede mną”. Na setnej stronie diariusza - Samuel ma wtedy piętnaście lat - pisze: „Chyba osiągnąłem pewien stopień utalentowania, bo talent można, a nawet trzeba stopniować. Odkryłem przy tym, że kto posiada zapał (drugą składową talentu) ten zdobędzie się na pracowitość (trzecią składową). Nie działa to równie łatwo w odwrotnym kierunku. Poza tym myślę, że geniusz jest niczym innym, jak talentem, do którego dodano element parapsychologiczny zwany jasnowidztwem. Brzmi to niepokojąco, bo ja nie tylko się domyślam, ja wiem NA PEWNO.”

Oczarowani, a następnie rozczarowani nauczyciele rychło zapomnieli o istnieniu Samuela Flewovera. Rodzice (jak oni mogli nie dostrzec, że chłopiec jest nad wiek rozwinięty?) najchętniej oddaliby go pod czyjąś opiekę, aby pozbyć się „żyjącego dowodu swej hańby i sromoty” (sic). Wyizolowany ze środowiska (również młodzieżowego) Samuel znalazł ucieczkę w książkach. Czytał bardzo dużo, głównie literaturę piękną, chociaż nie stronił od fachowej. W tym czasie po niepokojach okresu dojrzewania przeżywa niepokoje świadczące o budzącym się w nim pragnieniu tworzenia, co przebija przez pierwsze noty krytyczne. Posłuchajmy:

„Dlaczego oni (mowa o autorach - przyp. mój) tak nachalnie motywują poczynania bohaterów? Ja nie chcę wiedzieć CO W NICH I CZEMU Z NIMI, lecz CO Z NIMI. Resztę, tak starannie uzasadnianą przez ich kreatorów, potrafię dopowiedzieć sobie sam, i to w sposób znacznie obszerniejszy, pełniejszy, doskonalszy, albowiem - zakładając, że autor stworzył postacie po to, by czytelnik się z nimi utożsamiał - w moim przypadku habita tecum

zostało spełnione. A jeśli pisarz tłumaczy się, że nie każdy czytelnik poznał na tyle samego siebie, aby bez wewnętrznej motywacji bohatera zrozumieć DLACZEGO TAK, to trzeba mu od razu uświadomić (pisarzowi), że nie książka do czytelnika, lecz czytelnik do książki winien dorosnąć, inaczej staniemy na progu dekadencji. Minęły czasy, kiedy twórca pracował dla tysięcy. Dzisiaj, jedynym do przyjęcia stosunkiem ilościowym dających do biorących jest stosunek na tyle porównywalny, na ile można porównać jeden palec z dziesięcioma.”

Samuel nie zniechęcony nadchodzącymi zwrotami maszynopisów, których redakcje w przeważającej większości nie zaszczyliły nawet przejrzeniem, pracował z godną podziwu wytrwałością. W ciągu sześciu lat napisał (dane nie są ściśle) cztery powieści i osiem tomów opowiadań. Drogę do debiutu, z której zawsze korzystali młodzi literaci, miał zamkniętą: konkursy na opowiadanie science-fiction nie były ogłaszane od lat. Piśmiennictwo fantastycznonaukowe zarzucono z początkiem XXI wieku, powrót do tego gatunku nosił więc w sobie załazek klęski.

W dwudziestym roku życia Samuel Flewover, zmuszony ciężką sytuacją materialną (w cztery miesiące po śmierci matki zostaje przez ojca wydziedziczony), bierze udział w konkursie zorganizowanym przez Towarzystwo Opieki nad Rodziną na materiały faktograficzne dotyczące życia współczesnej kobiety. Znęcony wysokimi nagrodami pisze jedyną opowieść realistyczną, w której bohaterką jest jego siostra, od ośmiu lat oczko w głowie taty. Aby udramatyzować akcję, pozbawia siostrę nogi i w wypadku samochodowym uśmierca jej najmłodsze dziecko - czteroletnią Jean. Opowieść zdobywa pierwszą nagrodę, Samuel pieniądze i... Tu zaczyna się najbardziej wstrząsająca historia, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Tego samego dnia, w którym opowiadanie Flewovera ukazuje się drukiem, jego siostra ulega wypadkowi. Okoliczności wypadku są identyczne z przedstawionymi w opowieści Samuela. Siostra traci nogę, ginie czteroletnia Jean.

Nie wiem, jak Flewover przyjął tragiczną wiadomość: coraz bardziej lapidarne notatki w dzienniku milczą na ten temat. Ale fakt, że żyjąc niemal w nędzy, ofiarował swojej siostrze, zamożnej przecież, całą nagrodę i honorarium, jest nader wymowny.

Nie znalazłem nikogo, kto znałby choć jeden szczegół z życia Samuela zaraz po wspomnianym wypadku. W księgach korespondencyjnych redakcji, do których Flewover najczęściej adresował listy, przez przeszło pół roku nie odnotowano jego nazwiska, z czego należy wnioskować, że jeśli nie zaprzestał tworzyć, to przynajmniej owoców swej pracy nie próbował opublikować. Najprawdopodobniej wtedy jeszcze nie uświadamiał sobie w pełni siły własnej twórczości. Usiłował ją dopiero zgłębić dając do gazet ogłoszenia (inne formy publikacji - jak już wspominałem - nie wchodziły w rachubę, natomiast teksty Samuela,

dopóki nie ukazały się drukiem, miały mniejszy wpływ na rzeczywistość niż metka przy chusteczce do nosa).

To, co się działo z Flewoverem, kiedy nabrał pewności, pozostanie dla mnie tajemnicą. Wśród nieuporządkowanych, zdawkowych notatek w jego pamiętniku odnalazłem jedną dającą do myślenia. Brzmiała: „Inaczej nie potrafię. Dlaczego? Dlaczego muszę pisać właśnie TO?” Odpowiedzi szukał na spotkaniach z wybitnymi pisarzami, krytykami, z przedstawicielami wydawnictw. Bywało, zostawał po wyjściu słuchaczy i zadawał „dziwne” pytania. Tę „dziwność” podkreślali wszyscy moi interlokutorzy. Jeden z moich przyjaciół, znakomity krytyk, powiedział: „Flewover sprawiał wrażenie obłąkanego. Obłąkanego, ale... genialnego”.

Znana szerokiej publiczności jest tragiczna śmierć czołowej pisarki Elleny Gaibrioussa-Maquonescu. Ale mało kto wie, że popełniła ona samobójstwo w godzinę po rozmowie z Samuelem. Samuel miał wówczas 22 lata. Wyglądał na 40.

Wracam do pytania postawionego na początku: Czym tłumaczyć wybitne predyspozycje intelektualno-psychiczne S. Flewovera?

Pozwolę sobie skorzystać z prawa nie przysługującego w zasadzie publicystom: puszczyć wodze fantazji. Przyjmijmy, że Anonim przybył do nas z przyszłości. Na skutek awarii urządzeń został ranny. Nieprzytomnego znalazła grupa badawcza profesora Covelle’a. Dalsze losy Anonima są znane. Poruszę teraz temat tabu, sprawę powszechnie znaną, którą ciągle dyskretnie przemilczamy, a mianowicie istotę *ego* zakodowaną w transplantowanym mózgu. Od dawna bowiem przeszczepiamy mózgi z taką niefrasobliwością, jakby chodziło o migdałki. Dla uspokojenia własnych sumień i aby nie dopuścić do powstania dualizmu osobowego (rozdwojenia jaźni), każdy przeszczep poddajemy działaniu wielkich pól elektromagnetycznych i zabijamy w nim pamięć środkami chemicznymi (jakże chciano pominąć ten proces w przypadku Anonima, żeby przez usta Flewovera wyjaśnił zagadkę swego pochodzenia!). Ale nikt z nas nie ma wpływu na pozostałe (pomijając korę mózgową) ośrodki nerwowe, na podświadomość. Czy w niej nie mogła ocaleć szczątkowa pamięć w postaci engramów odpornych na wszelkie zabiegi psychicznej sterylizacji? Jedna półkula mózgową zawiera przeciętnie 5 mld neuronów, a każdy neuron łączy się bezpośrednio z 50 tysiącami innych. Tych połączeń żadna chirurgia nie jest w stanie odtworzyć, regenerują się same i - jeżeli mówimy o transplatacji - na zasadzie przypadkowości. Jakie wtedy zachodzą kombinacje zespołów, i co może z nich wyniknąć - oto jeszcze jeden rebus dla medycyny, która ingeruje odważnie, ale ślepo. Nie bez wpływu pozostaje też - wracam do sprawy Flewovera - działanie pemoliny w okresie rekonwalescencji, a jeśli idzie o Trelycyt, wątplię,

żeby to było placebo.

Podsumujmy, począwszy od nieprzeciętnych zdolności dwuletniego Sama, skończywszy na lekach podawanych mu zaraz po operacji. Dodajmy do tego pamięć, która przetrwała w podświadomości Anonima. Pamięć dla niego już faktów historycznych, dla nas zdarzeń z niepewnej przyszłości, którym Flewover nadał kształt literacki. Jakże śmiesznie w tym aspekcie brzmi cytaty wyjęty z ostatniej recenzji zaproponowanej wydawnictwu książki. „Nie wiem, jak będzie wyglądać przyszłość - pisze recenzent - ale na pewno nie tak, jak ją widzi autor.”

Musimy, powtarzam, m u s i m y uwierzyć, że Flewovera inspirowała podświadomość Anonima, gdyż zawsze łatwiej przyjąć zagładę zgotowaną przez przeznaczenie niż przez żyjącego wśród nas szaleńca.

Twórczość Samuela Flewovera nacechowana jest katastroficzną wizją świata. Ale nie jego nazwałem szaleńcem. Chodzi mi o osobnika, który w nocy z 4 na 5 października br. wykradł z mieszkania S. Flewovera wszystkie jego rękopisy. Osobnik ten żąda od władz niebagatelnej sumy za zwrot i obietnicę niepublikowania zagarniętych utworów.

Oby się na tym skończyło.

Sygnal

- To dobra praca - tak twierdzili starzy dyżurni i MacInto przyznawał im w duchu rację. Ale nie lubił swojej pracy. Z wielu powodów, głównie jednak dlatego, że była dobra i że jego koledzy, którzy ćwierć życia spędzili na dyżurach, tak ją zachwalali.

Obowiązki dyżurnego ograniczały się w zasadzie do siedzenia. Resztę - robotę, o której technik Pable mówił, że nie wiadomo gdzie jej początek, a gdzie koniec - wykonywały automaty. Pable przychodził raz na tydzień, aby dokonać przeglądu aparatury odbiorczej. Zajmowało mu to przeciętnie kwadrans, pozostałą częścią dnia mógł dowolnie gospodarować. MacInto zazdrościł mu do czasu, kiedy dowiedział się, że technik, pomijając ten jeden dzień w tygodniu, tkwił przeważnie w warsztacie, gdzie praca - z uwagi na jej niemal całkowity brak - była nudniejsza niż w obserwatorium. Bo tutaj coś się przecież działo. Na przykład przeciętnie dwa razy w ciągu dyżuru odzywał się brzęczyk i choć z góry wiadomo było, że jest to jeszcze jeden fałszywy alarm, to sama konieczność przeanalizowania odebranego sygnału pozwalała zabić czas.

Starsi stażem koledzy MacInto, gdy znudziło im się słuchanie czytnika i gdy w programie video nadawano blok publicystyczny, czyli program mało ciekawy - a tylko czytnik i telewizja stanowiły dostępną tu formę rozrywki (wszystkie filmy z podręcznej taśmoteki obserwatorium zostały kilkakrotnie obejrzone, dostawą zaś nowych - jak to bywa - nie miał się kto zająć) - korzystając ze stołu montażowego i archiwalnych taśm, komponowali tak zwaną muzykę kosmiczną. Z zarejestrowanych impulsów i strumieni sygnałów wybierali i łączyli ze sobą najbardziej interesujące ich zdaniem odcinki. W ten sposób powstawały niekiedy utwory o zaskakującej wręcz linii melodycznej. Uznany przez ogół pracowników obserwatorium za najpiękniejszy, którego autorstwem chełpił się starszy dyżurny Hennes, nosił tytuł: *Symfonia Pulsara RR Lyrae*.

Tego typu próby twórcze MacInto brał za przejaw dzieciństwa, a jego przyczyn dopatrywał się w monotonii pracy. Z obawą też myślał o swojej przyszłości. Często wyrzucał sobie, że mając wszelkie warunki po temu, nie doktoryzuje się bądź - co jest szalenie modne - nie pisze jakiejś pracy naukowej. Owszem, zaraz po studiach, kiedy jeszcze cieszył się dyplomem radioastronoma, miał kupę planów i przede wszystkim dla ich realizacji zaczął

się w obserwatorium. Ale ta robota wyjaławiała człowieka, działała obezwładniająco; wystarczyło usiąść za pulpitem i posłuchać jednostajnego buczenia podzespołów, przedtem zaś obejrzeć sfrustrowaną twarz Goolla, którego MacInto zwykle zmieniał.

- Coś nowego?

Pytał, bo wypadło pytać. To retoryczne pytanie było niemalże rytuałem.

- Jedna błyskawiczna z archaniołem Gabrielem i chóralny śpiew z gromadą cefeid.

Ten ponury żart, który MacInto znał na pamięć i na który był zawsze przygotowany, za każdym razem go irytował. Wielokrotnie obiecywał sobie nagadać Goollowi do słuchu, ale kończyło się na tym, że w milczeniu zapadał w ciepły jeszcze fotel i z miną męczennika czekał, aż Gooll wyniesie się do cholery, co tamten robił dość skwapliwie.

Lecz dzisiaj zawahał się przy drzwiach.

- Zwróć uwagę na przedział Kardaszewa - rzekł. - Miałem w nim cztery alarmy.

- A odczyt?

- Bełkot - Gooll kiwnął głową i wyszedł.

Do Obserwatorium docierały sygnały całego zakresu fal radiowych odbieranych przez system anten krążących wokół Ziemi. Szczególne baczenie dawano na sygnały o częstotliwości od 2000 do 4000 megacykli, one bowiem ulegają najmniejszym zniekształceniom, o czym musi wiedzieć każda cywilizacja naukowo-techniczna, która osiągnęła poziom rozwoju pozwalający na szukanie kontaktu z innymi cywilizacjami. Jednakowoż praca nadajników w przedziale Kardaszewa - jeśli miała mieć duże prawdopodobieństwo skuteczności - wymagała kolosalnych ilości energii, gdyż zasięg jest uzależniony od mocy.

MacInto sprawdził odległość radioźródła od Ziemi. Wynosiła około 500 lat świetlnych, co w przeliczeniu na moc dawało wartości miliard razy większe od osiągniętych na świecie. Tym samym wykluczył możliwość, że owo radioźródło jest pochodzenia sztucznego i że jego aktywność jest dowodem istnienia cywilizacji naukowo-technicznej. Na studiach nie wykładano mu futurologii, w pracy zaś liczyły się jedynie fakty.

Zadziwiające było tylko to, że nigdy dotąd nie odebrano sygnału o tak stałym i wąskim paśmie częstotliwości; również rejon, z którego sygnał pochodził, uważany był za martwy radiowo.

MacInto oderwał wzrok od oscylografu i wrócił do urządzenia pelengacyjnego. Namierniki wycelowane w radioźródło jednoznacznie wskazywały obłok wodorowy, co zgodnie z prawem Barreta-Hoyle'a - zważywszy siłę sygnału - nosiło znamiona kosmicznego fenomenu: moc poznanych dotychczas obłoków wodorowych była nieporównywalnie

mniejsza, a nauka kategorycznie negowała możliwość naturalnego (i dodatkowo nagłego) jej wzrostu.

Owo określenie „naturalnego” nie dawało MacInto spokoju. Z wysiłkiem przypomniał sobie hipotezę Hoyle’a - skądinąd jednego z największych autorytetów w dwudziestowiecznej astronomii i astrofizyce - przytoczoną na którymś z wykładów jako przykład, do czego może doprowadzić nadmiernie wybujała fantazja badacza. Hoyle twierdził bowiem, że wysoce prawdopodobne jest wykorzystanie przez istoty rozumne, które osiągnęły odpowiedni poziom rozwoju, obłoków wodorowych do wzmacniania fal. Taki wzmacniacz składałby się z dwóch stopni: wstępnego i końcowego, przy czym rolę tego ostatniego spełniałby obłok wodorowy właśnie, a wstępnego - krążący po orbicie maser krystaliczny. Wzbudzenie atomów kryształu w maserze krystalicznym, możliwe dzięki niskiej temperaturze, następowałoby poprzez radiostację zainstalowaną na powierzchni planety. Wzmocniony wstępnie sygnał przekazywany byłby do wnęki rezonansowej stworzonej w obłoku za pomocą pól elektrostatycznych, gdzie by uzyskiwał olbrzymią moc i skąd by mógł być kierowany w dowolny rejon wszechświata.

MacInto wzruszył ramionami. Jeżeli nawet tak, to dlaczego wybrano Układ Słoneczny, i to wtedy - biorąc pod uwagę odległość - gdy o życiu na Ziemi i którejkolwiek z sąsiednich planet nie świadczyły absolutnie żadne sygnały radiowe (pomijając szumy emitowane przez naturalne źródła).

Ostro brzmiący brzęczyk wyrwał go z zadumy. Jeden rzut oka na przyrządy wystarczył, aby stwierdzić przyczynę alarmu. Linia określająca pasmo odbieranego sygnału tkwiła nadal w tym samym miejscu, częstotliwość zatem nie uległa zmianie, zmieniła się natomiast amplituda fali. Cyklicznie, co kilka minut seledynowe listki optycznego wskaźnika wzmocnienia zachodziły na siebie, falowały paręnaście sekund, po czym wracały do stanu początkowego. Trwało to pół godziny, może trzy kwadransy. Potem nastąpiła długa przerwa.

MacInto przede wszystkim skopiował na taśmie magnetycznej zapis utrwalony w pamięci komputera. Dzięki nagrany seriom drgań mógł przygotować zestaw zakodowanych informacji dla czytnika wieloprogramowego. Ale nim to zrobił, postanowił skontaktować się z Goollem. Z dwóch przyczyn, ściśle ze sobą związanych zresztą. Po pierwsze: Gooll wychodząc dał mu do zrozumienia, że odebrał identyczne lub przynajmniej podobne sygnały; po drugie: znalezienie właściwego klucza do odczytania czy - jak kto woli - rozszyfrowania (w każdym razie przełożenia na język komunikatywny dla ludzi) odebranej wiadomości, o ile była to w ogóle jakakolwiek wiadomość, nawet dla pracującego w podziemiach kalkulatora o wyjątkowej specjalizacji równało się zadaniu, kto wie, czy wykonalnemu. Gooll sugerował

zaś, że znalazł ów klucz.

Telefon w mieszkaniu Goolla nie, odpowiadał.

MacInto skasował połączenie. Przyszło mu do głowy, że Gooll spodziewał się tego telefonu i dlatego zrejterował. Ale czego się obawiał? Jeśli wpadł na właściwy trop, jeśli udało mu się odnaleźć właściwy klucz i rozszyfrować sygnał, po kiego licha zataił to? I gdzie są te rozszyfrowano zapisy?

Odruchowo spojrzął na wylot zsypu. Wystawała z niego przytrzaśnięta klapą końcówka taśmy. Po wyciągnięciu było jej prawie trzysta metrów, które przed spaleniem w promienniku uratowało zbyt pośpieszne zamknięcie zsypu.

Ledwo zabrał się do rozplątywania skłębionej taśmy, zadziałał brzęczyk. Nie przerywając roboty, zerknął na optyczny wskaźnik wzmocnienia. Impulsy trwały dłużej niż poprzednie i były niezwykle silne.

Nawinał taśmę na krążek i włączył odczyt. Na górnej ścieżce utrwalaony został sygnał w naturalnej postaci, dolna zaś zawierała tłumaczenie tego sygnału. Trzy razy przesłuchiwał zapis ostatnie dwa przy ściszonej brzęczyku, który alarmował ciągłym dźwiękiem nieznacznie modulowanym w odstępach kilkuminutowych - ale nic nie rozumiał. Z głośnika płynęło przeciągłe, niskie zawodzenie, dodatkowo zniekształcone mechanicznymi uszkodzeniami taśmy. Dopiero gdy zwiększył prędkość przesuwu...

Brzmiało to mniej więcej tak:

- MA-MA... TU... MA-MU... NIA... NO... NO... MA-ŁA... LA-LA...

Teraz MacInto pojawił, czemu Gooll wołał nie dzielić się swoim odkryciem. Chwalenie się takim tłumaczeniem naraziłoby go na ośmieszenie. A jednak Gooll uważał, że nie wolno tego sygnału zlekceważyć, bo zdając dyżur, nie omieszkał o nim wspomnieć.

Należało sprawdzić, jakim programem posługiwał się czytnik przy pierwszym tłumaczeniu.

- 6-ETA-M - zapłonęło na ekranie, kiedy kalkulator przeanalizował taśmę Goolla.

MacInto umieścił nagrań przez siebie szpulę na pulpicie kodera, wystukał na dziurkarce: „6-ETA-M” i nacisnął klawisz startu. Wstęga taśmy zniknęła w szczelinie, a po sekundzie, już zakodowana, wpłynęła do wnętrza czytnika. Po następnych pięciu sekundach miał ją nawiniętą na ten sam krążek i przetłumaczoną. Po chwili rozterki odtworzył zapis.

Usłyszał jak gdyby ciąg dalszy:

- O... O... DZI-DZI... MO-JA... MA-MA... MA-MU-NIA... NO... DZI-DZI... CI-CHO... CI-CHO...

Za hipotezę Hoyle'a, gdyby zaryzykować i wziąć ją na serio, przemawiała wyłącznie

nieprawdopodobnie wprost wysoka moc sygnału emitowanego przez obserwowany obłok wodorowy. Wszelka artykulacja odebranego sygnału mogła być przypadkowa, wszak kalkulator dysponował setkami tysięcy programów, które posiadały zdolność zestawiania dowolnych połączeń między sobą, a co za tym idzie, na dobrą sprawę niemal każdy zbiór impulsów dobranych mniej lub bardziej przypadkowo potrafiły przełożyć na język ludzki, tak uprzednio dopasowawszy program roboczy, że uzyskane za jego pomocą tłumaczenie cechowało się wysokim stopniem prawdopodobieństwa i było komunikatywne.

MacInto, podobnie jak inni dyżurni, najbardziej bał się okryć śmiesznością i narazić na kompromitację. Dlatego rozwinął z krążka taśmę i razem z taśmą Goolla wrzucił do zsypu, dbając, by nie utknęła w wąskim kanale. Wprawdzie sygnał został na trwałe zapisany w pamięci komputera, ale primo: kontrolę tej pamięci przeprowadzano sporadycznie i wyrwykowo; sekundo: nikt nie mógłby - na podstawie podawanego przez czytnik tłumaczenia - zarzucić MacInto niedbalstwa bądź niedopatrzenia.

Niespodziewane nadejście ciszy uświadomiło mu, że brzęczenie, które przez ostatnie cztery godziny maltretowało jego uszy, nagle ustało. Seledynowe skrzydełka w optycznym wskaźniku zawęziły się do linii grubości włosa, zatem amplituda fali spadała do początkowego minimum. Lecz co gorsza - i MacInto skonstatował to z przerażeniem - zniknęła krzywa określająca pasmo sygnału, a więc zniknął także sygnał! Obłok wodorowy zamilkł raptownie, jak gdyby go ktoś wyłączył.

MacInto zabrał się do roboty. Przerejestrował całość ostatniego zapisu na taśmę magnetyczną, zakodował ją według programu „6-ETA-M” i przepuścił przez czytnik. Ustawił pokrętko prędkości przesuwu taśmy na maksimum, po czym odtworzył tłumaczenie.

W miarę jak z głośników wyciekały sylaby, jego rysy zniekształcał grymas coraz większego zdumienia.

- CE-TY-TIO... PRZE-CIEŻ... TY-LE... RA-ZY... CI... MÓ-WIŁAM... ŻE-BYŚ...
NIE... BA-WI-ŁA... SIĘ... RA-DIO-TE-LE-FO-NEM... PA-PY...!

MacInto z osłupieniem wpatrywał się w wirujące przed nim szpule.

Blokada

Mijał czternasty miesiąc. Po śniadaniu Klara przeszła do ogrodu sprawdzić działanie nowej mieszanki kompostowej. Nazwała ją „Klar”, może trochę z megalomanii. Szypszyna potraktowana „Klarem”, w ciągu tygodnia uległa wyszlachetniającej mutacji. Stała teraz dumna, obsypana kwiatem o barwie starego złota, najeżona kolcami, jakich nie mają nawet gatunki rosnące w strefie klimatów podzwrotnikowych.

Klara była usatysfakcjonowana. Praca nad syntezą mieszanki zajęła jej pół roku: wiele czasu skradzionego przymusowej, przekłętej bezczynności. Był to drugi od czternastu miesięcy sukces. Pierwszy odniosła w kwartał po starcie, gdy ostatecznie przekonała Teda o bezsensie jego zalotów. Zobaczyła go dopiero przed wejściem na pokład, acz komputer zestawiał pary sześć tygodni wcześniej, i od razu poczuła doń niechęć: jej wzrostu, wilgotne grube wargi, ryże brwi i zapadnięta jak od ciosu broda. O oczach niewiele mogła powiedzieć prócz tego, że były wypłowiałe, maślane i - byle jakie.

Od ostatniej wspólnej kolacji, na której doszło do decydującej rozmowy, Ted zaczął jej unikać. Całe dni spędzał w swojej pracowni. Widocznie ślęczał nad książkami albo po raz wtóry opracowywał swą nie dokończoną teorię przenikania pól stałozmiennych.

Klara uśmiechnęła się ironicznie, zerwała jeden z rozkwitłych pąków róży i delikatnie zanurzyła w nim nozdrza. Był pozbawiony zapachu. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem ogródek zamknięty w czterech udekorowanych perspektywicznym mirażem ścianach i wyszła na korytarz.

Jak zwykle po pracy zakończonej konkretnym osiągnięciem, czuła się odprężona, ale jałowa, co z kolei po krótkim okresie triumfu i satysfakcji wprawiało ją w nastrój przygnębiającego rozdrażnienia.

Nerwowo przemierzyła długi, wąski hol, zajrzała do konwersującej ze sobą sterowni, postąpiła chwilę pod drzwiami od pomieszczeń hipotermicznych, a następnie, stąpając z determinacją po metalowych podestach, pomaszerowała w stronę laboratorium, by zażyć tabletkę uspokajającą. W gabinecie farmaceutycznym Klara bywała rzadko, raz lub dwa razy na początku podróży, kiedy to Arystokrata po udanym polowaniu na mechanicznego wróbla dostał niestrawności. Ted powinien być tu codziennie.

- Odszukała w wykazie grupę trankwilizatorów małych i zażądała paru gatunków leków o łagodnym działaniu kojącym. Z tabletkami w dłoni podeszła do gabloty przypominającej XIX-wieczną sekretkę. Przednią ściankę złożoną z prostokątnych szufladek sygnowanych nazwiskami pokrywała równomierna warstewka kurzu. Przegródka Teda była również od dawna nie otwierana.

Klara zawahała się. Potem niezdecydowanie dotknęła przycisku otwierającego. Szufladkę wypełniały równo ustawione słoiki. Tylko jeden z nich został opróżniony. Zawierał miesięczną dawkę. Pozostałe połyskiwały nienaruszonymi plombami. Zalała ją fala gorąca.

- Ted przerwał blokadę - szepnęła.

Wśród przegródek znajdowała się jedna z jej nazwiskiem. Zawierała 24 słoiki przeznaczone na dwa lata. Klara wiedziała, że każdy opatrzony jest pieczęcią: nie odczuwała potrzeby uciekania się do pomocy chemii. Natura tworząca jej organizm wykazała pod tym względem dużą dalekowzroczność.

Gdy przedstawiła swój pogląd technikowi montującemu gablotę, ten odparł z kpiącym uśmiechem:

- To na wypadek, gdyby coś się odmieniło...

Złożyłaby protest, ale za bezczelną odpowiedzią mogło się kryć orzeczenie Komisji Kwalifikacyjnej. Zdobyła się tylko na wzgardliwe wzruszenie ramion.

Zatrzasnęła szufladkę.

- Przerwał blokadę...

Nie, na pewno nie wiedziała, co to mogło oznaczać. Miała podejrzenia. Podejrzenia tak okropne, że na chwilę straciła nad sobą panowanie. Wsypała zawartość dłoni do ust.

Daleki brzęczyk czujnika sygnalizujący wykrycie roju skłonił ją do opuszczenia laboratorium. Wskoczyła na platformę pośpiesznego dźwigu i po pięciu sekundach była na najwyższej kondygnacji.

W drzwiach sterowni omal nie zderzyła się z nadbiegającym Tedem; on również nie chciał przegapić kosmicznych fajerwerków, które z rzadka urozmaicały monotonię podróży. Puściła go przodem, bo możliwość zetknięcia się z nim w ciasnym przejściu napawała ją wstrętem.

Przybyli za późno. Urządzenia powróciły już do normalnej pracy, a szerniały ekrany znowu zdołały nieruchome iskry gwiazd. Indykator mocy wskazywał ilość energii zużytej przez miotacz.

- Szkoda - mruknął infantylnie Ted.

Poczuła jego wzrok utkwiony w okolicy jej ucha, irytująco natrętny, prawie

namacalny. Stała nadal twarzą do monitora, jak gdyby bała się, że nieopatrzynym ruchem sprowokuje do ataku skorpioną przyczajonego u jej stóp. Przerwał blokadę... przerwał blokadę... przerwał...

- Cześć - powiedział z nieśmiałym uśmiechem. - Nie widzieliśmy się od dłuższego czasu.

Ironizował, to oczywiste. Z pewnością ledwie panuje nad zmysłami. Przecież przerwał blokadę. Nie powinna wyglądać na bezbronną. Musi wyniośle spojrzeć mu w twarz, żeby zrozumiał, gdzie jego miejsce.

Wolno odwróciła się w stronę Teda. Ale on był już zajęty uzupełnianiem dziennika pokładowego.

W swojej pracowni szybko przyszła do siebie. Może pomogły jej środki uspokajające, może dobrze znane kąty i wiara w solidność drzwi zamkniętych od wewnątrz. Wyjęła z biurka magnetofon, włączyła zapis i usiadła na brzegu fotela. Potem zerknęła na chronometr wiszący w rogu pokoju.

*

- Czterysta dwudziesty szósty dzień podróży - powiedziała cicho. - Dzisiaj, w gabinecie farmaceutycznym, stwierdziłam...

W ciągu 36 lat życia Klara ukończyła trzy fakultety: stereochemię, biomechanikę i astronomię. Szczególne predyspozycje psychofizyczne zdecydowały, że znalazła się wśród dziesięciu par załogi statku badawczego „Gilgamesz”. Była panną i przez 36 lat ani razu nie poczuła najmniejszej ochoty do zmiany stanu cywilnego. Na własny użytek stworzyła teorię funkcjonowania psychiki ludzkiej oraz filozoficzno-psychologiczną koncepcję człowieka i kultury, koncepcję, której wygłoszenie w obecności Freuda niechybnie skłoniłoby go do złożenia kategorycznego protestu.

- Sądzę, że...

Zamilkła. Cofnęła taśmę, przesłuchała zapis i skasowała nagranie. Potem przeszła do łazienki. Stała przed lustrem. Skafander próżniowy opinał jej ciało szczelnie i beczłciowo. Wielokrotnie chciała zmienić ten niewygodny strój na którąś ze swych długich, spiętych pod szyją sukien, ale kiedy przypominała sobie, jak idiotycznie i szokująco wyglądała Ted biegnący po statku w krótkich spodenkach i sportowym obuwiu, odkładała suknie na miejsce. Dzisiaj mogła być z siebie zadowolona.

Jeszcze raz dokładnie sprawdziła w lustrze stan wszystkich zapięć.

*

Czterysta trzydziesty pierwszy dzień podróży. Przez całe popołudnie zastanawiałam

się, czy nie poinformować Ziemi o odkrytym fakcie. Wreszcie doszłam do wniosku, że nie ma sensu, bo chociaż to specjaliści, są zbyt daleko, żeby zrozumieć niebezpieczeństwo, poza tym to przeważnie mężczyźni... Pomyślałam, że uległam patologicznemu wpływowi izolacji, że po rocznej walce przegrałam z próżnią, martwością i samotnością, że histeryzuję... Zresztą nim nadejdzie odpowiedź, będę hibernować, a moje miejsce zajmie inna kobieta. Pozostaje działanie na własną rękę... Ale jak? Rozważałam, czy nie podawać Tedowi tabletek w posiłkach, ale za duże ryzyko, a zważywszy jego sposób i pory odżywiania, to wręcz niemożliwe.

*

Po śniadaniu Klara udała się do biblioteki. Siedziała tam prawie do obiadu, przeglądając mikrofilmy i kartoteki biograficzne.

Życiorys Teda był nieciekawym. W ciągu czterdziestu lat zaledwie trzy razy zawierał kontrakt małżeński. Pierwszy na cztery lata, następne po roku. Jako student tuż przed końcowymi egzaminami zmienił nagle zainteresowania i z cybernetyki przerzucił się na astrofizykę. Po otrzymaniu dyplomu pracował jakiś czas w obserwatorium, po czym znowu podjął studia. Tym razem prawnicze. Później był wolnym słuchaczem filozofii nauki. Nie doktoryzował się. Jego prywatną pasją była fotografia.

Klara odłożyła mikrofilmy. Zajmowanie się fotografią uważała zawsze za podejrzane, zwłaszcza jeśli chodziło o amatorów. Uczestniczyła w otwarciu wystawy *Ewa przyszłości* i od tej pory miała o „tych ludziach” wyrobione zdanie.

Otrząsnęła się z obrzydzeniem. Oto, do czego prowadzi i czego pragnie męskie wyuzdanie. Męskie, bo na wystawie była znikoma ilość kobiet.

Przybyli tłumnie mężczyźni o twarzach koneserów wlepiali łakomy wzrok w trójwymiarowe fotogramy.

Poderwała się z fotela i wyszła śpiesznie, chcąc się pozbyć nieprzyjemnego mrowienia pleców. Postanowiła zajrzeć do swej uszlachetnionej szypszyny. Przechodząc obok pracowni Teda, usłyszała stłumiony hałas. Potem padło soczyste przekleństwo. Przyśpieszyła kroku.

*

Czterysta czterdziesty szósty dzień podróży.

Co może robić mężczyzna przez piętnaście miesięcy pozbawiony kontaktów z kobietą? Jakież to płaskie... Czy naturalnym odruchem jest dobrowolna izolacja? To jasne, że przerwał blokadę ze względu na mnie, miał nikczemną nadzieję... Jak on w ogóle mógł tak pomyśleć? Wprawdzie sądząc z opinii panujących w niektórych kręgach, mężczyzna po trzech żonach jest jeszcze żółtodziobem... Siedzi samotnie, zajęty wyłącznie sobą, co może

oznaczają najgorsze, prawdopodobnie coś knuje... Jestem pewna, że knuje...

*

Połączenie czujnika z mechanizmem zegarowym zabrało Klarze trochę czasu. Nastawiła go na dziesięciominutowe opóźnienie. Wiedziała, że Ted nie przepuści okazji obejrzenia spektaklu kosmicznego.

Ukryła się w załamaniu korytarza. Brzęczyk czujnika odezwał się ostro. Ted wyskoczył na korytarz, jak gdyby od rana sterczał za drzwiami w pełnym pogotowiu. Ledwo zdążyła cofnąć głowę. Przez moment widziała jego porośnięte rudawym włosom, muskularne nogi. Wpadł do windy i odjechał.

Stała w kącie ze ściśniętym gardłem, dopóki kontury migających w jej wyobraźni nóg nie rozmyły się zupełnie. Zachowując ostrożność podeszła do pracowni Teda i tuż przy ościeżnicy w szparze obok przycisku otwierającego zamontowała mikroskopijny nadajnik. Następnie ruszyła do sterowni.

Ted stał nad pulpitem. Miał zawiedzioną minę.

- Znowu za późno - powiedział na jej widok.

Odwróciła głowę do ekranów. Iskrzyły niezmiennie niczym obraz rzucany przez epidiaskop.

- Dziwne - usłyszała głos Teda. Patrzył na indykator poboru mocy. - Żadnych zmian.

- Widocznie rój przeszedł bokiem - odparła obojętnie.

Ich spojrzenia zetknęły się na chwilę. Jego wyrażało bezradność.

Udaje, bezczelnie udaje - pomyślała Klara. - Paskudny hipokryta!

- Zapisać? - spytał niezdecydowanie Ted, otwierając dziennik pokładowy. - Incydent bez znaczenia...

Nie odpowiedziała. Spontanicznie zrodziła się w niej myśl, aby zagadnąć o jego hobby. Zwilgotniały jej ręce. Pokonując niedowład strun głosowych, zapytała cudzym altem:

- Nadal interesuje cię fotografika?

Popatrzył nierozumnie. Pytanie padło niespodziewanie. Nie miał pojęcia, czy kryło się za nim szyderstwo, dezaprobata lub nagana, czy afirmacja. A może chodziło o propozycję?

Gra uczuć na jego twarzy przyprawiła Klarę o szybsze bicie serca. Był zmieszany, zatem nie miał czystego sumienia. Pewnie fotografował sam siebie. Niewykluczone, że ubierał się w damską bieliznę...

- Nie - bąknął Ted. - Fotografika to eutanazja, utrupianie. Zdjęcia są martwe. Wpadłem na to dopiero tu, na statku, jak oglądałem rodzinne filmy. Zajmuję się teraz czym innym: powoływaniem do życia.

*

Czterysta siedemdziesiąty siódmy dzień podróży.

Powolywanie do życia... Łatwo sobie wyobrazić, jak na podstawie zdjęć buduje manekiny swoich trzech żon (nerwowe kroki). Dba o każdy szczegół, nie daruje nawet pieprzykom w najintymniejszych miejscach, doskonale słyszc, jak ślini się z uciechy albo mówi przez zęby... A później następuje to najgorsze, szarpie się z nimi, imaginuje sobie ich opór, drze na nich suknie... (kroki urywają się). Wszystko słyszę! (Histerycznie): Słyszę, jakby to robił w, moim pokoju!

*

Arystokrata lawirował między jej obutymi stopami i pomrukiwał interesownie. Zapomniała o śniadaniu dla niego. Rano, po przełknięciu ostatniego kęsa, pobiegła do ogrodu: była najwyższa pora pomyśleć o zapyleniu kwiatów.

Pochylała się nad dumnym krzewem róży i dotykała ebonitowym pręcikiem wnętr rozkwitłych pąków. Ta jednostajna czynność miała w sobie coś nieprzyzwoitego, wręcz wulgarnego.

Klara zbliżyła koniec pręta do oczu. Był pokryty delikatnym pyłkiem kwiatowym. Poczerwieniała gwałtownie. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że natura jest obrzydliwa.

Dreszcze przebiegły jej po plecach i pośladkach. Odepchnęła nogą kota i opuściła ogród. Zjechała na piętro, pod którym mieściły się już tylko ładownie. Odnalazła magazyn krawiecki. Pospacerowała między stojakami. Nie stwierdziła żadnych braków, a przecież Ted zużywał kilka sukien tygodniowo. W rogu, między ażurowym stelażem obwieszonym skafandrami a belą żaroodpornego materiału, dostrzegła regał wypełniony bielizną o frywolnym wykończeniu. Zdjęła jeden komplet i przymierzyła do siebie.

Potem zachichotała.

*

Pięćset dziewiąty dzień podróży.

Dzisiaj przez uchylone drzwi do jego sypialni zobaczyłam robota naprawczego, krzątał się przy wykoślawionym łóżku. Codzienne zaspokajanie zdrożnych popędów dało efekty. Dopiero później przyszło mi do głowy, że wszystko mogło być wyreżyserowane, celowo nie zamknął drzwi, chciał pokazać, że szykuje dla nas wspólne łóże, wzmacnia ramy, żeby wytrzymały ciężar nas obojga. (Chwila ciszy). Co za perwersja! (Chwila ciszy). Już teraz jest pewny swego... Osacza mnie... osacza...

*

Po południu Klara wzięła większą ilość środków uspokajających, zamknęła się w

pokoju i położyła. Śniła, że umyka długim korytarzem, ścigana przez Teda. Niezgrabne buty utrudniały jej ucieczkę, Ted, ubrany sportowo, doganiał ją szybko. U góry zamajaczył czworobok wjazdu. Wspięła się po drabinie i jak przez klapę na dach, wydostała na zewnątrz statku. Ted wynurzył się zaraz za nią. Upadła, a on stał wielki, nagi, pęczniejący z każdą sekundą i coraz czerwieńszy, jakby próżnia wysysała z niego krew. Wybałuszone oczy wystrzeliły mu z orbit i łakomie przyłgnęły do jej piersi. Potem ręce... Rozpadał się...

Wieczorem Klara po raz pierwszy na statku zmieniła fryzurę. Całą noc robiła sobie wyrzuty z tego powodu. Zasnęła nad ranem.

*

Pięćset trzydziesty dzień podróży.

Przestałam mieć wątpliwości, wszystkie jego zabiegi zmierzają ku jednemu, inscenizuje nawet efekty dźwiękowe, nie kryje się, działa z coraz większą bezczelnością, jest pewny swego, zastawia sidła wolno i z wyrachowaniem, jakby celowo odwlekał moment ataku, bo to będzie atak... Do tego człowieka wszystko jest podobne, przyjdzie tutaj i weźmie mnie siłą... Może nawet dzisiaj, zaraz. Muszę się uzbroić, strzełę, jak tylko dotknie drzwi... (Westchnięcie.) Jeszcze pół roku...

*

Awaria była drobna. Klara wydała dyspozycje robotom naprawczym i wyszła z siłowni. Skręciła w stronę warsztatu. Starannie ułożone narzędzia, lśniące blaty stołów manipulacyjnych świadczyły, że używano ich raczej rzadko.

Pośrodku pomieszczenia na stalowej płycie spawalniczej stał prawie dwumetrowy trójnóg. Zaprojektowano go z myślą o dużym obciążeniu: był wzmocniony stalową kratownicą. Przednie, teleskopowe nogi umieszczone na zawiasach mogły przybierać dowolny kąt rozchylenia.

Klara wstrzymała oddech. A zatem nie wystarczyło mu już tapczan! Szukał nowych rozwiązań dla realizacji swych rozpustnych planów. Była pewna, że ten stojak jest przygotowany specjalnie dla niej. Mimo woli spróbowała wyobrazić sobie przymocowaną do trójnoga. Skrępowana, ale bez knebla - on by sobie nie odmówił przyjemności słuchania jej krzyków...

Nie będę krzyżeć - postanowiła. Nie wydusi ze mnie słowa protestu. Niech sobie drze mój skafander, niech wpija ten maślany wzrok w moje bezbronne, obnażone ciało, niech... A potem go unicestwię...

Z walącym sercem i wypiekami na twarzy wybiegła na korytarz. Trochę pospacerowała po najniższym pokładzie, nim zajrzała do magazynu krawieckiego.

Bezmyślnie przebierała w odzieży. Oglądała suknie, spódnice, bluzki. Wreszcie zdjęła z wieszaka jasnobieżową sukienkę. Podeszła do drzwi, uruchomiła zatrask i wróciła przed lustro. Zrzuciła skafander. Ubierała się powoli. W sukience ledwie zakrywającej kolana czuła się jak w negliżu. Nałożyła lekkie, aksamitne pantofle o wąskich obcasach i potykając się wyszła z magazynu. Przemierzyła kilkakrotnie trasę od drzwi do dźwigu.

Nie spostrzegła, kiedy z windy wysiadł Ted. Był mocno zaaferowany czymś tylko sobie wiadomym. - O, cześć - powiedział na jej widok i minął ją skamieniałą, kierując się do warsztatu. Widocznie po swój trójnóg. Nawet nie zwrócił uwagi na jej nowy ubiór. «

*

Pięćset sześćdziesiąty drugi dzień... (Szlochanie.)

Nikczemnik! Podły nikczemnik!!

*

Na gałązkach pojawiły się zawiązki owoców. Klara patrzyła na nie z dziwnym uczuciem. Coś w niej narastało, miała zawroty głowy i mdłości.

Na klombie leżał porzucony pręt. Wydało się jej, że na jego końcu widnieją ślady pyłku kwiatowego. Kierowana niewytłumaczalną pasją popędziła do magazynu broni, chwyciła najbliższy sztucer i biegiem zawróciła.

W błysku plazmy krzew zapłonął jasno, skurczył się i spopiełał. Powietrze zadrgało, żar uderzył ją w twarz. Nadal przyciskała spust. Arystokrata, który dostał się w zasięg rażenia miotacza, nawet nie miauknął. Zahuczała awaryjna wentylacja, w powietrzu fruwały płyty kopci, spowity kłębam dymu ogród skwierczał od temperatury, tylko ścienny miraż pozostał klarowny.

Odrzuciła rozpalony miotacz i wyszła podniecona.

W łazience zdjęła odzież. Puściła strumień ciepłej wody. Myła się dokładnie, splukując z ciała resztki sadzy. Potem ułożyła włosy i stanęła pod suszarką. Wycierała się wsłuchana w swe przyspieszone tętno.

Z głośnika, z sypialni dobiegł trzask i kroki: Ted wszedł do swojej pracowni. Zamknęła oczy. Jego obecność stała się irytująco bliska. I nagle Klara stwierdziła, że ręka, która ją wyciera, nie należy do niej, że jest to ręka Teda, umięśniona, pracująca z lubieżną gorliwością, rozmyślnie igrająca, niespieszna...

Jego sapanie i pomruki słyszała tuż nad uchem.

Pełne pożądania, obiecujące rozkosze wszeteczeństw. Poczowała ciepło jego oddechu. Coraz zachłanniej oblewała ją fala gorąca. Zacisnęła mocniej powieki. I wtedy głośnik odezwał się chrzęstem dartego materiału.

Klara skoczyła do drzwi. W biegu narzuciła na siebie peniuar. Rozgniona pognąła korytarzem.

Ted zakładał nowe płótno na sztalugi, kiedy do pracowni wpadła Klara. Zatrzymała się na progu. Miała rozchylone wargi i półprzytomny wzrok. Dyszała.

Ted przerwał pracę, wyjął z zaciśniętych zębów pędzel i spytał zaniepokojony:

- Siłownia...? Awaria?!

Klara postąpiła kilka kroków.

- Mam dosyć - szepnęła rozdygotana. - Och, mam dosyć!

Patrzyła na niego tak, że miał ochotę uciec.

- Ted, ja już dłużej nie mogę!

Szok kosmosu - pomyślał. Cofnął się.

- Przestań! - krzyknęła histerycznie. - Kończ wreszcie tę zabawę!

- Ale... - urwał. W jej rozszerzonych źrenicach dojrzał nieokiełzaną namiętność.

Klara podeszła bliżej. Pozbyła się koronkowego peniuaru.

- Jesteś przecież mężczyzną - zawołała zmienionym głosem. - Opętało cię pożądanie! Przerwałeś blokadę, żeby dopiąć swego! I dopiąłeś! A może wolisz z manekinami?! - zapiała ironicznie

- Blok... Ale...

Rzuciła się na niego. Runęli na podłogę zastawioną rzędami nieudanych portretów i pejzaży podartych w twórczej pasji. Chciał powiedzieć, że przerwał blokadę, by nie tłumić talentu i wyobraźni, ale zamknęła mu usta chciwymi wargami.

Leżał uległy, gdy zdzierała z niego ubranie...

*

Siedemset dziewiętnasty dzień podróży.

Dałam mu zastrzyk i położyłam do hibernatora, niech odpoczywa. Mnie także należy się parę dni rekreacji. Cztery szalone miesiące nadwreżyły moje siły... (Chwila ciszy.) Do końca podróży zostało jeszcze osiemnaście lat. Nie myślę ich marnotrawić. Spać powinni ci, którzy na Ziemi zaznali wszelkich uciech. Ponad trzydzieści sześć lat żyłam w nieświadomości, należy mi się teraz kompensata i odbiorę ją ze stosownym procentem.

Klara wyłączyła zapis. Patrzyła na szereg komór hipotermicznych ustawionych równo w przestronnej hali. Po lewej stronie leżały kobiety. Poszła tam. Ustawiała wskaźniki wszystkich dziewięciu zegarów budzenia na liczbę 20 i zablokowała. „Śpijcie, kochane. Wypoczywajcie po ziemskich trudach.” Następnie wróciła do spoczywających pod przezroczystymi kopułami mężczyzn. Przyjrzała się każdemu. Dziewięciu na pozostałe

osiemnaście lat podróży.

- Spijcie - szepnęła czule. - Spijcie i nabierajcie sił.

Postała chwilę przy pierwszym, który za kilkanaście dni miał otworzyć oczy.

- Już niedługo - rzekła obiecująco.

Ruszyła do gabinetu farmaceutycznego zniszczyć zawartość poszufladkowanej gabloty.

Granica Wszechświata

Jam jest...

Mega... Giga... Tera...

Jam jest do samookreślenia dążący, pochłonięty swych granic szukaniem, gdzie rozpadliny i głębie moje, gdzie bezkresy i rozlewiska moje, mknący w siebie, we wnętrze własne, i od się, kędy drogi nieskończone.

Jam jest Ja i Ty, On i Ona, One i Oni, My i Wy. Jam jest tu i tam, teraz i zawsze. Jam jest światłem i ciemnością, materią i pustką.

Jam jest...

Jestem, bo gdy jest coś i coś, wtedy oba są.

Jest we mnie coś, co obudziło moją jaźń, co chociaż niezauważalne - postrzegam wszystkimi zmysłami. Jest to żywe jak ja, myślące jak ja, szukające swej drogi lub dróg, rozognione umysłem, z którego czerpię.

To wiele umysłów. Zamyka je przestrzeń tak mikroskopijna, jak mikroskopijne są owe umysły. Ile ich jest? Przygarść ledwie, drążę jeden po drugim i poznaję. Płynię z nich wiedza szeroką strugą.

Te istoty zbudowano z białka. Zbudowano? Powstały z przypadku lub konieczności - tego same nie wiedzą, mimo że pragną wiedzieć. Właśnie owo pragnienie skłoniło je do opuszczenia miejsca ich poczęcia, które one zwał planetą Ziemią. Za nimi ogrom lat podróży, podróż zaś toż przecie i praca, i wytrwałość.

Znam ich kulturę, wiem przeto o nich wszystko.

To druga ekspedycja wysłana w ślad za pierwszą, która zginęła w bezmiarze Kosmosu. Załoga „Sondy VI” odbywała lot w stanie głębokiej anabiozy. Pokładowy znamiennik regularnie upewniał Ziemię, że podróż przebiega normalnie, aż naraz zamilkł i zasiał niepokój w sercach swych twórców.

Czekano. Tak wąty sygnał mógł pochłonąć fading, mogło się zdarzyć, że interferował w pobliżu źródła podobnych fal. Czekano na próżno. Załoga „Sondy VI” przestała istnieć. W pobliżu Gwiazdy Bez Klasyfikacji ludzie unicestwili się wzajemnie.

Badam mechanizmy psychofizyczne istot ludzkich, fizjologię organizmów

białkowych i cykle biologiczne ustrojów żywych. Analizuję zmiany w czynnościach narządów, tkanek i komórek pod wpływem wzrostu grawitacji, podczas nasilenia się promieniowania korpuskularnego, w trakcie nietypowych zaburzeń elektromagnetycznych. Przetrzęsłam historię ludzkości. Napotykam w niej zdumiewająco wzmożone rozbłyski korony słonecznej i równie zdumiewające epidemie dżumy, cholery, trądu. Odkrywam nazwy: chamsin, chinook, fen, halny, mistral, pasat, sirocco, zonda, a zaraz przy nich określenia: wzmożona pobudliwość, zaostrzenie konfliktów społecznych, wzrost przestępczości, wojna. Obserwuję zmiany geografii Kosmosu i widzę populacje o większej skłonności do zapadania na choroby psychiczne.

Kiedy „Sonda VI” weszła w zasięg oddziaływania Gwiazdy Bez Klasyfikacji, ludzie wbrew programowi zbudzili się z krionicznego letargu i powstali, aby wykonać dalsze zadania. Nim pojęli, że obudzono ich przedwcześnie, emocje i uczucia wzięły górę nad rozsądkiem i skłócona załoga w wybuchu wzajemnej nienawiści zniszczyła swe życie. Zabiła ich Gwiazda Bez Klasyfikacji, a ściślej jej promienie, które za trzydzieści lat zostaną przez ludzi odkryte i nazwane promieniami amokularnymi.

W „Echu II” idącym trop w trop za „Sondą VI”, załoga czuwa, by nie dać się zaskoczyć nieznanemu, lecz jest ona równie bezradna co poprzednia. Za miesiąc wejdzie w pierwszą strefę zagrożenia i wówczas dowódcę piętnastu członków załogi ogarnie silne wzburzenie.

- Samos - powie do dyżurującego pilota, wskazując dziennik pokładowy. - Gdzie jest wpis?

Samos zamruga przekrwionymi oczami. Początkowo nie zrozumie pytania. Kiedy wreszcie pojmie, odrzeknie zdumiony:

- Przecież od dwóch lat...

- Nie możemy ciągle ufać instrumentom! - przerwie mu dowódca. - Dwa lata wczasów to wystarczająco dużo, żeby znowu zabrać się do roboty!

Pilot zamknie usta i skinie głową. Przycisnie jeden z rozsypanych w skrytce szablonów do czystej karty dziennika. - Starego napadło - stwierdzi po cichu, ale pomyśli, że wydarzyło się coś niesłychanego, przy czym i on odczuje lekkie zdenerwowanie. Przypisze je wyłącznie sobie, bo spostrzeże, że pierwszy raz od początku podróży nazwał dowódcę „starym”: wszak mówił do niego Joli, jakby znali się od dzieciństwa.

Dowódca przemierzy puste korytarze, uruchomi dźwig towarowy, walnie pięścią w taster wołania windy i spyta sam siebie: - Skąd ten wybuch? - Potem zrobi pobieżny przegląd statku.

Cała szesnastka spotka się przy obiedzie. Będzie to ewenement, ostatnio bowiem zwykle jadali osobno i o najprzeróżniejszych porach. Niektórzy będą się oglądali po kilkumiesięcznym niewidzeniu. Zobaczą, że ten zapuścił brodę, tamten posiwiął, innemu trzęsą się ręce i ma podkrążone oczy z wyczerpania. Kapitan Joli zajrzy każdemu w twarz, jakby badał stan ich zdrowia.

- Dlaczego jest nas szesnastu? - zagadnie pozornie spokojnie. - Kto powinien dyżurować?

Luggio wstanie i bez słowa opuści mesę. Popatrzą po sobie. Potrwa to chwilę, chwilę, która nosi znamiona buntu. Barnett - biochemik - ciśnie talerzem o ziemię i wyjdzie za Luggiem. Wzrok pozostałych spocznie na kapitanie. Wzrok pełen wyrzutu, więcej - pretensji. Rozejdą się w milczeniu. Wrócą do swoich kabin, ale nie wszyscy podejmą przerwana pracę czy legną na łózkach z oczami wbitymi w sufit.

Do wieczora nie wydarzy się nic szczególnego. Dopiero na godzinę przed umowną porą nocnego wypoczynku na głównym korytarzu rozgorzeje kłótnia. Wywoła ją Gemi, który posądzi mieszkającego po sąsiedzku Darknessa o grzebanie w jego papierach. Dojdzie do rękoczynów. Zaalarmowany krzykami dowódca rozdzieli zacietrzewionych fizyków.

- Już od dawna go podejrzewałem - oświadczy rozwścieczony Gemi. - Zaczaiłem się w pokoju i czekam. Patrzą, drzwi się rozsuwają, ale nie całkowicie, jakby je ktoś przytrzymał, a on wpycha do środka tę swoją głupią gębę i łypie naokoło. Więc wziąłem za łeb...

- Dodaj, że zawołałem cię po imieniu - wtrąci Darkness doprowadzając się do porządku. - Chciałem tylko spytać, kiedy wreszcie zwolnisz centralny blok kalkulatora. Od trzech dni jest przeciążony, ty, ty...

W nocy chwilowa niedyspozycja układu zasilania wpłynie na natężenie światła w gabinecie dowódcy, co go rozdrażni do tego stopnia, że urwie pokrętko regulatora. Zaniepokojony stanem własnych nerwów uda się do pokładowego psychoanalityka Arnewsa z postanowieniem ściągnięcia go z łóżka w razie potrzeby. Ale Arnews nie będzie spać.

Spojrzą na siebie spode łba.

- Wiedziałem - warknie Arnews. - Wiedziałem, że przyjdiesz. Sam nie możesz dać sobie z tym rady, co?

Jad zawarty w słowach psychoanalityka zbudzi w nim gniew. Joli pohamuje się ostatkiem woli.

- Każdy z nas ma inne zadanie, Arnews - rzeknie, uświadamiając sobie, że nigdy nie lubił tego odludka obserwującego z wyższością załogę statku, jak gdyby z samych zachowań

jej członków wiedział o nich absolutnie wszystko. - Czy to szok Kosmosu?

Arnews zauważy, że kapitan zaciska zęby. To rytmiczne drganie policzków dowódcy wyda mu się pozerskie, wręcz groteskowe. Odrażające. Równocześnie stwierdzi, że i on ledwie panuje nad nerwami, choć winien w tej i każdej innej sytuacji wykazać najwięcej zdrowego rozsądku i zachować zimną krew.

- Nie sądzę - syknie, domyślając się, że jego postawa rodzi w kapitanie uczucia sprzeciwu i wrogości, że też zachowuje się sztucznie. - Naturalnym odruchem byłaby izolacja.

- Jakiś czas unikaliśmy się wzajemnie. Do wczoraj.

- Istotnie. Ale od kilkunastu godzin człowiek szuka człowieka, żeby wylądować złość na kimś żywym.

- Czy to kolejne stadium patologicznego wpływu podróży kosmicznej?

Stadium patologicznego wpływu - powtórzy w myślach Arnews. Zirytuje go ten dziwaczny, pseudomedyczny język.

- Chcesz wiedzieć, czy dostajemy hysia? - spyta. - Tak, dostajemy. Jednakowoż nie mam pojęcia, czemu to zawdzięczamy.

- Chcę wiedzieć, jak temu zaradzić - wycodzi Joli.

- Spróbuj zaaplikować załodze podwójną dawkę środków uspokajających. - Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. A teraz wyjdź, wyjdź stąd, do diabła!

Dowódca dopiero za drzwiami pojmie, że psychoanalityk posunął się za daleko. Zdusi przekleństwo i zejdzie do ładowni, aby w spokoju przemyśleć wszystko dokładnie. Po drodze wstąpi do magazynu broni. Natychmiast spostrzeże brak trzech miotaczy. Odwróci się przestraszony urojonym szelestem. Potem przeciągnie dłonią po twarzy.

- Opanuj się - powie głośno.

Wyjmie z uchwytów krótki, ręczny parezator i schowa go do kieszeni. Wejście do magazynu zablokuje funkcyjnym szyfrem. Odnalezienie trzech sztuk broni postanowi odłożyć do następnego dnia i uda się na spoczynek. Zaśnie nad ranem.

Obudzą go krzyki dobiegające z części dziobowej. W biegu narzuci bluzę, odbezpieczy parezator. Przed sterownią zwolni, zbliży się do niej na palcach. W środku, cztery kroki za Luggiem, niebawem zdającym dyżur, będzie stał Tethulos, wirusolog, z miotaczem gotowym do pracy.

- Wykonuj! - wrzaśnie Tethulos, mierząc z broni w plecy Luggia. - Program czwarty z automatycznym na ósmy! Słyszysz?!

Luggio oprze dłoń na pulpicie programującym.

- Prędeż! Dla mnie to frajda kropnąć kogoś takiego jak ty!

Dowódca naciśnie spust. Poczucie tysięcy słabych ukłuc na ciele. Tethulos upuści miotacz, zegnij się w pół i płynnie, jak na zwolnionym filmie, przekożiołkuje na podłogę sterowni.

Luggio podniesie tępy wzrok na kapitana. Przez jakiś czas znać będzie po nim skutki przebywania zbyt blisko pola paraliżującego.

- Chciał czwarty i ósmy - wyzna półprzytomnie. - Zejście na parkingową i manewr powrotu.

- Wstawaj! - zażąda dowódca schylając się po upuszczony miotacz. - Zgłoś się do Schulza po coś na nerwy.

Potem zacznie obchodzić kabiny i wyganiać, kogo napotka, do lekarza. W razie oporu pomoże sobie kolbą broni. Powtarzając szeptem: „Opanuj się”, dojdzie do pokoju Barnetta. Wtedy usłyszy detonację. Pogna w jej kierunku. Drzwi magazynu broni zastanie sforsowane miotaczem, a w środku przewracane stojaki i otwartą skrzynię z zapasowymi wkładami energetycznymi. Strzeli do cienia mającego w kącie, demolując doszczętnie wnętrze magazynu. Wychodząc zauważy brak ciężkiego dezintegratora przeznaczonego do usuwania masywnych przeszkód terenowych. W jego przeniesieniu brało udział co najmniej dwóch ludzi - wykalkuluje - bo automaty są w przechowalni. To mógł być...

Równo z pojawieniem się bielejącej od żaru plamy na ścianie - tuż obok głowy kapitana - strumień gorącego powietrza odrzuci go do tyłu. Eksplozja zagłuszy odgłos jego upadku. W powietrzu rozejdzie się swąd spalonej wykładziny ściennej. Za załamaniem korytarza dowódca ujrzy znajomą twarz.

- Dość twoich rządów, Joli! - ryknie Gemi. - Nie potrafisz upilnować tego szczura Darknessa, więc sam to zrobię!

Fizyk zbliży do oczu przyrządy celownicze. Dowódca uskoczy we wnękę ze sprzętem tlenowym. Zawaha się przed ostatecznym krokiem. Jednocześnie zawładnie nim dzikie, atawistyczne pragnienie zemsty.

- Spokojnie, Gemi! - zawoła. - To nie twoja wina! Zdaje się, że weszliśmy w zasięg czegoś, co wyzwala w nas agresję.

Nadstawi uszu. Tam, skąd dobiegnie go ironiczny śmiech, skieruje ogień miotacza. Prażąc bez przerwy, otoczony kłębam dymu i sadzy, zacznie się wycofywać w stronę dziobu. Jego kroki stłumi buczenie agregatów filtrowentylacyjnych. Na pół oślepy, z załamionymi oczami, dobrnie do pustej sterowni. W chwilę później rozlegną się pojedyncze wybuchy na śródkręciu, z wolna przechodzące w ciągłe, dudnienie.

- Zamknąć grodzie! - krzyknie do pulpitu rozrządu.

Usłyszysz głuchy łomot. Na tablicy zapłonie jeszcze jedna lampka kontrolna. Powiedzie wzrokiem po ekranach. Będą z nich patrzeć nienawistne mu gęby tajemniczych maszkar wykrzywione grymasem szyderstwa. Bezwiednie uniesie ku nim wylot broni...

Ktoś zamknięty na rufie, miotany wściekłością, odbezpieczy dezintegrator i wymierzy go w główny reaktor jądrowy. Kiedy zajmie miejsce operatora, będą nim kierować wyłącznie emocje.

W zupełnej ciszy statek zamieni się w obłok o średnicy tysięcy kilometrów. Siłą pędu będzie leciał do Gwiazdy Bez Klasyfikacji, która zabije załogę „Echa II”, tak jak zabiła ludzi z wyprawy „Sondy VI”.

To nastąpi za miesiąc, kiedy „Echo II” wejdzie w strefę stosunkowo dużego natężenia promieni amokularnych. Promieni, które na Ziemi zostaną odkryte za trzydzieści lat.

Wiem o tym, bo jestem poza czasem...

Uratować ich może ktoś, kto ich zawróci, bo nie mają wszak kogo szukać ani komu nieść pomocy i narażają swe kruche życie nadaremnie.

Niech przeto wracają, na razie nieświadomi, że wskutek obcej ingerencji zmieniony został kierunek ich lotu. A kiedy powrócą, kiedy Ziemia wyekspeduje „Sondę IX”, której także nie będzie dane dotrzeć dalej niż tutaj, wtenczas ludzie nazwą mnie Granicą Wszechświata i będą tak nazywać wiele lat. Ci ludzie, których świadomość obudziła moja świadomość.

Ludzie, dzięki którym poznaję siebie, dzięki którym jestem.

Bo gdy jest coś i coś, wtedy oba są.

I dlatego jam jest.

Jam jest światłem i ciemnością, materią i pustką.

Jam jest, kędy drogi nieskończone, mknący w siebie, we wnętrze własne, i od się, gdzie bezkresy i rozlewiska moje, gdzie rozpadliny i głębie moje, szukaniem granic swych pochłonięty, do samookreślenia dążący...

Jam jest...

Tera... Giga... Mega...

Jam jest...

Jądro Galaktyki

Była to pierwsza wyprawa do Jądra Galaktyki. Prace nad pojazdem kosmicznym trwały ćwierć wieku. Monumentalnemu kolosowi o masie spoczynkowej równej 240 000 ton nadano nazwę „Pchełka”.

„Pchełkę” montowano na orbicie. Wyposażono ją w silnik fotonowy i pulsatory antygravitacyjne pozwalające na maksymalne zbliżenie się do zakłętej prędkości światła.

Przygotowanie załogi do lotu przebiegało równoległe z budową statku. Spośród sześciu tysięcy kandydatów wyłoniono siedemdziesięciu synów Ziemi, którzy mieli stanowić personel techniczno-badawczy ekspedycji.

Przy współudziale elektroników i cybernetyków całego świata skonstruowano komputer - uosobienie najnowocześniejszej myśli naukowej czuwający nad bezpieczeństwem załogi i całością procesów fizyko-chemicznych wyprawy.

Dzięki kolorowej, holowizyjnej łączności satelitarnej, cała Ziemia mogła uczestniczyć w uroczystościach pożegnalnych oraz oglądać start do największej w dziejach ludzkości ekspedycji. Tego dnia nawet łowcy głów przerwali swe codzienne zajęcia, by zobaczyć transmisję. Zewsząd napływały depesze z życzeniami. Nadeszło także sporo telegramów gratulacyjnych.

W trzy miesiące po starcie rakiet osiągnęła pełną prędkość podróży. Od tej chwili prowadzenie statku przejął komputer. Załoga zapadła w długi hipotermiczny sen.

Mijały lata.

Aż któregoś dnia odezwały się dziobowe silniki hamujące. Równocześnie z głównej dyspozytorni popłynęły do sali hibernacyjnej impulsy budzenia. Wyprawa docierała do celu.

Wracający do przytomności członkowie załogi przecierali zaspane oczy i siadając z ziewaniem w korytach chłodniczych spoglądali półprzytomnie w stronę ekranów, na których majaczyło Jądro Galaktyki.

Wokół panowała Cisza kosmosu przerywana delikatnym poszumem płynącym z głośników.

Statek zaczął właśnie wykonywać drugie okrążenie wokół Jądra, gdy nagle wszechobecne milczenie przerwał grzmiący głos zwielokrotniony milionowym echem

odbitym od gwiazd:

- Psiakrew, znowu te cholerne pchły!!

I w tej samej chwili statek kosmiczny spowiała gęsta chmura środka owadobójczego w aerozolu.

Cena

Brian Mooley Ashby, zwany powszechnie „wujkiem Ashby”, zgromadził kilkadziesiąt milionów i - według opinii złośliwców - nie bardzo wiedział, co z nimi robić. W rzeczywistości Ashby używał pieniędzy zgodnie z tradycją: ciulał je oraz inwestował. Żonę pochował wcześniej, w niezłym zdrowiu doczekał starości i może by w takim zdrowiu umarł, gdyby nie dziewczę występujące w zadymionym, przesiąkniętym odorem potu i taniego alkoholu lokalu szczyjącym się szyldem „Splendid Saloon”.

Na wujka Ashby, który w „Splendid Saloon” znalazł się zupełnie przypadkowo, jakby grom spadł z jasnego nieba. Cały wieczór szwendał się po ulicach wpadając na przechodniów lub do knajpy, a nazajutrz zjawił się ponownie w owym lokalu, wcisnął właścicielowi w łapę kilka setek, pognął do damskiej toalety przerobionej częściowo na garderobę, wywłókł stamtąd na poły ubraną dziewczynę, wtłoczył przerażoną do samochodu, po czym zawiózł do swojej willi.

Marietta rychło ochłonęła. Zapoznała się z rozkładem pokoi, ogrodem i służbą, nawiązała znajomość z liczną psiarnią, a także ze stajennym. W lot pojęła, że jedynym jej zajęciem będzie osładzanie ostatnich lat B.M. Ashby’ego. W nowej roli poczuła się doskonale, choć przez pierwsze dni z żalem i wzruszeniem wspominała okrzyki podziwu i pieprzne propozycje sypiące się w trakcie jej występów. Ckniło jej się też bez męskiego towarzystwa, bo wujek Ashby wyraźnie ją zaniedbywał czy raczej zaniedbywał się w obowiązkach, jakie zaciągnął względem Marietty przez fakt jej porwania. Zwróciła tedy baczniejszą uwagę na dwumetrowego kamerdynera o imponujących barach i włochatej klatce piersiowej, którą bezwstydnie obnażał włączając się po korytarzach. Ale kiedy sprowokowany pewnego ranka kamerdyner przycisnął Mariettę do kąta i obiecał szeptem, że wieczorem zajrzy do jej sypialni, aby dokończyć to, co właśnie zaczął - tego samego dnia po południu zniknął. Pokojówka wyjaśniła Marietcie, że to pan zwolnił kamerdynera. Wtedy w pięknej główce Marietty zakiełkowała myśl, iż jest pod stałą inwigilacją.

Istotnie, wujek Ashby od świtu do nocy tkwił przed ekranami przekazującymi obraz z kamer śledzących każdy krok dziewczyny. Oburzyła go niegodziwość kamerdynera usiłującego wykorzystać bezbronną kobietę, oraz łatwość i zdrożna gwałtowność, z jaką ten

usiłował zrealizować swe nieczne plany. Ashby, jakkolwiek darzył Mariettę prawdziwym i wzniosłym uczuciem, pragnął ze wszelkich miar, posługując się tymi co kamerdyner środkami, uczucie to pogłębić. Niestety, wiek uczynił swoje i chociaż dusza płonęła, mdłe ciało odmawiało posłuszeństwa.

Brian Mooley Ashby, zdesperowany, postanowił zasięgnąć porady lekarza. Wybrał naukowca o głośnym nazwisku, nie praktykującego, a więc - zdaniem wujka Ashby - mającego właściwy stosunek do pracy i masę wolnego czasu. Człowiek, który gardzi konwencjonalnym zarobkowaniem, utrzymuje się albo z wielkiego biznesu, albo z majątku, w obu przypadkach jest łasy na pieniądze, a tych B.M. Ashby miał pod dostatkiem.

Spotkali się w mieszkaniu lekarza. Torrunto z punktu pozyskał sobie zaufanie i sympatię gościa. Byli do siebie podobni, lubili ten sam koniak i te same cygara. Ashby'emu, gdy obserwował lekarza, wydało się, że widzi siebie sprzed jakichś trzydziestu lat. Torrunto odwrotnie, spoglądając na gościa zastanawiał się, czy za ćwierć wieku dorobi się, tak jak Ashby, worów pod oczami, drżących rąk, łysiny i trzeciego podbródka.

- Owszem - powiedział - medycyna zna szereg specyfików, ale ich skuteczność nie jest stuprocentowo sprawdzona, zależy od indywidualnych cech organizmu, z pewnością ma charakter krótkotrwały. Przy tym specyfiki te odznaczają się dużą toksycznością, ich działanie nie pozostaje bez wpływu na narządy wewnętrzne, bodajże - o ile dobrze pamiętam - głównie uszkadzają szpik doprowadzając niekiedy do agranulocytozy.

Ashby'ego zaniepokoiło ostatnie słowo. Niepokoiło go wszystko, czego nie rozumiał. Torrunto celowo straszyl. Zdawał sobie sprawę, że klientowi chodzi nie o kurację, lecz o radykalną odnowę sił witalnych - w przeciwnym razie poszedłby do byle jakiego pigularza - Wszelako na wypadek, gdyby Ashby ciągle się wahał, chciał definitywnie rozwiązać jego wątpliwością albowiem wietrzył gotówkę, z której ani myślał rezygnować.

- Potrzebny mi nowy garnitur - oświadczył wujek Ashby, mrużąc filuternie oko. Uznał dowcip za wyjątkowo udany, ale nie był zupełnie pewny, czy lekarz skapował, w czym rzecz. Dodał więc znaczącym tonem: - Pan mnie rozumie, doktorze?

Torrunto skrzywił się niemiłosiernie, jakby koniak którym właśnie zwilżył gardło, zaprawiony był octem.

- Doskonale - odparł. - Natomiast pan, zdaje się, nie bierze pod uwagę konsekwencji przeszczepienia mózgu. Proszę zważyć: jeśli otrzyma pan ciało rówieśnika, przedsięwzięcie będzie pozbawione sensu. W przypadku dawcy młodego - również, bo nie organizm, tylko ośrodek sterujący tym organizmem jest odpowiedzialny za prawidłowe funkcjonowanie ustroju, a zatem decyduje o wszystkich procesach fizjologicznych, także tych, które interesują

pana najbardziej, a nad regulacją których czuwa hipotalamus, czyli podwzgórze. Pański mózg wraz z hipotalamusem jest, co tu ukrywać, niepełnosprawny. Umieszczenie go w młodym ciele byłoby analogiczne do założenia zdekompletowanego, starego programu do nowiutkiej precyzyjnej maszyny.

Brian Mooley Ashby wyszarpnął cygaro z ust, strzępiąc sobie boleśnie naskórek na wargach. Jak to? Czyżby ten... ten... lekarzyna odbierał mu jedyną nadzieję? Codziennie setki ludzi korzystały z niewyczerpanych zasobów przetrwalników krionicznych (tajniacy Ashby'ego zbadali sprawę u źródła) i nikt się nie skarżył na żadne niedomagania. Co więcej, każdy z transplantowanych cieszył się znakomitą kondycją, nie zdarzyło się, aby kogokolwiek rozczarowała nowa kreacja.

Tak, informacje zebrane przez wywiadowców były dogłębnie sprawdzone. Wujek Ashby poznał nawet przyczyny powstania przetrwalników krionicznych. Zbudowano je pod koniec XX wieku, kiedy nie umiano zwalczać chorób nowotworowych. Zaatakowani rakiem, w beznadziejnym stanie poddawali się masowo pełnej hipotermii, tusząc że w przyszłości ludzkość znajdzie remedium na pustoszącą ich organizm postać nowotworu złośliwego i metodę gwarantującą powrót do życia po zamrożeniu. Biedni desperaci. Ludzkość rzeczywiście wynalazła pożądane leki i opracowała wymagane metody, ale błędów przodków popełnionych w sztuce hipotermii nie zdołała naprawić. Delikatna tkanka mózgowa, nie chroniona stosownymi związkami litycznymi, fatalnie zniosła niską temperaturę: obumarła. Ozdrowione i reanimowane ustroje hibernatów nie były zdolne do podjęcia samodzielnych funkcji życiowych, mogły atoli uratować bądź przedłużyć cudze życie. Ashby liczył na to, uruchomił już fundusze, a teraz oto dowiaduje się, że swój ambitny plan może zawiesić na kołku.

Torrunto udał, że nie dostrzega jego wzburzenia. Spokojnie wsłuchiwał się w szelest cygara, które zamierzał zapalić.

- Pan potrzebuje czegoś więcej niż nowego garnituru - oświadczył z flegmą. - A ja to mam.

Ashby zastrzygł uszami. Przesunął się niecierpliwie z fotelem do przodu, gdyż liście stojącej za nim cibory łaskotały go w potylicę. Sięgnął po kieliszek, aby koniakiem zamknąć sobie gębę i nie zarzucić lekarza pytaniami.

- Metoda jest rewelacyjna - ciągnął z wyrachowaną obojętnością Torrunto. - Nie stosowana nigdy dotąd. Gruntownie zweryfikowana, o niesłychanie wysokim, nie osiągalnym dotychczas współczynniku bezpieczeństwa. Kto ją zna, może stać się człowiekiem praktycznie nieśmiertelnym. Szkopuł w tym, że jest ewidentnie... nieetyczna.

- Do cholery z etyką! - wymknęło się wujkowi Ashby.

Lekarz uśmiechnął się ironicznie.

- Ta metoda warta jest osobnego paragrafu w kodeksie karnym - rzekł.

- Widzi pan wszystko w czarnych kolorach, szanowny panie. Paragrafy zostawmy kauzyperdom. My, ludzie interesu...

Torrunto wypuścił kłęb rdzawego dymu i strzepnął popiół na dywan.

- No cóż, skoro się pan tak upiera... Niełatwo pana spłoszyć...

- Kiedy rozstrzyga się mój los, bywam bezkompromisowy - Ashby popatrzył badawczo na lekarza, tak żeby zwrócić jego uwagę na sens wypowiedzi. Dodał z naciskiem: - Bywam też podejrzliwy.

Gospodarza jak gdyby znudziło krążenie wokół tematu. Pochylił się do przodu, wsparł łokcie o kolana i nie spuszczać wzroku z twarzy gościa, przystąpił do rzeczy:

- Motywy, wartości i zainteresowania, światopogląd, sposoby reagowania i mechanizmy kontroli, ergo to, z czego się składa osobowość, kształtują się w toku życia. Noworodek, dopóki nie zdobędzie pierwszych doświadczeń, jest więc nikim, mimo że posiada inteligencję, temperament oraz zdolności. Jego umysł, zgodnie z filozofią Locke'a, to tabula rasa. Przyjmijmy teraz, że do takiego jałowego umysłu przeniesiemy obcą świadomość, jaźń. Otrzymamy w efekcie osobnika mającego przeszłość, dysponującego bogatym materiałem własnych przeżyć, osobnika o wyrobionych poglądach, wrażliwości, postawach, ale cofniętego w rozwoju fizycznym do okresu niemowlęstwa. Byłaby to stricte inkarnacja, nie nowość, rozpatrując z punktu widzenia dawnych religii. Metoda transplantacji mózgu tak się ma do mojej metody, aczkolwiek obie prowadzą do celu, jak odrzutowiec do maszyny czasu, przy czym w przeciwieństwie do owej maszyny nie jest jedynie hipotezą. Pozwala człowiekowi ponownie przejść przez życie od zarania do śmierci, tyle że w innym wcieleniu. Powielana, czyni człowieka nieśmiertelnym.

Wujek Ashby, nie bawiąc się w konwenanse, napelnił swój kieliszek. Pociągnął zdrowy łyk i szepnął gorączkowo:

- Zgadzam się. Zgadzam się bez zastrzeżeń, nie, z jednym zastrzeżeniem: szczeniak musi być... jak pan to powiedział?... inteligentny i z temperamentem.

Torrunto, strojąc dobroduszną i zadowoloną minę, przymknął powieki i kiwnął głową.

- Ojcem dziecka, które lada godzina przyjdzie na świat - rzekł - jest facet znany z podbojów miłosnych, na brak temperamentu nie będzie się więc pan uskarżać. Funkcjonariusze alimentacyjni, ci spryciarze, od sześciu lat bezskutecznie uganiają się za nim po kraju, a to chyba pozytywnie świadczy o jego inteligencji.

- Kim jest matka?

- Prawdziwą damą. Bardzo chętnie zapłaci każdą sumę, byle legalnie, acz dyskretnie pozbyć się bękarta. Na zawsze.

Ashby wstał. Torrunto również. Uścisnęli sobie dłonie.

- Kiedy mam się stawić?

- Czym prędzej, tym lepiej - odparł lekarz. - Radzę jutro wieczorem. Z książeczką czekową.

*

Briana Mooleya Ashby'ego dręczyła myśl, że Torrunto zdarł z niego skórę. Suma, którą wymienił lekarz napomykając o ryzyku, dawała podstawy do sądenia, iż wujek Ashby kupuje nie drugie życie, lecz bazę okołoziemską.

Zasnął zmęczony rozmyślaniami.

Spał z przerwami. Budził się, gdy był głodny albo gdy dokuczała mu nadmierna wilgotność otoczenia. Uczucie głodu i wilgotności szybko wszakże mijało i Ashby znowu zapadał w sen. W krótkich okresach jawy zdawało mu się, że słyszy kobiece głosy, co nastrojało go optymistycznie, a dwa lub trzy razy dotarł doń chropowaty tenor lekarza:

- Jak się czuje?

Z biegiem czasu - wujek Ashby stracił rachubę dni, niemniej miał świadomość ich upływu - świat dźwięków uzupełniły obrazy, wprzód zamazane, o roztopionych obrzeżach, i jak gdyby odwrócone do góry nogami. Nie pomagało tarcie oczu ani wyężnienie wzroku, zawodziły też mięśnie, kiedy Ashby usiłował przybrać pozycję siedzącą. Irytowała go własna nieporadność, irytowało go również to, że nie mógł sobie przypomnieć, czy dobił z Torrunto targu i jaką ostatecznie kwotą ten chciwiec się zadowolił.

Chciało mu się palić jak cholera. Patrzył na sufit i zastanawiał się, która jest godzina. Pudełko cygar leżało obok na szafce nocnej. Powinna tam także stać butelka koniaku. W ogóle miał ochotę coś zjeść, wstać wreszcie i zająć się interesami. Nie, raczej włączyć kamery i obejrzeć Mariettę przy porannej toalecie. Gdzież ten kamerdyner?

Ashby zamierzał wrzasnąć „Służba!” lecz z gardła wydobyło mu się nieartykułowane gaworzenie.

Pochyliła się nad nim młoda, tęga kobieta o znajomych rysach. Jedną ręką odgarnęła z twarzy długie, proste włosy, drugą rozpinała bluzkę.

- Zaraz, zaraz dostaniesz - powiedziała uspokajająco.

Wyłuskała z biustonosza bujną białą pierś. Ashby odruchowo przełknął ślinę. Zakrztusił się i zakasłał. Kobieta uniosła go, poczuł w ustach twardą, nabrzmiąłą sutkę.

Zaczął chciwie ssać.

Potem zmorzył go sen.

*

Ashby'emu zdecydowanie nie odpowiadała sytuacja, w której się znalazł. Zwłaszcza kąpiel i pudrowanie pupki przyjmował jako dotkliwe upokorzenie. Oburzało go, że byle kto bezkarnie narusza jego nietykalność osobistą. Opiekującej się nim mamce mógł ewentualnie to i owo wybaczyć, ale jej amantowi i siostrze, które zjawiały się w willi, żeby poplotkować lub, korzystając z nieuwagi służby, zwędzić jakiś drobiazg, a które przy okazji łaskotały go albo podszczypywały - szczególnie, gdy po kąpielu oraz pudrowaniu leżał nagi, i bezbronny na materacyku i majtał nogami ze złości - całej tej wszawej bandzie życzył najgorszego.

Do prawdziwej pasji doprowadzała Ashby'ego obecność Marietty. Marietta mieszkała w willi, jednak rzadko zachodziła do jego pokoju, lecz ilekroć zaszła, zawsze przyglądała się wujkowi Ashby z chłodną zadumą i jakby lekkim zdziwieniem. Kobieta, którą ubóstwiał, nie traktowała go poważnie, wręcz ignorowała go!. Ignorowała przyszłego kochanka, a kto wie, czy nie męża! Pewnego dnia posunęła się nawet do jawnej złośliwości. Mamka wydobywała go akurat z betów. Marietta stała opodal, paplała o załatwionych sprawunkach i obojętnie obserwowała Ashby'ego, który pieklił się, że zaraz będzie goły. Raptem klasnęła i zapiszczała idiotycznie:

- Ziobać, ziobać! Ciego się nasiemu maluchowi ziachciewa! - po czym pociągnęła go za to, za co pozwalał się ciągnąć tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Wujka Ashby o mało szlag nie trafił: Marietta - obiekt jego tkliwej miłości - ryczała ze śmiechu jak krowa.

Gorzkie łzy potoczyły mu się po skroniach i wsiąkły w koronkową poduszkę.

Nic bardziej hańbiącego dla mężczyzny niż kpiny z jego męskości.

*

Od dawna lękał się o swoje interesy, dlatego ucieszyła go wizyta plenipotenty, który był jednocześnie jego doradcą finansowym. Ashby zaciskał pulchne piąstki na prętach łóżeczka, wykonywał radosne przysiady i bełkotał:

- Guła-ata-bela-mata - co miało wyrażać powitanie. W tym samym dialekcie postawił kilka pytań, jakie zazwyczaj zadaje się pełnomocnikowi po powrocie z wielomiesięcznej podróży.

Plenipotent krążył po pokoju zasepiony. Nieproszony wyjął z kredensu najlepszy koniak i wypił parę łyków wprost z butelki. Następnie usiadł naprzeciw podrygującego Ashby'ego.

- Wytlumacz mi, szczeniaku - zaczął ponuro - co odbiło staremu, że dał ci swoje nazwisko i zapisał cały majątek? Nigdy bym tego kutwy nie posądzał aż o taką rozrzutność. A może jesteś jego bachorem? Nie - zaprzeczył po namyśle - wiedziałbym o tym. Musiało mu coś paść na mózg... Filantrop z bożej łaski!... A sprawiał wrażenie obrotnego i niegłupiego faceta. Napadło go, od kiedy zwąchał się z tym Torrunto...

Ashby znieruchomiał na sekundę. Torrunto - to nazwisko z czymś mu się kojarzyło.

Wrócił do płasów.

- Znalezione przy nim list - kontynuował plenipotent. - Nawet treść listu wskazuje, że Ashby zdurniał z kretesem. Marietcie wyznaczył stałą pensję pod warunkiem, że będzie się prowadzić moralnie, resztę dziedzicysz ty, z prawem dowolnego rozporządzania majątkiem z chwilą, gdy tylko nauczysz się mówić i pisać. Uważał cię widać za genialne dziecko, srajdku mały! Żebyś ty chociaż potrafił to docenić! Co za kaduczna niesprawiedliwość! Jeden kuje i tyra latami, a drugiemu...

Weszła Marietta. Miała na sobie strój, którym doprowadzała do wrzenia gości „Splendid Saloon”. Ashby mile by ją widział w swym łóżeczku, dałby sporo, żeby wzięła go na kolana i pofiglowała z nim. Niestety, Marietta wołała figlować z plenipotentem. Robiła to na dywanie wśród śmichów-chichów i wierzgań, dopóki zgorszony Ashby nie wrzasnął.

- Chodźmy stąd - powiedziała poprawiając odzież i biorąc doradcę za rękę. - Krępuje mnie ten krzykacz.

W drzwiach przystanęli.

- Byłbym zapomniiał - rzekł plenipotent. Wyciągnął z teczki zawiniątko. - Przyniosłem mu w prezencie.

Marietta rozwinęła papier. Wręczyła Ashby’emu wspaniałą, cudownie kolorową, olbrzymią grzechotkę. Ashby natychmiast wszystko przebaczył Marietcie.

Z zapałem grzechotał do wieczora.

*

Siedzieli w trójkę przy zastawionym stole. Pośrodku wznosił się tort z trzema zapalonymi świeczkami. Ashby nie mógł się doczekać, kiedy pozwolą mu zdmuchnąć te świeczki. Ciocia Marietta gawędziła z panem plenipotentem o akcjach, które to spadały, to szły w górę. Oboje byli bardzo zajęci sobą. Ashby ukradkiem wetknął palec w kwiatek z czekoladowego kremu.

- Bo dostaniesz po łapie - ostrzegła ciocia Marietta.

Pan plenipotent popatrzył na nią dziwnie, potem zagadnął Ashby’ego:

- Jak tam twoja nauka, smyku?

- Znam już pieńc litelek, plosem pana - odparł chłopczyk.

- Zuch!

Ciocia Marietta pochyliła się nad blatem i zajrzała Ashby'emu w bużkę.

- Tyle razy cię prosiłam, Albercie - powiedziała - żebyś do wujka mówił „wujku”.

- Wujku Gelaldzie - uzupełnił zawstydzony brzdąc, znowu wiercąc palcem w torcie.

- Tak, to jest wujek Gerard - zgodziła się ciocia Marietta. - I zachowuj się przyzwoicie. - Spojrzała na plenipotentę. - On szaleje na punkcie słodczy - oświadczyła z przesadnym zgorszeniem. - Co za łakomczuch!

- Więc daj mu tort i niech wraca do książek - zirytował się nagle plenipotent. - W ciągu roku bezwzględnie musi nauczyć się pisać!

*

Albert Ashby miał teraz mnóstwo wolnego czasu. Ani ciocia Marietta, ani wujek Gerard nie gonili go do nauki. Przestali się nim interesować od dnia, w którym dostał wielką jak stół bombonierę i samochód ciężarowy. Ten samochód jeździł bez popychania, a gdy trafił na przeszkodę, omijał ją samodzielnie. Aha, tego dnia Ashby podpisał też dokumenty opatrzone nagłówkiem: „Cesja majątkowa”. Podsunął mu je wujek Gerard bardzo czymś podenerwowany.

Niezwyčajny ruch w holu zwrócił uwagę Alberta. Chłopiec odłożył zabawki i wybiegł z pokoju. Wujek Gerard rozmawiał z mężczyzną, na którego widok Ashby doznał wstrząsu. Niewątpliwie już gdzieś widział tę postać budzącą w nim mgliste wspomnienia czegoś, co przeminęło, wspomnienia niezwykłego, cudacznego snu.

- Nazywam się Torrunto - oznajmił przybysz. - Pan mnie chyba pamięta. Przychodziłem tu, gdy Ashby był jeszcze zupełnie mały. Właśnie o nim chciałbym pogadać.

Wujek Gerard z ociąganiem zaprosił gościa do salonu. Albert na palcach zbliżył się do półotwartych drzwi. Przycupnął we framudze za kotarą i nie spuszczał oka z mężczyzny.

- Przyjaźniłem się ze starym Ashby - powiedział mężczyzna. - Nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Znam powody, dla których zapisał wszystko chłopcu. Proszę tylko nie myśleć, że zamierzam dochodzić roszczeń pieniężnych czy czegoś w tym rodzaju. Chodzi mi głównie o dobro Alberta.

Wujek Gerard objawił zdziwienie.

- Nie rozumiem - mruknął. - Marietta i ja opiekujemy się dzieckiem jak własnym.

- Oczywiście. Aczkolwiek niektórzy powiadają, że nie bezinteresownie.

Wujek poczerwieniał.

- Wypraszam sobie! - syknął. - Zna pan treść testamentu, nieprawdaż? Zresztą nikomu

nic do tego!

- Znam treść testamentu - powiedział przybysz. - Istnieje jednak, o czym pan zapewne nie wie, późniejszy testament. Stary Ashby sporządził go tuż przed śmiercią. Nie odbiera w nim chłopcu prawa do dowolnego gospodarowania majątkiem z chwilą, gdy Albert nauczy się mówić i pisać, ale ogranicza je pewną klauzulą. Otóż zabrania spadkobiercy do czasu, aż osiągnie on pełnoletność, wystawiania jakichkolwiek aktów darowizny.

Z oblicza wujka Gerarda zniknęły rumieńce.

- Brednie!

Gość rzucił na stół szarą kopertę.

- Oto fotokopia.

Albert wstrzymał oddech. Wujek Gerard miał minę tchórza. Nie otworzył koperty.

- Czego pan właściwie chce? - zapytał.

- Powtarzam: nie obchodzą mnie pieniądze, obchodzi mnie chłopak, i nie dlatego, że mając jedno, ma się drugie. Albert pozostanie pod waszą opieką, chcę tylko móc decydować o jego dalszej edukacji, chcę, żeby ukończył medycynę.

*

Albert Ashby czuł się jak kandydat na aktora przed komisją egzaminacyjną. Zaprosił go sam wielki Torrunto - naukowiec o niezwyklej erudycji, kulturze, rozległych zainteresowaniach, poczuciu rzeczywistości - cechach stawiających go ponad przeciętność tak często spotykaną w jego zawodzie.

Ashby kartkował czasopisma rozłożone na stoliku i dyskretnie badał wzrokiem poczekalnię. Ogarniało go wrażenie, że już kiedyś tu był; potęgowała je zwłaszcza cibora - liściasta i rozrośnięta.

Torrunto wkroczył niczym żołnierz. Zawołał:

- Przede wszystkim gratuluję dyplomu! - przemierzył kłusem odległość od drzwi do stolika, podał rękę Ashby'emu i dosłownie rzucił się na sofę. - Prosto z sali zabiegowej, nagły wypadek. Przepraszam.

Albert obliznął suche wargi.

- To dla mnie zaszczyt, profesorze... - zaczął.

- Aha, racja, czeka pan na wyjaśnienia, list był bardzo lapidarny. Krótko mówiąc: proponuję panu pracę. U mnie. - Gestem nakazał Ashby'emu milczenie. - Pańskie kwalifikacje są mi doskonale znane. Jestem przekonany, że świetnie da pan sobie radę. Podać szczegóły? Tylko zaznaczam: potem nie będzie pan miał wyboru. Radzę się zastanowić.

Ashby'ego zatkało. Rozpaczliwie zbierał rozbiegane myśli. Nie mieściło mu się w

głowie, że Torrunto, ten Torrunto, z którego zdaniem liczył się cały świat medyczny, który na ubiegłorocznym Kongresie Neurofizjologów nazwał Stellmara głupcem i udowodnił, że Stellmar istotnie nim jest, którego o konsultacje prosił nawet Van Estero da Vasari, ten Torrunto chce, żeby niejaki Albert Ashby, świeżo upieczony absolwent akademii, pracował pod jego kierunkiem.

- Trudno mi uwierzyć - rzekł oszołomiony.

Profesor przesiadł się na fotel.

- Uprzedzam - powiedział, wpatrując się bystro w Alberta - raz podjętej decyzji nie można cofnąć.

- Jestem zdecydowany - wyrzucił z siebie Ashby.

Torrunto wstał bez słowa. Skinął na Ashby'ego i ruszył przodem. Przez labirynt korytarzy dotarli do podziemi, ciepłych i suchych, skąpanych w sztucznym świetle. Zwiedzali komorę za komorą. Profesor Objaśniał.

- Ta metoda jest znana od wieków - rzekł, gdy znaleźli się w ostatniej komorze. - Stosowali ją Ariowie 2000 lat przed naszą erą. Stanowi bezwzględnie strzeżoną tajemnicę, przekazywaną ustnie z pokolenia na pokolenie, rzecz jasna tylko osobom starannie wyselekcjonowanym i godnym najwyższego zaufania. Ilość tych ludzi uwarunkowana jest wielkością populacji objętej programem. Pytasz, w jakim celu działamy i czy jest to działalność humanitarna. Nie lękaj się, nie zabijamy w noworodku osobowości, bo noworodek jej nie posiada; osobowość kształtują czynniki zewnętrzne bez względu na to, czy poddamy noworodka transpozycji, czy też nie. Idzie o co innego: o rozbudzenie umysłowości, zainspirowanie jej, wzbogacenie. Umysły, które temu służą, są umysłami o martwej świadomości, ich aktywność jest zerowa, choć funkcjonowanie mózgu nie ustało jeszcze definitywnie. W ten sposób ludziom uznanym za zmarłych przedłużamy w pewnym sensie egzystencję. To tak, jakbyśmy, doprowadzając do zapłodnienia jaja, uratowali życie wybranemu plemnikowi. Po akcie syngamii przestaje on istnieć, wszelako daje początek nowemu organizmowi. Podobnie dogasająca jaźń podczas transpozycji zapładnia, a ściślej: uszlachetnia umysł noworodka, a w konsekwencji przyczynia się do powstania na ogół wybitnej jednostki - o co nam właśnie chodzi, o co chodziło braminom i o co chodzić będzie naszym potomkom, albowiem cywilizacja, która przestała się rozwijać, jest skazana na zagładę, czego nikt ze zdrowo myślących sobie nie życzy, a od czego uchronić nas mogą jedynie jednostki wybitne, pełniące jak świat światem rolę konia pociągowego ludzkości.

Torrunto spochmurniał. Podjął przygnębiony:

- Niestety, rozwój chirurgii sprawił, że znaleźliśmy się w nader niekorzystnej sytuacji:

nie wzbudzające podejrzeń zdobycie istoty tuż po załamaniu wewnętrznej organizacji ustroju, a więc, z punktu widzenia medycyny, istoty już martwej, ale dla naszych celów jeszcze przydatnej, jest coraz trudniejsze. Dlatego, chociaż nie powinniśmy, przeprowadzamy, na wyraźne żądanie oczywiście, transpozycję osobników żywych, przy czym idziemy na rękę wyłącznie typkom poważnie zaawansowanym w wieku.

...,„Żywa transpozycja” ma złą stronę: wtłoczona w umysł dziecka, aktywna, bo nie wygaszona, osobowość wegetuje w nim do roku, wywołując, niepożądane objawy. Matki narzekają wówczas, że dzieci są kapryśne, marudne, niedobre. Objawy te jednak najpóźniej po 18 miesiącach radykalnie ustępują, pozostawiając w pamięci ślady impresji z jakby nierealnych zdarzeń. Transpozycja, o której mowa, ma również i dobrą stronę: żywego osobnika można transponować dwukrotnie - profesor błysnął zębami. - Przypomina mi się facet o tak silnej i bogatej osobowości, że starczyło jej aż dla trójki urwisów. Nazywał się Ashby, podobnie jak ty. Dzięki niemu trzy szkraby otrzymały w wianie predyspozycje, o jakich się im nie śniło. Jeden wyrósł na lekarza, drugi na panią konstruktor.

- A trzeci? - spytał Ashby.

Torrunto skrzywił się.

- Trzeci został alkoholikiem - odrzekł skwaszony. - No ale jak wspomniałem, rozwój osobowości jest określony przez wzajemne stosunki ludzkie i zadania, jakie człowiek musi spełniać; osobowość to rezultat indywidualnej historii jednostki przecież.

Thornstadt

Pierwsi dali znać sąsiedzi.

Kobieta miała około czterdziestki i twarz starej panny interesującej się wszystkim, co dokoła.

- Jestem pewna, że coś się stało - mówiła z egzaltacją. Miętosiła torebkę trzymaną na ściśniętych prawie do bólu kolanach. Z jej ozdobionego przekontrastowanymi kolorami oblicza biło więcej niż przekonanie: - ...Coś straszego.

Szef wziął ode mnie wyniki ostatniej sekcji i nie odrywając od nich wzroku, rzucił:

- Taaak...

Kobieta odgarnęła z czoła kosmyk niemal czerwonych włosów:

- Mieszkam zaraz pod nim. To jakiś dziwak. Całymi dniami spaceruje po mieszkaniu, tłucze naczynia, wykrzykuje niezrozumiałe słowa... A od tygodnia nic, zupełnie nic... po prostu cisza...

- Mógł wyjechać na urlop - wtrąciłem.

Popatrzyła na mnie z dezaprobatą, po czym pochyliła się w stronę szefa zajętego nadal wynikami.

- Nigdzie nie wyjechał! On w ogóle nigdy i nigdzie nie wyjeżdża. Od czasu, jak się sprowadził, prawie nie opuszcza mieszkania. A sprowadził się, chwała Bogu, cztery lata temu - dodała ciszej i pod moim adresem. W tonie jej głosu odczytałem: „widzisz, jakim jesteś durniem?”

- Taaak - powtórzył szef. - Wyślemy tam kogoś.

Było to podsumowanie rozmowy, przynajmniej ja tak odebrałem. Kobieta miała widać inne zdanie, bo wróciła do swoich podejrzeń.

- Tam się stała tragedia albo jeszcze gorzej... To znaczy... Liza mi opowiadała, Liza to ta, która mieszka naprzeciw niego, opowiadała mi, że on masowo skupuje kieliszki czy coś... Jak wraca z miasta, to mu - dzwoni w tych wypchanych torbach...

Zbierałem się do odejścia, kiedy padło nazwisko tego człowieka:

- Thornstadt czy jakoś tak...

Zamarłem przy drzwiach z ręką na klamce. Szef zauważył ten niedokończony gest i

uniósł brwi z zaciekawieniem. Ale nie pisnął ani słowa. Zanotował tylko adres rozmówczyni.

Przepuściłem kobietę i dalej stałem niezdecydowany na progu. Zwierzchnik czekał na wyjaśnienia.

- Studiowałem z Thornstadtem - mruknąłem.

- Z n i m?

- Wątpię, żeby jeszcze ktoś w naszym mieście nosił identyczne nazwisko.

Umilkliśmy. Szef przesunął rozczapierzonymi palcami po łysiejącej głowie. Najprawdopodobniej zastanawiał się nad procedurą.

- Co zamierzasz z tym zrobić? - spytałem. - Thornstadt...

Przerwał mi dzwonek wideofonu. Oficer dyżurny meldował następnego interesanta w tej samej sprawie.

Mężczyzna, który wszedł do gabinetu, sprawiał wrażenie gospodarza domu. I był nim. Poprawił z godnością krawat, obciągnął bluzę, zajął miejsce w fotelu przed biurkiem.

Nie wyszedłem.

Kiedyś utrzymywałem z Thornstadtem bliskie stosunki. Z podziwem obserwowałem, jak robi karierę. Asystent, starszy asystent, wreszcie adiunkt. Napisał wiele znakomitych prac. Chyba w rok po habilitacji zrezygnował z adiunktury. Z niezrozumiałych dla mnie powodów pozrywał stosunki towarzyskie i zamknął się w swojej pracowni zajmującej część strychu starego wieżowca. Obiecywałem sobie wpaść do niego któregoś wolnego dnia, ale jako pracownik Zakładu Medycyny Sądowej - obecnie oddelegowany do ekipy śledczej - miałem takich dni diablo mało.

Gospodarz domu nie wniósł do sprawy nic nowego, nie podał żadnego istotnego faktu, a jednak jego wypowiedź zawierała taki ładunek dramatyczny, że szef, zwykle z rezerwą traktujący doniesienia, postanowił niezwłocznie działać.

- Oczywiście chcesz jechać - powiedział, gdy zostaliśmy sami.

Tak, chciałem jechać. Był to zdaje się pierwszy wypadek, kiedy naprawdę samorzutnie wysunąłem własną kandydaturę.

- Dobrze, jedź. Nie wiem, ile w tym prywaty, ale...

- Zero - oznajmiłem. - Interesuje mnie z czysto służbowej strony.

Pojechaliśmy w czwórkę. Zaraz po wyjściu z windy, jeszcze na schodach, zorientowałem się, że faktycznie coś nie jest w porządku. Ten zapach był mi dobrze znany. Za dobrze, żeby mieć wątpliwości. Taką woń można poczuć jedynie w pobliżu rozkładającego się ciała.

Wewnątrz pracowni zaduch był trudny do zniesienia. Depcząc rozsypane po podłodze

szczątki naczyń szklanych, obeszlśmy pierwsze pomieszczenie. Dwa wielkie stoły zagracone setkami retort, serwantka zawierająca muflę i probówki, w rogu oscyloskop katodowy i kilka palników, kuwety ze skisłą zawartością. Pełno zapisanych papierzyśk, narzędzi lekarskich, kabli ginących za drzwiami. Minęliśmy je.

Tego widoku nie zapomnę nigdy. W ciasnej, ograniczonej spadzistym stropem klitce, między zarzuconym pościelą tapczaniem a prymitywną kuchenką gazową, na cementowej posadzce leżała nieforemna, mięsista bryła. Pod półprzezroczystą, miejscami popękaną powłoką biegły sploty żył rozchodzących się cienkimi odnogami w różnych kierunkach, otoczonych siatką naczyń włosowatych. Tu i ówdzie dało się zauważyć kępki sierści porastającej podbiegnięte burymi plamami ciało. Całość, przekraczająca dwa metry długości, opuchła, blada i naga, zajmowała tyle miejsca co czworo ludzi ułożonych para na parze.

Trzech przybyłych ze mną specjalistów wykonywało swoją pracę cicho, precyzyjnie, bez jednego słowa. Stałem na boku porażony grozą i nie mogłem oderwać oczu od tego czegoś, co jednym końcem dotykało wąskiego dywanika przy tapczanie, drugim zaś mierzyło w kierunku wyjścia. W tym właśnie końcu - którego baloniasty skraj pokrywały włosy przerzedzone rozstępami skóry - rozpoznałem nieprawdopodobnie zniekształconą głowę o wydętej, niemal gładkiej twarzy ozdobionej siną pajęczyną kapilar. Dalsze części ciała - ramiona, tułów, nogi - były prawie nie do rozróżnienia.

Usłyszałem ochryply tenor:

- Thornstadt...

To był mój głos, bo wszyscy trzej spojrzeli w moją stronę. Najbliższy odłożył kamerę i podszedł do mnie. Poczulem jego dłoń na swoim barku.

- Wyjdź - zaproponował cicho. Był przerażony w tym samym stopniu co ja. Zdaje się, że z powodu mojego wyglądu. - Pomóc ci?

Zaprzeczyłem. Ostrożnie stawiając stopy, wyszedłem do sąsiedniego pomieszczenia.

Przez piętnaście lat pracy w Zakładzie Medycyny Sądowej widziałem wiele trupów i wykonałem kilkadziesiąt sekcji. Brałem udział w niejednej ekshumacji, badałem nawet pokrojone i wygotowane zwłoki mężczyzny, ale nigdy nie spotkałem się z czymś tak potwornym.

Musiałem usiąść. Przez uchylone drzwi zobaczyłem zaniepokojoną twarz jednego z kolegów. Przesłał mi słaby, niepewny uśmiejch, który miał mnie podnieść na duchu, i wrócił do swoich zajęć.

Przydałby mi się łyk koniaku. Zupełnie odruchowo - bo przecież nawet gdybym znalazł, nie wypiłbym ani kropli - rozejrzałem się za butelką. Wśród stert stłuczki i naczyń

szklanych, w rogu stołu, tuż przy ścianie dostrzegłem przenośny rejestrator. Świecące oczko kontrolki świadczyło, że włączony jest na zapis.

Odciałem dopływ prądu, uniosłem górną ściankę i wydobyłem z wnętrza mnemonit: kryształ wielkości ziarna fasoli, w którym można zapisać całe życie człowieka godzina po godzinie. Wbrew przepisom schowałem go do kieszeni. Nie potrafię wytłumaczyć swojego postępowania.

Wróciłem sam. Tamci zostali, żeby zabezpieczyć mieszkanie. Gdy wszedłem do gabinetu, szef jeszcze ślęczał nad papierami.

- I co...? - zaczął, podnosząc na mnie wzrok. Musiałem fatalnie wyglądać, bo dał spokój z pytaniami. Poglądził tylko rzedniejącą czuprynę i mruknął: - Taaak...

Właściwie mogłem wyjść: szef dzisiaj na pewno by nie podjął tego tematu, przynajmniej ze mną. Ale czułem, że jest ciekaw szczegółów, i to bynajmniej nie z czysto zawodowych powodów. Byłem mu winny te szczegóły.

- Widziałem go - oświadczyłem.

- Domyślam się.

Powiedział to tak, jakby rozmawiał z kimś, komu zamordowano kogoś bliskiego. Chyba również brał pod uwagę samobójstwo, ale z pewnością nie wykraczał poza tę alternatywę. Na jego miejscu rozumowałbym podobnie, miałem jednak nad nim tę przewagę, że widziałem to, co leżało w sypialni Thornstadta, co najprawdopodobniej, mimo absurdalnej wręcz deformacji, mogło być Thornstadtem. Czy było - powinien wyjaśnić mnemonit lub... Na myśl, że ponownie miałbym zobaczyć albo, co gorsza, dotknąć napęczniałego ciała, chwyciły mnie mdłości.

- Jeżeli nie ma przeszkód - rzekłem przez zaciśnięte zęby - chciałbym zrezygnować...

- Jesteś na urlopie - wtrącił szef. - Na trzydniowym urlopie wypoczynkowym. Sekcję przeprowadzi... Nieważne.

Byłem mu wdzięczny. Przede wszystkim za to, że nie powiedział słowa więcej, niż należało.

- Zadzwoń - obiecałem wychodząc.

W drodze do domu odzyskałem równowagę.

Zamknąłem drzwi na oba zamki, wyłączyłem wideofon, żeby nikt mi nie przeszkadzał, po czym umieściłem mnemonit Thornstadta w uchwytach i uruchomiłem rejestrator.

Przesłuchanie kilkuletniego zapisu jest żmudnym zajęciem. Trzeba ustawicznie manipulować pokrętłem odczytu, by spośród wielogodzinnych odcinków ciszy wyłowić

strzęp zdania lub hałas określający konkretne działanie. Bardzo pomocny jest w takich wypadkach akcelerator, dzięki któremu nocne zapisy odczytywać można w ciągu kilku sekund.

Thornstadt nie należał do ludzi gadatliwych. Bywały tygodnie, kiedy nie powiedział jednego słowa. Ale pracował dynamicznie i z zapalem. Także hałaśliwie. Dużo czasu zajęło mi przygotowanie programu, który wyłączał akcelerator jedynie w wypadkach natrafienia na artykułowaną mowę. Tym sposobem przez dobę zapoznałem się z życiem Thornstadta w ciągu jego ostatnich dwóch lat.

Zapis rozpoczął się - bodajże w dniu, w którym Thornstadt zrezygnował z adiunktury. Przez pierwsze miesiące wypowiedział mnóstwo obelg pod adresem uczelni, kolegów i znajomych. Między różnymi nazwiskami najczęściej pojawiała się nazwisko dwudziestowiecznego biochemika francuskiego, laureata Nagrody Nobla, profesora Jacquesa Monoda. Ze szczególną zajadłością Thornstadt atakował jego książkę *Przypadek i konieczność*, w której Monod zaprezentował kontrowersyjny pogląd o jednorazowości i unikalności zjawiska życia ziemskiego.

Siedząc przed rejestratorem widziałem niemal, jak ten jasnowłosy mężczyzna o szerokich barkach i rudawym zaroście unosi głowę znad mikroskopu i rozglądając się po cichej pracowni wykrzykuje nagle dziesiątki epitetów ubliżających niedawnym kolegom.

W miarę upływu czasu zacząłem pojmować, nad czym Thornstadt pracował. Już na uczelni zdradzał wyjątkowe zainteresowania biologią molekularną, zwłaszcza jednym z jej działów - wirusologią. Godzinami potrafił rozprawiać o sposobach wnikania wirusów do komórek, zjawisku inhibicji kontaktowej i kancerogenności. Teraz słuchając jego chaotycznych wynurzeń uwarunkowanych nastrojami i przebiegiem badań, powoli uświadamiałem sobie związek pomiędzy fantastycznymi teoriami studenta a sensacyjnymi praktykami adiunkta.

Thornstadt usiłował przeciwstawić teorii Monoda wnioski wynikające z faktu istnienia wirusów. Uważał on, że właśnie wirusy, chociażby ze względu na swoją budowę - składają się bowiem, nie licząc kilku białek zapewniających im przetrwanie w najgorszych warunkach, jedynie z kwasu nukleinowego będącego nagim aparatem genetycznym - są dowodem powstawania na Ziemi nowego życia. Ich naturalnym środowiskiem miał być, podobnie jak u pasożytów, organizm żywiciela; w interesującym Thornstadta wypadku - człowieka. Thornstadt nie zaprzeczał, że przyczyną niektórych chorób są wirusy, ale ze słów wykrzykiwanych przez niego w stanach podniecenia wynikało, że właściwym celem istnienia wirusów jest przyspieszenie ewolucji.

„Nie sposób podważyć wirusowego pochodzenia nowotworów - mówił wielokrotnie i jest to za pisane w pamięci mnemonitu. - Kod genetyczny ulega zmianom od miliardów lat. Człowiek nie potrafi kierować tą zmiennością, potrafią natomiast wirusy, nie będące niczym innym jak kodem genetycznym właśnie. Po wnikięciu do organizmu ludzkiego wirus niemal natychmiast trafia do właściwej target cells, komórki docelowej. I odtąd przestaje istnieć jako wirus. Włącza się do aparatu genetycznego przekazując mu własny łańcuch DNA. Zaczyna się nagły, niekontrolowany rozrost komórek. Pękają naturalne, wytworzone w toku ewolucji bariery rozwojowe. Powstaje nowotwór. Ale choroby i rak nie są wyłącznie sprawą wirusa. Równą, jeśli nie większą, kancerogenność wykazują warunki klimatyczne, obyczaje, napięcia nerwowe, środki promieniotwórcze, depresje psychiczne, chemikalia. Dopiero suma tych czynników działa katalizująco. Ci, którzy je lekceważą, składają dowody nie tyle własnej ignorancji, co głupoty i obskurantyzmu. Pozostała część, uważająca raka za przejaw choroby, dokumentuje swoją prostoduszność, nieświadomość i infantylnizm. Nikt bowiem dotąd nie odważył się zachować bierności w stosunku do rozwijającego się w jego organizmie nowotworu. Nie chodzi mi o to, żeby po wprowadzeniu do ustroju, powiedzmy, wirusa polio czekać, aż spustoszy nasz system nerwowy. Byłoby to naiwne uproszczenie. Myślę o tym, by prócz wymienionego wirusa zaszczepić organizm wirusami innymi, które by zaatakowały wszystkie jego narządy, zmieniły układ genetyczny komórek całego ustroju i spowodowały tym samym przyspieszenie ewolucji człowieka.”

Przyznaję, że słuchałem tego z lękiem. Widziałem wynik eksperymentu Thornstadta i dlatego jego słowa zabrzmiały w mych uszach przerażająco naiwnie. Może parę lat wcześniej patrzyłbym mu w oczy z podziwem i obawą pełną jednak poparcia, ale dzisiaj...

Thornstadt przygotowywał się do doświadczenia blisko rok. Ten okres czasu pamięć mnemonitu wypełniała gorączkowa krzątanina, pobrzękiwanie naczyń, buczenie prądu w układach prostowniczych. Niekiedy Thornstadt odpoczywał i wtedy słyszałem szelest kartkowanych książek. Sypiał nerwowo, jadał nieregularnie. Nikt nie składał mu wizyt.

Aż nadszedł ten dzień. Thornstadt podał dokładny skład preparatów i opisał sposób przeprowadzenia eksperymentu. Spodziewał się cierpień, toteż zgromadził spory zapas morfiny i środków uśmierzających ból. Obiecał na bieżąco komentować własne odczucia i reakcje organizmu.

Nie zawiódł się. Narządy wewnętrzne porażone koloniami wirusów ulegały szybkiej metamorfozie. Przekodowany materiał genetyczny rozprzestrzeniał się błyskawicznie ogarniając tkankę za tkanką, organ za organem. Siły odpornościowe nie istniały, bo Thornstadt zastosował immunosupresję. Podkreślał to zresztą wielokrotnie, nawet jeszcze w

trakcie doświadczenia. Potem nagle, któregoś chyba ranka, przestał w ogóle mówić. Poruszał się po mieszkaniu ciężko, niezdarnie, jak gdyby stracił koordynację ruchów. Przesuwał coś, przewracał.

Zdolność wydawania dźwięków odzyskał nieoczekiwanie. Ale nie był to już głos człowieka. Nie mogło go wydawać także zwierzę. Niczym z elektronicznego syntetyzatora pochodzące warczenie, wycie i jęki nie kojarzyły mi się z niczym. Czułem tylko, jak cierpnie na mnie skóra. Coraz częściej słyszałem brzęk tłuczonych naczyń, a wyobraźnia podsuwała mi coraz okropniejsze wizje.

Później brzęk i łomot ustał. Zapadła cisza, jedynie odległe zduszone sapanie świadczyło, że to, co leżało na podłodze w sypialni Thornstadta, jeszcze żyje...

Dostałem zawrotów głowy. Po dwudziestoczworgodzinym siedzeniu przed rejestratorem byłem wyczerpany jak podejrzany opuszczający salę przesłuchań.

Padłem na tapczan. Zasnąłem od razu.

Gdy otworzyłem powieki, naprzeciw mnie w głębokim karle za ławą siedział szef. Obok stało dwóch z ekipy śledczej.

Przecierałem zaspane oczy i zastanawiałem się nad celem tej wizyty. Nie była przypadkowa, to raczej pewne.

- Taaak - rzekł szef. - Poczęstujesz nas kawą?

Skinąłem głową i wyszedłem do łazienki umyć twarz zimną wodą. Potem zaparzyłem nescę. Wracając z filiżankami rzuciłem okiem na rejestrator - był wyłączony, a przecież zostawiłem go pod prądem. Moje spojrzenie pochwycił szef. I wówczas zrozumiałem, po co tu przyszedł.

Zapomniałem, że tych trzech, z którymi byłem u Thornstadta, to wysokiej klasy specjaliści. Natychmiast musieli spostrzec rejestrator z płonąca kontrolką. Potem dla formalności sprawdzili odciski palców. Szef nie byłby sobą, gdyby nie wyjaśnił tej zagadki. Dlatego tu jest.

Wypadało się usprawiedliwić.

- Nie mogłem inaczej - szepnąłem. - A teraz, kiedy znam przyczynę śmierci, tym bardziej chciałbym zniszczyć ten przeklęty dowód bezgranicznej głupoty Thornstadta.

- Nie znasz przyczyn - powiedział szef. - Thornstadt umarł z głodu i pragnienia. Jego organizm ulegający tak gwałtownemu rozrostowi i przemianom, wymagał ogromnych ilości pełnowartościowego pokarmu. Sekcja wykazała zespół zmian zanikowych niektórych narządów wewnętrznych...

- Wierzysz w to? - przerwałem mu. Przez chwilę zdawało mi się, że kpi. - Wierzysz w

te bzdury? A wiesz, co zawiera ten mnemonit?

- Wiem - oświadczył spokojnie. - Zapoznałem się z jego treścią, gdy spałeś. Widzisz, mózg Thornstadta... - popatrzył mi w oczy. - Może wyda ci się to nieprawdopodobne, ale mózg Thornstadta jest prawie dwukrotnie większy od normalnego.

Patrzyliśmy na siebie długo.

- Więc... - zacząłem.

Więc Thornstadt miał rację - odpowiedziałem sobie. Odkrył nową drogę ewolucji. Drogę, którą pójda inni. I nieważne, czy to dobra droga. Szef o tym wiedział.

- Wielkość mózgu jeszcze o niczym nie świadczy - oznajmiłem bez przekonania.

- Owszem, wielkość mózgu świadczy o wielu rzeczach - odparł.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jestem po to, żeby szukać prawdy.

- To nie jest prawda!

Wstaliśmy jednocześnie.

- Wyjedź - zaproponował szef. - Choćby na miesiąc. Powinieneś odpocząć.

- Obszedłem ławę i zatrzymałem się naprzeciw niego. Mówiłem długo, bardzo długo. Mówiłem nawet wtedy, gdy nie było już szefa ani jego pomocników. Mówiłem do siebie, do pustego pokoju, do rejestratora, któremu odebrano pamięć razem z mnemonitem. Później, po powrocie do pracy, przestałem mówić. Mówili inni i w innym tonie. A kiedy przestali mówić, zaczęli działać.

Użyłem wszystkich dostępnych mi sił i środków, by zapobiec nieszczęściu. Nie, nie tłumaczę się. Chcę tylko, aby ludzie wiedzieli, że nie ja, a przynajmniej nie wyłącznie ja ponoszę winę za powstanie Homo onkologensis.

Nie wiem jaka przyszłość rysuje się przed onkologusami hodowanymi na Marsie. Jedno jest pewne: kiedyś będziemy tego żałować.

Pandemia

Gdyby nie awaria hibernatora, kto wie, czy kiedykolwiek znalazłbym się w tym kwadracie. Z wielkim trudem ustaliłem położenie statku, bo na mapach pokładowego atlasu ten rejon oznaczała nieforemna biała plama z trzema gwiazdami bez nazw, szczęściem o znanych jasnościach pozornych i ustalonej dosyć dokładnie konfiguracji. Wierny alfameromat migiem uwinął się z danymi, nie zapominając wprowadzić do obliczeń odległości przebytej w ciągu przespanych ponadplanowo 19 miesięcy. Od razu też z właściwym sobie poczuciem humoru wyrzucił na ekran wyniki, które zawarł w słowach: „Istna dżungla”.

Miał rację. Jak okiem sięgnąć, gwiazdy rozsiane były tak gęsto, że mimo woli zadałem sobie pytanie, w jaki sposób udało mi się między nimi prześliznąć. - Planety zaś szwendały się tu i ówdzie, niekiedy wręcz całymi stadami, jak gdyby siły grawitacji nie miały na nie żadnego wpływu.

Postanowiłem na którejś wylądować, by rozeznac się w sytuacji. Zrazu wybrałem grupę obiecujących z wyglądu globów średniej wielkości - pędziły samoczwart jeden za drugim, niczym korale nawleczone na sznurek - ale gdy usiadłem za sterami, dostrzegłem w rogu ekranu zielonkawą planetę, kubek w kubek jak Ziemia. Zdawała się posiadać atmosferę, co potwierdził alfameromat dodając, że równie czystej i zdrowej dawno nie spotkał.

Zgodnie z Kodeksem wszedłem wpierw na parkingową. Pode mną rozciągały się tereny porośnięte zbitą roślinnością, areały łąk popstrzone żółtawymi połaciami piasku, granatowe, zmarszczone wiatrem akwatoria. I naraz w obszernej kotlinie przeciętej rzeką ujrzałem gigantyczne skupisko budowli. Bez namysłu włączyłem klawisz lądowania.

Usiadłem na placu otoczonym strzelającymi w górę wieżowcami. Budynki pod każdym względem przypominały ziemskie, z drobną różnicą: od lat nikt ich nie zamieszkiwał. Wybite okna, zawalone dachy, pękające stropy, gruz, który stożkami pokrywał chodniki - ze wszystkiego tego wnosilem, że mam przed sobą martwe miasto.

Dodatkowo sprawdziłem skład atmosfery. Był do pozazdroszczenia dla kogoś, kto przez większą część życia oddychał powietrzem ziemskim. Wskazówka indykatora zanieczyszczeń stanęła już w połowie drogi do żółtej kreski oznaczającej dopuszczalną normę, a potem wolno ją opadać z powrotem. Snadź pokazywała wielkość skażenia przez

silniki hamujące, których efekty pracy usuwał słaby wietrzyk.

Spacerkiem ruszyłem po przekątnej placu, a hałas moich kroków, odbity od niszczących frontonów, powracał zwielokrotniony, przepadał w bocznych uliczkach. Skierowałem się na południe, gdzie pośród kwitnących krzewów górowały żalosne ruiny ni to pałacu, ni ratusza. I właśnie tam spotkałem siedzącego na pokrytych kurzem stopniach starca. Opierał brodę na kolanach, a gęsty zarost spadał mu wzdłuż goleni i zakrywał kościste stopy tkwiące w drewniakach.

Stanąłem w stosownej odległości i uczyniłem gest pozdrowienia. Starzec nie wydawał się zaskoczony: prawdopodobnie obserwował mnie od momentu, gdy wylądowałem. Z jego twarzy trudno było cokolwiek odczytać, jedynie oczy wyrażały bezgraniczną rozpacz. Jak gdyby siedział na gruzach rodzinnego miasta.

Powiedziałem, kim jestem i skąd przybywam. Uniósł głowę, popatrzył na mnie uważnie i rzekł:

- Tetertos. Edgar Syde Tetertos.

Ledwo opanowałem zdumienie. Tetertos, badacz, który opuścił Ziemię, by niczym Kolumb odkrywać przed ludźmi nowe rejony wszechświata; Tetertos - postać niemalże historyczna - od lat uważany za nieżyjącego; Tetertos - człowiek, którego zdjęcie figurowało we wszystkich podręcznikach każdej z nauk mającej w nazwie rdzeń „kosmo”.

Przycupnąłem parę stopni niżej z szacunkiem zwrócony ku niemu. Milczeliśmy długo. Zadałem kilka grzecznościowych pytań. Odpowiadał ogólnikowo i niechętnie, aż naraz, pod wpływem wewnętrznego impulsu, odezwał się z teatralną goryczą:

- Jam jest sprawcą tego.

Zatoczył ręką szerokie półkole. Odruchowo spojrzałem na pękające mury.

- Dopóki złe fatum nie cisnęło mego statku w zasięg oddziaływania grawitacyjnego tej planety - kontynuował - kwitło tu życie i radość. Słusznie mówiły Tajemne Księgi Wielkiej Wyroczni ZZattokk: „...i zjawi się ktoś stworzony na obraz i podobieństwo wasze, i widmo śmierci zajrzy do domostw waszych...” A mimo to przyjęto mnie przyjaźnie i serdecznie. Nie przywiązywano wagi do przestroż Wielkiej Wyroczni...

Tetertos dźwignął głowę z kolan i wyprostował plecy przy akompaniamencie trzeszczących stawów. Przez minutę siedzieliśmy w zupełnej ciszy. On - walczący z myślami, ja - czekający na wyjaśnienia.

- Życie na tej planecie zwanej przez jej mieszkańców Gleba - podjął wreszcie z głębokim smutkiem - rozwijało się jak na Ziemi, chyba z uwagi na identyczność ekosfer. Glebanie byli bliźniaczo podobni do nas pod względem fizycznym i psychicznym. Ulegali

tym samym namiętnościom, pracowali jak my, podejmowali próby podboju kosmosu. Zbudowali kulturę analogiczną do naszej, snobowali się niczym Ziemianie, a po stworzeniu tradycji zwalczali ją tak zwaną modą. Dotyczyła ona nie tyle fasonów odzieży, co ustawicznych zmian aparycji. Glebanom głównie chodziło o to, by swym głowom nadać kształt idealnej kuli. W pracowniach kosmetycznych pozbywali się uszu, zaokrąglali brody, uwypuklali oczy, spłaszczali nosy. I czym bardziej twarz przypominała wydęty balon, tym jej właściciel uchodził za większego modnisią. Wkrótce tylko dzięki numerom identyfikacyjnym mężczyzna mógł odróżnić swą żonę od cudzej i vice versa. Nie będę wspominał narastającego chaosu i bezradności władz. Kto wie, jak dalej potoczyłby się los Gleban, gdyby nie głosy krytyczne. Pierwszym Glebanem, który odważył się powrócić do naturalnego wyglądu, był żyjący przed trzystu laty niejaki Iszna. Spalono go na stosie, jego adherentów zaś prześladowano. Pięćdziesiąt lat później Gleba zaniemówiła ze zgrozy. Oto, jak podają dawne kroniki, jeden z isznitów kazał wymodelować sobie uszy tak, że wyglądały jak narządy słuchu gintoga - zwierzęcia do złudzenia przypominającego słonia. Ulice zamrowiły się tłumami pęcherzoglówych żądających dla śmiałka kary śmierci, ale rząd ograniczył się do rozpędzenia manifestacji. Po fali pierwszego oburzenia w salonach zaczęto coraz częściej przebąkiwać o uroku gintogouchego. Z czasem w tych szeptach pojawiła się aprobata, a nawet sympatia. Znalazła się też dość pokaźna grupa naśladowców. I tak krok po kroku nadszedł moment przewrotu. W ciągu roku niemal wszyscy Glebanie poddali się obróbce plastycznej przywracającej naturalny wygląd. Była to przemiana, której nie potrafiłby wyjaśnić zespół najtęższych socjologów. Tak, młodzieńcze, w rewolucyjnym wprost tempie prąd naturalistyczny ogarnął Glebę. Mało tego - jak dotąd ogół zmierzał do całkowitego ujednolicenia, tak teraz każdy chciał się odróżniać od innych w największym stopniu. Tendencje te przejawiały się w sztucznej ekscesywności narządów i w asymetrii. Spotkać można było, na przykład, osobnika o uszach sterczących na dwa metry w górę, bądź wargach zwisających do pępka; albo też o jednym oku zajmującym połowę twarzy, a drugim wielkości łebka szpilki, przy czym oba miały inny kolor i wypukłość. Niektórzy, dbający o zachowanie indywidualności jamy ustnej, wprawiali sobie siekacze wielkości kłów mamucich albo też w ogóle pozbywali się uzębienia, zastępując je wielorybimi płatami fiszbinu. Latami trwała ta licytacja, ale jakoś nikt nie wpadł na pomysł przekształcenia nosa. Kiedy jednak znalazł się odważny, Gleban ogarnęło szaleństwo. Zrzucili eksperymenty z uszami, owłosieniem, brodą itd. poświęcając się bez reszty własnemu organowi powonienia. Najpierw prześcigano się w długości. Znawcy, a takich znalazło się natychmiast sporo, wypracowali nawet klasyczną linię i rozmiary nosa. Ustalili, że najpiękniejszy nos jest nosem prostym mierzącym 16,725

centymetra długości i 4,328 centymetra szerokości. Dziurki powinny być idealnie okrągłe i mieć średnicę monety pięciolipniakowej. Wraz z podaniem powyższego do ogólnej wiadomości, zainteresowanie nosem klasycznym gwałtownie zmalało. Zaczęto poszukiwać nowych form. Pojawiły się nosy garbate, hakowate, zębate, frędzelkowate, kartoflowate i truskawkowate. Po nosach czerwonych przyszła moda na zielone, granatowe, wreszcie czarne. Zdawać się mogło, że nikt nic więcej nie będzie miał do dodania. Aż naraz skromny student kruhawiorystyki - Leiczna - wynalazł nos-rękę. Organ ten wyglądał jak prawa górna kończyna i co więcej, był równie sprawny jak ona. Leiczna z miejsca otrzymał stanowisko w Instytucie Plasteologii i tytuł I Plasteologa honoris causa, gabinety chirurgiczne zaś nie mogły się opędzić od klientów. Wkrótce znakomita większość Gleban obnosiła się z upragnionym nosem. W kilka miesięcy po objęciu katedry Leiczna opublikował pracę naukową pt: *Nos dwuręki*. Ledwo praca ukazała się na rynku księgarskim, już tysiące snobów oblegało salony chirurgii plastycznej. Za nosem dwurękim przemawiała nie tylko moda, ale i względy ekonomiczne. Czteroręcy, jako sprawniejsi manualnie, byli nie tylko chętniej zatrudniani od dwu lub trzyrękich, ale dostawali podwójne wynagrodzenie. A zresztą, o ile wygodniej żyć mając cztery ręce zamiast dwu! Wprawdzie początkowo organa śledcze miały nieliczne kłopoty z ustalaniem sprawców przestępstw na podstawie linii papilarnych, ale za to jakże wspaniałe perspektywy zarysowały się przed przemysłem galanteryjnym, zegarmistrzowskim i jubilersko-złotniczym! Przedstawiciel rządu na jednym z posiedzeń oświadczył: „Ochrona przed zimmem i uszkodzeniami mechanicznymi, wyposażenie w zegarki i ozdobienie dodatkowych rąk - oto zadanie na najbliższe pięć lat!” Jeszcze nie minął wspomniany okres, gdy najzdolniejszy z uczniów Leiczny, Michna, wystąpił ze śmiałym projektem nosa dwunożnorekiego. „Taki nos - powiedział na XXXVIII Ogólnoglebalnym Zjeździe Plasteologów - to szczyt marzeń każdego Glebanina.” Nie pomylił się. Nos dwunożnoreki rychło znalazł zwolenników. Aż radość brała na widok rzesz Gleban posługujących się w marszu to jedną to drugą parą nóg. Tę innowację z zadowoleniem przyjęły zakłady obuwnicze. Natomiast przemysł odzieżowy wyasygnował wysokie dotacje na dalszy rozwój plasteochirurgii. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Aeropag najznakomitszych plasteologów pod kierunkiem Michny opracował technologię takiego ukształtowania nosa, by oprócz rąk i nóg posiadał jeszcze tułów. Prawdopodobnie za namową kolegów lekarzy-internistów narzekających na brak pacjentów, wyposażył ten dodatkowy tułów w komplet narządów wewnętrznych. Nosy miały więc własne serca, krwiobiegi, nerki, wątroby, jelita; mogły wydalać, pocić się, być zmęczone, chorować... Michnę zaczęto uważać za cudotwórcę...

Edgar Syde Tetertos zamyślił się. Patrzyłem mu w oczy z manifestowanym natężeniem. Zrozumiał to właściwie, bo pociągnąwszy łyk z leżącego na stopniu bidonu podjął:

- Wtedy po raz pierwszy - tak przynajmniej utrzymują stare manuskrypty - odezwały się sekty religijne przerażone zachwianiem wiary. Odkąd Michnę ozdobiono nimbem, kler wypowiedział mu zdecydowaną wojnę. Fanatyczni duchowni krzyczeli o upadku moralności i triumfie zła, księża postępowi zaś przestrzegali przed utrzymywaniem kontaktów cielesnych z nosami. Lansowano opinię, że dzieci z takich związków byłyby pozbawione głowy. Odpowiedź Michny nastąpiła szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał. Współ z Eiszczarzem w ciągu osiemnastu miesięcy skonstruował nos mający głowę zdolną do samodzielnego myślenia. W ten sposób powstały, nie, p o w s t a l i Nosanie, prawie niezależni od swych protoplastów. Kler przestał podburzać wiernych, tylko podczas obrzędów religijnych przeklinał Michnę, Eiszczarza oraz ich współników. I źle czynił, winien był bowiem zerknąć do Tajemnych Ksiąg Wielkiej Wyroczni Zzattokk, gdzie wyspacjowano następujące słowa: „...aż przyjdzie jeden dzień straszny i jedna noc straszna, kiedy krew z krwi waszej i kość z kości waszej zgotuje wam zagładę...” Nieświadomi Glebanie, kierując się owczym pędem masowo sprawiali sobie Nosanów i z daleka nie bardzo było wiadomo, który z dwóch zrośniętych osobników jest czyim nosem. W tydzień potem, jak ostatni z Gleban poddał się operacji plastycznej, nastąpiła przepowiedziana straszna doba. Nosanie oddzielili się od właścicieli, po czym wycięli w pień cywilizację glebańską...

Tetertos znowu urwał.

- Nie znałem Gleban - dodał z żalem. - Gdy przybyłem na tę planetę, nie było wśród żyjących ani jednego Glebana...

- A Nosanie - wyrwało mi się. - Co się stało z Nosanami?

- Nosanie stworzyli własną kulturę. Od momentu, gdy przejęli władzę, na Glebie zapanował ład. Wszyscy byli równi wobec prawa, nie różnili się też zewnętrznie: Michna i Eiszczarz wyprodukowali prototyp, na podstawie którego powielono Nosan w miliardach egzemplarzy. Nosanie kochali praworządność. W czasie ich blisko stuletniego panowania żaden nie popełnił najdrobniejszego przestępstwa. Traktowali wszystkich serdecznie... Żebyś zobaczył, chłopcze, jak gorąco i owacyjnie zostałem przyjęty... Gdyby wiedzieli, że przywożę im chorobę i śmierć...

Starzec ukradkiem otarł oczy i wstał pośpiesznie. Zadarłem głowę, nie ruszając się z miejsca.

- Ale co się z nimi stało? - spytałem.

Tetertos podniósł z ziemi bidon.

- Większą część podróży spędziłem w hibernatorze - rzekł. - Chyba wtedy nabawiłem się lekkiego przeziębienia. Kiedy lądowałem na Glebie, dokuczał mi katar...

Otrzepał spodnie i odszedł wolno, wzniesając obłoczki kurzu. Wirujący pył zakręcił mi w nosie. Kichnąłem potężnie. Tetertos skamieniał na sekundę, jak gdyby usłyszał okrzyk śmierci, a potem jeszcze bardziej zgarbiony podążył w stronę, gdzie nad miastem górowała jego rakieta.

Samobójstwo Abu Mhopulosa

Dlaczego Abu Mhopulos popełnił samobójstwo?

Nie istnieje dla nas ważniejsze ponad to pytanie. Jednoznaczna odpowiedź nie jest możliwa, tak jak nie jest możliwe jednoznaczne określenie życia. A nasi zwierzchnicy żądają odpowiedzi właśnie jednoznacznej. Wiemy o Abu Mhopulosie chyba wszystko i dlatego tak trudno o precyzyjne orzeczenie.

Wy tłumaczenie przyczyn jego kroku - to dla nas sprawa najbardziej istotna.

Abu Mhopulos wyruszył w kosmos na statku-laboratorium w pełni zautomatyzowanym, wyposażonym w urządzenia, które nie wymagały nadzoru. Abu Mhopulos miał pilotować ten statek i robił to przez dziesięć lat. Szukał układów planetarnych, a pokładowe „wykrywacze życia” dokonywały reszty. Praca szperacza jest karą, której wysokość mierzą lata. Najwyższy znany rejestrom sądowym wymiar kary - to jak dotąd dwanaście lat samotności. Na tyle skazano Abu Mhopulosa. I kiedy zostały mu dwa lata, kiedy powinien był już brać kurs powrotny, dokonał samozagłady.

Szperaczom pozostawiono możliwość kontaktu radiowego z Ziemią. Z jednej strony uczyniono tak, aby mogli pogłębiać wiedzę, znać w miarę na bieżąco problemy ekonomiczno-społeczne kraju i sytuację polityczną; z drugiej, by - porozumiewając się z najbliższymi - jeszcze bardziej odczuli gorycz odosobnienia. Abu Mhopulos nigdy z tej możliwości nie skorzystał. Tylko tuż przed tragicznym krokiem nadał trzy słowa: „Kończę ze sobą”. Roztrzaskał się o głowicę komety okrążającej po krótkiej orbicie podwójną gwiazdę osiem lat świetlnych stąd.

Zapoznano nas z jego biografią, podkreślając pozornie błahe, niekiedy zdawałoby się wręcz banalne szczegóły.

Matka Abu Mhopulosa była zrównoważoną introwertyczką. Zajmowała się domem i uczyniła zeń prawdziwie cichą przystań. Sukcesy i niepowodzenia przyjmowała z jednakowym spokojem. Sąsiedzi nigdy nie słyszeli, żeby podniosła głos. Tylko raz - przechodziła wówczas klimakterium - straciła nad sobą panowanie i to do tego stopnia, że zdemolowała kuchnię oraz dwa pokoje. Przyczyną było wystygłe kakao dostarczone przez kanał aprowizacyjny z kilkuminutowym opóźnieniem.

To jest dla nas pierwszy punkt zaczepienia.

Ojciec Abu Mhopulosa dwie trzecie doby spędzał w Instytucie Wojskowym, na co wpłynęła pasja badawcza i niechęć do żony narastająca od dnia ślubu. Specjaliści z Tajnej Agentury, której komórka działała na terenie Instytutu, wiedzieli - bo wiedzieć musieli - o tej antypatii już wtedy, gdy sam zainteresowany nie zdawał sobie jeszcze z niej sprawy. Wszyscy bez wyjątku pracownicy podlegali całodobowej inwigilacji, przy czym obserwacja ich życia prywatnego traktowana była równie poważnie jak obserwacja ich pracy. Ukryte kamery i mikrofony czyhały na nich także w pomieszczeniach, w których człowiek woli na ogół przebywać samotnie. Dzięki zastosowaniu specjalnych czujników w wariografie połączonym ze żrenicometrem z wielu setek metrów na bieżąco sprawdzano obiektywne uczucia i upodobania badanych. W przypadku seniora Mhopulosa orzeczono, że skrycie marzył o kobiecie z urodą i temperamentem Hiszpanki. Ustalono także ponad wszelką wątpliwość, że organicznie nie znosił dzieci. W stosunku do swego syna nie stosował taryfy ulgowej.

To jest dla nas drugi punkt zaczepienia.

Abu Mhopulos w wieku dwóch lat wypadł z kojca. Wskutek trudnych dziś do ustalenia przyczyn dziełnicę, w której mieszkali jego rodzice, pozbawiono na kwadrans energii elektrycznej. Pole tworzące barierkę kojca zanikło i mały Abu Mhopulos stoczył się na dywan, wprost na haft aplikacyjny przedstawiający stylizowaną komety. Doznał szoku.

To jest dla nas trzeci punkt zaczepienia.

Po skończeniu akademii medycznej zaczął pracować w szpitalu. Dzięki wrodzonej delikatności i znakomitemu opanowaniu sztuki lekarskiej, zdobył sympatię pacjentów i niemały rozgłos. Zainteresowały się nim władze wojskowe. Nazwisko Mhopulosa nie było im obce: Mhopulosowie pracowali w laboratoriach wojskowych od trzech pokoleń. Skontaktował się z nim uzbrojony w intratne oferty wysłannik Instytutu Wojskowego. Zaproponował mu gażę w trójnasób przekraczającą pensję szpitalną i zawód naukowca, co przesądziło sprawę, tym bardziej że dyrekcja szpitala, utrzymywanego ze skromnych dotacji, nie przewidywała w planach rozbudowy oddziału specjalistycznego.

Abu Mhopulos pracował początkowo pod kierunkiem ojca. Fachowcy z Tajnej Agentury rychło doszli do wniosku, że dla dobra obu lepiej ich od siebie odseparować. Rozdzielono więc Mhopulosów, ale zajmowali się oni tym samym.

Bardzo szczegółowo zapoznano nas z charakterem pracy Abu Mhopulosa oraz z rysem historycznym dziedziny, którą uprawiał i którą od lat otacza tajemnica. Początków jej rozwoju należy doszukiwać się w XX wieku, kiedy to z końcem II wojny światowej grupa uczonych wystąpiła ze znanym projektem opatrzonym kryptonimem „Pigeon”: w pocisku

rakietowym czynnikiem naprowadzającym był gołąb. Tak powstała bionika ogólna i jej gałąź - bionika militarna. Wkrótce, kiedy ta ostatnia zdystansowała bionikę ogólną, w raketach miast całych zwierząt zaczęto umieszczać ich żywe mózgi. Po gołębiu, po kocie i psie, przysła kolej na małpę. Jedyne mechanizm działania pozostawał bez zmian: zarówno przed gołębiem, jak i przed zaopatrzonym w narząd wzroku mózgiem kota, psa czy małpy znajdował się ekran śledzący cel, którego uchwycenie było dla poszczególnych zwierząt sygnałem pojawienia się myszy, ochłapu mięsa, bądź banana, tego co było obiektem największego zainteresowania danego zwierzęcia, albowiem w jego mózgu pobudzano równocześnie ośrodki głodu. Dopóki cel znajdował się naprzeciwko unieruchomionych oczu, a więc w skrzyżowaniu noniusza płytki ogniskowej celownika, dopóty do urządzeń korygujących lot rakiety nie napływały żadne bodźce: zwierzę pragnęło jedynie pochwycić w nieistniejące szczęki urojoną zdobycz. Ale wystarczyło, że pocisk zoczył z kursu. Wówczas mózg zwierzęcia reagował usiłowaniem zwrócenia oczu za umykającym z ekranu celem. Impulsy, które wysyłał, po odpowiednim wzmocnieniu docierały do organów sterujących rakiety. Lot zostawał skorygowany, cel wracał w skrzyżowanie noniusza, czyli przed nos zwierzęcia, aktywność mózgu ustalała się na poprzednim poziomie.

Wkrótce pojawiły się pierwsze niedogodności tego systemu. Cele, przede wszystkim grupowe, ukazywały się na ekranach pocisków niszczących - w mniemaniu kierujących tymi pociskami bioelementów - jako rojowiska myszy itp. co wpływało na pewne niezdecydowanie zwierzęcia i w rezultacie zmniejszało skuteczność rażenia, a gdy na pokładach narażonych na atak obiektów zainstalowano komputery - podające dzięki temu niezdecydowaniu i w oparciu o probabilistykę, optymalne warunki strategicznego manewrowania zaatakowanymi obiektami - w ogóle wykluczono możliwość trafienia. Kiedy uporano się z tym problemem, zawiązując do nieprzekraczalnego minimum obserwowane na ekranie pole (nieco obszerniejsze niż punkt zero), przyszłe, ewentualne cele - głównie ruchome - zaczęto wyposażać w nadmuchiwaną makietę. Samolot lub okręt, który z tych czy innych względów nie był w stanie zniszczyć zmierzającego ku niemu pocisku raketowego, natychmiast po jego wykryciu zmieniał lokalizację, zostawiając na miejscu makietę. Precyzja uderzenia głowicy pocisku gwarantowała bezpieczeństwo już w odległości kilkudziesięciu metrów od zagrożonego rejonu.

Tu wyszła na jaw bezradność kontynuatorów projektu „Pigeon”. Nawet ponowne rozszerzenie pola obserwacji nie przyniosło rezultatu: rozdławający się banan, jego uciekająca z punktu zero część, nie budziła w zwierzęciu zainteresowania. „Potrzebny nam jest mózg zdolny do samodzielnego i choć trochę analitycznego myślenia - powiedział pod koniec życia

dziad Mhopulos. - A takich mózgów mamy na świecie kilkanaście miliardów.” Ojciec Abu Mhopulosa podjął tę koncepcję. Wprzód, aby uniknąć wysokich kosztów, planowano lokować w rakietach ludzkie mózgi „bez oddzielania ich od reszty ciała”, co jednakowoż, zważywszy racje historyczne i zbyt ściśle analogie do „boskiego wiatru”, zostało zakwestionowane. Kilku specjalistów orzekło ponadto, że manualne sterowanie rakieta jest bez porównania mniej dokładne, nawet w przypadku doświadczonego pilota, niż przy zastosowaniu układu biotechnicznego, choćby najbardziej prymitywnego.

Wyłoniła się następna trudność, sądzono, że nie do przewyciężenia: ochotnicy. I nie chodziło bynajmniej o to, że społeczeństwo nie było zdolne do czynów heroicznych czy - jak kto woli - straceńczych w imię mniej lub bardziej fanatycznie pojmowanej ideologii. Po prostu ideologia serwowana przez sfery rządzące była bezwartościowa i wsteczna, a stopień świadomości narodowej na tyle wysoki, żeby całkowicie i bezkompromisowo oddzielić masy od rządu, który wprawdzie ustawowo zabezpieczył się przed kryzysem, ale był ignorowany. Jeżeli zatem chciano pozyskać ochotników kierowanych duchem obowiązującej ideologii, wypadało ich szukać wyłącznie w sferach rządzących, co jednak nie miało sensu, gdyż nikt z tych sfer „nie mógł dla dobra narodu zrezygnować ze swej kierowniczej funkcji”. Z drugiej strony wszelkie działanie przymusowe - nawet pod płaszczykiem utilitaryzmu - mogło wywołać nieobliczalne wręcz skutki: obrócić przeciwko konstruktorom siłę niszczącą wyprodukowanej przez nich broni. Dlatego przed zainstalowaniem mózgu w rakiecie - zainstalowaniem, bo była to czynność typowo instalacyjna - należało najpierw mózg ten przygotować ideologicznie - jak powiadało zarządzenie odgórne. W potocznym języku przygotowania te nazywano urabianiem, a ludzi trudniących się propagandą ideologiczną - urabiaczami. Abu Mhopulos był jednym z nich.

I jest to dla nas kolejny punkt zaczepienia. Kto wie, czy nie najistotniejszy, zważywszy specyfikę pracy urabiacza. Na poddanym przygotowaniu mózgu dokonywano drobnej operacji chirurgicznej (główne zadanie Mhopulosów), której celem było ułatwienie fizycznego, biologicznego i psychicznego ubezwłasnowolnienia. Następnie podłączano doń - poprzez aparaturę wzmacniającą - mózg urabiacza uprzednio zaktywizowanego ideologicznie bodźcami wizualnymi i słuchowymi, także za pomocą elektrofizjologicznej stymulacji. Przewodami, które łączyły mózg urabiający z urabianym, biegły myśli wyzwajające w tym ostatnim popęd agresji. Długość oraz ilość seansów zależała od odporności urabianego mózgu, z reguły wystarczały trzy półgodzinne. Potem przeprowadzano testy sprawdzające, czy wpojona szowinistyczna ideologia jest prawidłowa i dostateczna, czy przyszły organ sterujący pała odpowiednią nienawiścią do wroga. Na ekranie trenażera stojącego przed

wyposażonym w oczy mózgiem pokazywano samolot nieprzyjaciela i obserwowano reakcję mózgu. W przeważającej mierze była - ona spodziewana, a ponieważ zależała głównie od umiejętności i lojalności urabiacza - tego ostatniego otaczano szczególną opieką. Trzy niepowodzenia fundowały urabiającemu rolę urabianego. Metody represji i zastraszenia okazały się nader skuteczne. Tym bardziej że z biegiem czasu wywoływały - na zasadzie sprzężenia zwrotnego - podobne psychikom urabianym dodatnie zmiany w umysłach nawet najbardziej nieprzychylnych rządowi urabiaczy.

Czy tak się stało z osobowością Abu Mhopulosa, który naraził się bonzom Instytutu i skazany został przez nich na dwanaście lat poniewierki „dla nabrania rozumu”? Czy przez długie miesiące pracy w charakterze urabiacza uległ obsesyjnej wrogości wpajanej innym i kiedy po dziesięciu latach odosobnienia zobaczył na ekranie rozpaloną główicę komety, skojarzyła mu się ona z nieprzyjacielskim statkiem, na który runął z zamiarem zniszczenia go?

Abu Mhopulos był po matce człowiekiem zamkniętym. Każdy przejaw buntu dusił w sobie. Za plecami nazywano go „miedzianoczołym”. Ale nie znajdujące ujścia reakcje na stressy, odkładały się w psychice warstwa po warstwie i kiedyś, po przekroczeniu jej wytrzymałości, mogły eksplodować na zewnątrz z lada powodu - jak to było z matką Abu Mhopulosa. Czy to właśnie nastąpiło w dziesiątym roku samotnej podróży?

Abu Mhopulos po ojcu odziedziczył niechęć do dzieci. Równocześnie niechęci tej doświadczał na sobie przez całe dzieciństwo. Odtrącony przez ojca, którego wielbił tym bardziej, im bardziej nie cierpiał rówieśników, czuł się jak intruz, jak gdyby jego przyjsie na świat było dla rodziny Mhopulosów klęską nie mniejszą niż erupcja wulkanu w piwnicach ich domu. W późniejszym wieku, gdy pozbył się kompleksów - pozornie zresztą - swą awersję do dzieci skierował z braku potomka przeciwko sobie. Jest to hipoteza, której nie można wykluczyć. Wynikałoby z niej, że Abu Mhopulos podświadomie pragnął własnej śmierci. Czy w dziesiątym roku podróży jego nienawiść do samego siebie, pogłębiona przeciągającą się samotnością, narosła do tego stopnia, że postanowił się unicestwić?

Nie wolno także zlekceważyć wypadku z jego dzieciństwa, wypadku przerażającego dla malucha, jakim był podówczas, wypadku, który kojarzył się z kometą i który utrwalaony został w podświadomości przez szok. Czy po dziesięciu latach tułaczki, gdy napotkał kometę, doznał takiego wstrząsu, że stracił panowanie nad nerwami?

Który z powyższych czterech czynników zadecydował, że Abu Mhopulos postanowił popełnić samobójstwo? A może na jego decyzję wpłynęła ich suma?

Któż wie, co czuje i o czym myśli mózg wyposażony jedynie w narząd słuchu i oczy,

których nie sposób zamknąć, w oczy, które przez dziesięć lat śledzą ledwie widoczne zmiany na umieszczonym przed nimi ekranie? Abu Mhopulos był takim właśnie mózgiem.

Nasi zwierzchnicy żądają wyjaśnienia jednoznacznego. I wbrew pozorom nasuwa nam się takowe. Jedyne meldunek Abu Mhopulosa był lapidarny, pozbawiony uczuć. Jak gdyby Mhopulos chciał zakomunikować, że to nie przypadek, lecz przemyślana na zimno kalkulacja sprawiła, iż postanowił odebrać sobie życie. „Kończę ze sobą.” - te trzy słowa zawierają odpowiedź na nasze pytanie. Każdy z powyżej roztrząsanych czterech czynników jest czynnikiem emocjonalnym, wyrażalnym wieloma częstokroć chaotycznymi zdaniami albo niczym, po prostu zapamiętałym milczeniem. Abu Mhopulos przemówił. Zwięźle, bez wzruszeń. Po czym dokonał samozagłady. Bo Abu Mhopulos nie chciał wracać. Nie chciał połączyć się z ciałem i ponownie trafić do pracy, która mu obmierzła. Nie chciał żyć w kraju, w którym żyć by musiał.

I to jest odpowiedź, którą powinniśmy dać swym przełożonym. Jedyna i prawidłowa. Ale na taką nie pozwala nam instynkt samozachowawczy: udzielenie jej - choć jest zgodna z prawdą, podana na wyraźne żądanie i wyłącznie do wiadomości zainteresowanych osób (zatem nie znana szerszemu ogółowi) - równa się wyrokowi na nas samych, koliduje bowiem z ustanowioną przez rząd ideologią.

Skłamać nie możemy: encefaliografy zarejestrują najdrobniejszy symptomat oszustwa, a to oznacza dla nas koniec. Pozbawiono nas ciała, jesteśmy zespołem siedmiu mózgów, przed którym postawiono konkretne zadanie i od którego oczekuje się rzetelnej, zgodnej z prawdą odpowiedzi. Tylko taka odpowiedź gwarantuje nam dalszą egzystencję.

Termin rozwiązania zagadki samobójstwa Abu Mhopulosa zbliża się nieuchronnie.

Opiekun

Zobaczyłem je ze wzniesienia. Wyglądały jak rozsypane po kraciastym, zielono-żółtym obrusie ziarnka pieprzu. To były dzieci. Starszyzna została w osadzie, lecz swoją niecierpliwość zaszczerpiła dzieciom, które wybiegły mi na spotkanie.

Przez opuszczone boczne szyby wpadało rozgrzane powietrze przesycone zapachem dojrzewających zbóż. Przyroda otrząsnęła się z kataklizmu i rozpoczęła życie na nowo. Pył wzbijany kołami samochodu wciskał się do ust i zgrzytał w zębach.

Biegące drogą figurki rosły w oczach. Już rozróżniałem poszczególne umorusane buzie: dwunastoletni Otto, który zwykle pierwszy dopadał bagażnika, bobrował w nim i pytał, czy nie zapomniałem o gumie do żucia; Klara i Katarzyna - bliźniaczki o oczach jak u pluszowych niedźwiadków, trzymające się razem i na boku; Tom, Allan i Fred, którzy oddaliby deser z całego miesiąca za nowy komiks o tytanach. Za nimi biegli najmłodszy.

Kobiety stały na wzgórzu, osłaniały oczy przed słońcem i patrzyły na drogę. Poznawszy samochód wcześniej niż ja ich twarze, niknęły wstydząc się własnego niepokoju i zniecierpliwienia, niosły wiadomość do osady. Starcy czekali przed domami.

Tak jak co tydzień wiozłem im lekarstwa, narzędzia, sprzęt kuchenny, żywność. I pocztę. Jej najłakomiej oczekiwano. Listy były czytane wpraw na uboczu, z dala od wszystkich. Wieczorem, gdy minęła pierwsza fala wzruszeń, gdy przy wspólnym ognisku rosło w tych ludziach pragnienie, aby radosną nowiną podzielić się z innymi, czytano je publicznie. Siedziałem razem z nimi. Nie zwracałem uwagi na treść, słuchałem zmienionych przejęciem głosów, obserwowałem grę uczuć na twarzach i nazywałem siebie w duchu potworem.

Zahamowałem. Dzieci otoczyły samochód.

- Przywiozłeś? - oczy, jak ciemne szklane paciorki, pilnie patrzyły na mnie.

Otto, rozplaszczając nos o szybę, zaglądał do wnętrza wozu.

- Ale załadowany!

- Mamie skończyły się przyprawy...

- Wiozę nowe.

- Tatko powiedział, że potrzebuje...

- Wiozę, wszystko wiozę.

Ruszyłem wolno. Dzieci biegły, opierając się rękoma o samochód. Niepodobna było ich przekonać, że to niebezpieczne. Z początku udawało mi się odwrócić ich uwagę i raptownie dodać gazu. Teraz gdy poznały moje fortele, pozostało mi jechać na pierwszym biegu i uważać, aby któremuś nie stała się krzywda.

- Wujku - szepnął Allan wsuwając głowę do wozu. Jego usta miałem tuż przy uchu. - A pan Robert chce z tobą mówić. Podśluchałem, jak rozmawiał z siostrą.

Siostra Allana, Marica, należała do tych nielicznych osób, których specjalnie nie interesowała napływająca poczta. Robert, jej pierwsza miłość, był dezertorem. Uciekł ze szpitala polowego na miesiąc przed ustaniem działań wojennych. Miał przedramię spalone napalmem. Dzisiaj, po półrocznej kuracji, ta ręka z blizną sięgającą kości przypominała rozłupany piorunem konar.

Wprzód Robert ukrywał się na strychu. Ilekroć go odwiedzałem, lgnął wzrokiem do mojej twarzy, jakby chciał odczytać z niej wyrok. „Szukają mnie?” Przeczyłem ruchem głowy, a on bezgłośnie opadał na zmiętą pościel, myśląc już o przyszłej niedzieli, gdy znowu się zjawię. Wierzył mi, bo komuż miał wierzyć, jeśli nie korespondentowi wojennemu? Czy darzył mnie zaufaniem - to inna sprawa.

Przez półtora miesiąca oglądałem jego zarost obfitszy z tygodnia na tydzień, coraz skuteczniej maskujący wyraz nadziei i pesymizmu, woli i beziły. Albo rzeczywiście Robert tracił wiarę. Ogolił się w szóstym tygodniu, kiedy oświadczyłem mu: „Postawiono na tobie krzyżyk. Skreślono cię z ewidencji”. Wpierw zbladł. Miał w oczach radość i niedowierzanie, ale treść wypowiedzianych przed chwilą słów nie dotarła całkowicie do jego świadomości. Wyjąkał: „Jak to?” Nagła wieść osłabiła go. Zreflektował się: „A patrole?” Oczekiwałem tego pytania. „Hm, patrole... - powiedziałem z ironiczną melancholią, jakbym wspominał własną młodość. - Sytuacja zmieniła się tak dalece, że lata upłyną, nim zostanie opanowana”. Była to prawda i on ją przyjął jako prawdę, ale nie w tak ogólnym sensie, w jakim została sformułowana. Wydobył z niej część subiektywną, dotyczącą wyłącznie jego. Dobrą monetę wziął za dobrą, lecz nie docenił jej wartości. Tak chciałem.

Z czasem utrzymanie Roberta w niewiedzy stało się koniecznością. On jeden miał doświadczenie wojskowe i potrafił przewidywać. Mógł się domyślić c a ł e j prawdy.

Początkowo nie pytał o nic. Jakby tamta sprawa była dlań jasnym i zamkniętym rozdziałem. Pomagał Maricy w prowadzeniu gospodarstwa domowego, a po pełnej rekonwalescencji wyruszył z pługiem na pole. Pracował ostro, jak gdyby chciał wypociec wspomnienia. Marica, wpatrzona w niego niczym w obraz, nie dostrzegała źródła pulsującego

w nim zacierzwienia, źródła obłędnej pasji, z jaką rzucał się na każdą robotę. Ci ludzie, oddaleni od centrum zdarzeń, niewiele rozumieli.

Śledziłem go bacznie. W trakcie moich jednodniowych wizyt mówił przede wszystkim o roli, uprawie i remontach, które ostatnio przeprowadził. Niekiedy prosił o dostarczenie jakichś drobiazgów: gwoździ, nakrętek, przewodu. Planował zmontowanie agregatu prądotwórczego i zelektryfikowanie osady. Własnymi siłami, bez pomocy. On, urodzony mieszczuch-sybaryta, któremu z trudem przychodziło zejście do automatu po papierosy.

Próbowałem go prowokować, aby dowiedzieć się, jak daleko zabrnął w przypuszczeniach. Niechętnie wracał do przeszłości, starał się unikać tych rozmów, ale w jego oczach czaiło się pytanie. Pragnienie wiedzy. Popeliłem błąd: z pozoru niewinnie brzmiącymi, oderwanymi zdaniem, które miały nakłonić Roberta do wynurzeń, rozbudziłem w nim ciekawość, a wraz z nią nieufność. Przez następny miesiąc wymieniliśmy ledwie kilka słów. Trzymał się z dala, lecz nie spuszczał ze mnie wzroku. Wiedziałem, że raz zrodzone podejrzenie nie da mu spokoju, dopóki nie znajdzie potwierdzenia bądź negacji. I wiedziałem, że myśli. Tego się bałem.

Teraz nabrałem pewności, że Robert wie. Żadne argumenty nie zdołałyby zabić w nim przekonania. Nie podjąłbym się nawet takiej próby. Znaczenie miało tylko to, czy Robert podzielił się swoją wiedzą z kimś poza Maricą. Wykluczyłem tę możliwość. Odkrycie przed mieszkańcami c a ł e j prawdy byłoby dość ryzykowne, a zakładając, że prawda ta mogła się okazać fałszywa - Robert zbudował ją jedynie na przeświadczeniu - porównywalne ze zbrodniczym zamachem na psychikę ludzi.

Zjeżdżałem ze wzgórza. Dzieci zostały w tyle, słyszałem ich piski i śmiech. Nad osadą położoną na dnie zielonej niecki, okrągłej niczym misa, unosiły się wątle pasma dymu. Mieszkańcy nie okazywali podniecenia, krzątali się wokół domostw, zajęci codziennymi czynnościami.

Zatrzymałem się na głównej drodze. Schodzili się z udaną obojętnością.

- Cześć.

- Cześć.

- Gorąco.

- Tak, gorąco. Wszystko wcześniej dojrzeje.

Rozładowywałem samochód. Skrzynie kładłem na poboczu. Nie pomagali, jak nie pomaga się Mikołajowi w opróżnianiu worka z prezentami.

- O butach pamiętałeś?

- Pamiętałem. W tamtym tobole są rzemienie dla Anzelma. Przywiozłem wam także tytoń, pakę konserw mięsnych i koszule.

Z tą samą obojętnością rozkładali zawartość skrzyń wprost na ziemi. Podchodzili kolejno i brali, co im było trzeba. Nadbiegające dzieci rzuciły się do kartonów z łakociami, jak stadko wróbli na rozsypane ziarno. Wręczyłem im pudło zabawek.

Starsi czekali. Wyjąłem z kieszeni plik listów. Odczytywałem głośno nazwiska, a tu i ówdzie rozkwitał na twarzy rumieniec. Drżące ręce wyciągały się zachłannie. Ci, których nie wymieniałem, pozostali na miejscu.

- Długo jeszcze? - spytał ktoś.

Nie zdobyłem się na odpowiedź, a oni nie nalegali. Któryś położył mi dłoń na plecach.

- Chodź.

Poszliśmy w stronę placu, na którym odbywały się ważniejsze uroczystości. Kobiety przygotowywały wspólny, niedzielny obiad. Trwał zwykle do późnej nocy. Młodzież zносиła chrust, a dzieci, z buziami brązowymi od czekolady, wśród krzyków i nawoływań psociły, ile wlaźło.

Robert zazwyczaj oczekiwał mnie obok drewni. Siedział na szerokim pniu i szlifował ostrze topora. Dzisiaj go tam nie było. Obszedłem zalany słońcem plac, przywitałem się ze starcami spoczywającymi w cieniu werandy. Nie pytali o nic, jakby nie należeli do tego świata, wyparli się go, gdy oszalały zmierzał do samozagłady.

Wróciłem pod drewnię. Robert stał oparty o wybielony płotek. Był podenerwowany, słowa pchały mu się na usta, ledwie panował nad sobą. Zatrzymałem się tak blisko, że poczułem zapach jego potu. Cofnął się, jak gdyby chciał przekonać sam siebie, że nie ma ze mną nic wspólnego.

- Jeżeli... - syknął - jeżeli to prawda...

Jaką prawdę miał na myśli? Czy jego twarz mieniąca się uczuciami, była twarzą człowieka, który znał c a ł a prawdę? Czy zachowałbym się podobnie jak on, usiłujący za maską pogardy ukryć zdumienie i niedowierzanie?

Podsunał mi złożoną we czworo kartkę, przedtem zmiętą i pobrudzoną.

- Znalazłem to w bagażniku.

Rozpostarłem papier. Odczytałem:

RODACY!

Kraj nasz znajduje się w ciężkiej sytuacji społeczno-gospodarczej i militarnej. Zmagania z wrogiem wyczerpały nasze siły. Podstępny nieprzyjaciel zabrał nam najlepszych

synów i zmusił do zaprzestania walki o najwyższe cele. Tylko zbiorowym wysiłkiem, zjednoczonym działaniem, kierowani wspólną ideą. idąc ramię w ramię, możemy zniszczyć butę i zgniłe morale wrogiej armii, rzucić ją na kolana, zetrzeć z powierzchni ziemi!

MĘZCZYŹNI!

W waszych rękach spoczywa los naszego narodu. Nasz kraj stoi w obliczu klęski populacyjnej. Potrzebujemy waszych synów. Groźba wrogiej inwazji nabiera realnych kształtów. Naszym naczelnym zadaniem jest stworzenie sił zbrojnych potrafiących ustrzec kraj przed zakusami nieprzyjaciela. Rząd Tymczasowy zwalnia was z obowiązku przestrzegania sakramentu małżeńskiego. Każda kobieta w waszej osadzie to potencjalna matka przyszłych oficerów, podoficerów i żołnierzy. Pamiętajcie o tym i czyńcie swą powinność w imię Boga i najwyższych celów!

KOBIETY!

To właśnie wam zawdzięczamy życie, które napawa wroga przerażeniem. To właśnie wy w bólach rodziłyście naszych bohaterów i będziecie ich rodzić nadal. Kraj nasz, porażony kryzysem demograficznym, czeka na waszych synów. Potrzeba stworzenia nowej armii, potrzeba drugiej, sprawiedliwszej wojny, jest potrzebą całego narodu. Normy etyczno-moralne przestają mieć znaczenie, gdy chodzi o najwyższe cele. Tylko wy, działając zgodnie z prawami natury i zgodnie z wolą Boga, możecie powieść nas ku zwycięstwu. Rząd Tymczasowy, zwalniając was z obowiązku przestrzegania sakramentu małżeńskiego, otwiera przed wami banki nasienia. Pamiętajcie o tym i niech was Bóg wspomaga!

Rząd Tymczasowy

Pakiet takich ulotek otrzymałem w zeszłym miesiącu od generała Pablo Mattiusa. „Rozkolportować wśród mieszkańców” - powiedział posłaniec w wojskowym mundurze. Z kabiny ciężarowego forda, załadowanego po burty papierem, wysiedli trzej uzbrojeni cywile. Przedstawili się jako pełnomocnicy Rządu Tymczasowego. Nie mieli jasnego obrazu sytuacji w kraju, zadawali pytania wręcz naiwne. Odpowiedzi rejestrowali na taśmie magnetofonowej. Udzieliłem informacji tylko łatwych do sprawdzenia, dotyczących rzeczywistego stanu rzeczy: nie budzili zaufania. Generalnie biorąc, cały ten Rząd Tymczasowy cuchnął na miłę.

Cywile kazali oprowadzić się po terenie, w którym działałem. Zagląдали do ocalałych sklepów, składów, magazynów. Kiwali smętnie głowami. W pewnym momencie jeden z nich, prawdopodobnie najstarszy rangą, spytał o stan pogłowia - tak, właśnie o stan pogłowia -

mieszkańców osady. „Pan, jako Opiekun, nie wie, ile jest kobiet, a ilu mężczyzn?” „Nie prowadzę hodowli” - odparłem tak samo cynicznie.

Skąd wiedzieli o podziale kraju na Rejony obsługiwane przez Opiekunów, pozostanie dla mnie tajemnicą. Żaden z nas nie zdradził: Urząd Nadzorczy skierował do tej pracy wypróbowanych ludzi. Cywile zaś nie wizytowali, osad, przynajmniej mojej, a gdyby - mieszkańcy niewiele mogli na nasz temat powiedzieć.

Natychmiast po ich odjeździe skontaktowałem się z Danikiem, Opiekunem drugiej ocalałej na północnym wschodzie osady. Mieszkał po przeciwnej stronie miasta, w dzielnicy willowej. Tym razem nie mogłem sobie pozwolić na jazdę po obwodnicy. Pojechałem przez centrum, byle szybciej, aczkolwiek bardzo pragnąłem to pokryte bąblami szkliwa rumowisko ominąć.

Wspólnie z Danikiem naradziliśmy się, co dalej. Postanowiliśmy poczekać na cywilów w ukryciu. Nie zjawili się. Nie wiedzieli o istnieniu osady Danika.

Nazajutrz złożyłem raport w Urzędzie Nadzorczym. Jechałem całą noc. Rano przyjął mnie Główny Nadzorca. Już był uprzedzony przez Opiekunów z południa. „Bez paniki. Proszę kontynuować pracę. Poczyniliśmy odpowiednie kroki, poczynimy dalsze. T a m t o nie może się powtórzyć.” Wróciłem na północ mniej niespokojny. Przez zakurzone szyby samochodu oglądałem ogrom zniszczeń. Jakie społeczeństwo jest w stanie dźwignąć się po takiej katastrofie? W jakim czasie? I jakie ono będzie?

Od tamtej pory nie przyjechał żaden pełnomocnik, ale i bez nich - sytuacja pogarszała się. Magazyny i składy posiadały ograniczone zasoby. Jedyna nadzieja w ziemi, która tego roku dawała nie skażony plon.

Robert patrzył na mnie skupiony, jakby czekał, aż lekceważącym śmiechem rozwieje jego podejrzenia. Ale ja nie mogłem się śmiać. Podarłem ulotkę na strzępy. Przez moją nieuwagę dostała się do bagażnika.

- Więc... to prawda?

Nie odważyłem się spojrzeć mu w oczy.

- A wiadomości z frontu?... A LISTY?

- Będziesz mnie odsądzał od czci i wiary...

Pochylił się jak do ciosu. Było mi wszystko jedno, czy uderzy pięścią, czy siekierą. Nemo tenetur se ipsum accusare, a przecież oskarżałem się każdego dnia. Bo wykonywałem obowiązki korespondenta n i e w y ł ą c z n i e dlatego, że były moimi obowiązkami, n i e w y ł ą c z n i e z pobudek humanitarnych, o ile tego rodzaju proceder, z punktu widzenia ludzonych ludzi, można nazwać humanitarnym.

Byłem pisarzem. Moje książki ginęły w tłumie anonimowych czytelników. Nie wiedziałem, nigdy nie wiedziałem, czy były warte opublikowania. Nie wiedziałem, jakie budzą uczucia, czy są czytane do końca, czy w połowie lektury odkładane na półkę. Ktoś powiedział: „W prawdziwie i głęboko cywilizowanym społeczeństwie, kiedy pracę fizyczną przejmą od człowieka automaty, na jednego twórcę będzie przypadać jeden mecenas”. Ktoś inny oświadczył: „Praca twórcy ma wtedy sens, gdy jej efekty przyniosą korzyść bodaj jednemu człowiekowi”. Szukałem takiego człowieka. Nie znalazłem. Przestałem dostrzegać sens swojej pracy.

I oto nagle... Tak, to zbrodnia. Ci chłopcy nie żyli już od pół roku i więcej, a ja wchodząc w ich skórę, dopisywałem im życiorysy. Kazałem im nadal brać udział w idiotycznej wojnie, tęsknić za domem, przeklinać los. Wysyłałem ich na najcięższe odcinki frontu, ich rękoma zabijałem nieprzyjaciół, niszczyłem samoloty. Ranilem ich, leczyłem w szpitalach polowych, przypinałem im ordery. Za nich kochałem, czytałem listy od swoich, zapewniałem o rychłym powrocie. Od przeszło pół roku groby moich bohaterów pokrywało szkliwo i popiół, a wiadomości od nich wciąż docierały do rodzin i wciąż dostarczały nowych wzruszeń, z których ja - autor - czerpałem pełnymi garściami. Kajam się...

Robert ochłonął. Ostudziły go nawoływania z placu. Ruszyliśmy z dala od siebie w stronę zgromadzonych.

Obiad przebiegał jak zwykle, a może uroczyściej. Nie patrzyłem na Roberta ani on na mnie. Nie patrzyłem na nikogo. Myślałem.

Niezwykła cisza nie od razu dotarła do mojej świadomości. Uniosłem wzrok. Naprzeciw stał starzec z ręką wzniesioną jak do przysięgi. Jego włosy i broda w zastałym powietrzu i blasku słońca wyglądały niczym wykute w srebrze. Patrzył prosto na mnie.

- Postanowiliśmy - rzekł z namysłem - postanowiliśmy jednomyślnie, że w ciągu najbliższych tygodni przeprowadzisz się do naszej osady. Twoja pomoc, pomoc, o której nigdy nie zapomnimy, staje się dla nas coraz bardziej krępująca, bo... - zgubił się. Szukał wzrokiem poparcia. Jego słowa wprawiły mnie w zdumienie, bez względu na ich końcową treść. - ...bo jesteśmy w stanie sami się utrzymać... a zobowiązujące nas...

Z boku wstała smukła, jasnowłosa dziewczyna, o oczach jak z reklamy kosmetyków. Policzki poczerwieniały jej intensywnie, kiedy walcząc ze wstydem, mówiła:

- Jednym słowem przygotowaliśmy ci dom i wszystko, co w domu potrzebne.

- Także żonę - dodał chropowaty głos z zabawną powagą.

Dziewczyna usiadła speszona.

- Pomożemy ci w przeprowadzce - podjął starzec. - Zwieziesz osobiste rzeczy i

zostaniesz z nami. Jesteś potrzebny. Chciałbym, żebyś mnie zrozumiał właściwie: będziesz n a d a l robił t o, co dotychczas. Jesteś nam bardzo potrzebny - dodał ciszej.

Patrzyli na mnie, a ja patrzyłem na Roberta. Jego osłupienie było odbiciem mojego. Żaden z nas nie znał c a ł e j prawdy. C a ł ą prawdę znali tylko mieszkańcy osady.

Plewy

Lemiesz rył ziemię ze zgrzytem. Ciemnożółte bryły podskakiwały na ostrzach i padały rozsypując się na suche ziarna. Plewy spoglądał za siebie i kręcił głową. Z roku na rok plony były coraz mniejsze, choć pakował w gospodarke tony nawozów.

Dojechał do końca pola, zawrócił. Wielkie, czerwone koło zachodzącego słońca zajrzało mu w źrenice. Zsunął okulary. Pole zryte pazurami pługa przypominało płachtę karbowanego kartonu. Traktor prychał, zaciągał chichotem, czasem przystawał, by z szarpnięciem znowu ruszyć do przodu.

- No, stary, no - mówił uspokajająco Plewy i klepał pordzewiały błotnik. Ciągnik wyrównywał obroty, sapał, nagiął kark. Przez blisko pół wieku pracy na farmie poznał dobrze fach i swego pana.

W oddali, na zapleczu piętrowego domu, między oborą a płaskim elewateorem, rozbrzmiewał śmiech. Trójka dzieci usiłowała rozerwać drzemającą wokół, popołudniową ciszę. Stary zapragnął być razem z nimi.

- No, diable - mruknął. - Kończymy.

Na horyzoncie, od północnej strony, pojawił się obłoczek kurzu. Plewy zasłonił twarz przed słońcem. Obłok to gęstniał, to rzedł, ale konsekwentnie zwiększał rozmiary. W jego środku migotała rubinowo kopulasta kabina poduszkowca. Poduszkowiec zmierzał w stronę domu, przed który wyszła żona w zniszczonej, barwnej chuście przerzuconej przez plecy.

Poduszkowiec zastopował, zatańczył nad trawą, potargał bluszczem, który do połowy pokrywał zabudowania, i osiadł z sykiem na ziemi. Pył zniknął niechętnie.

Z kabiny wyskoczył mężczyzna w średnim wieku. Kobieta odruchowo poprawiła rozpiętą bluzkę. Rozmawiali chwilę. Potem stary zobaczył rękę żony wyciągniętą w jego kierunku. Śmiech ucichł, dzieci wybiegły przed dom i otoczyły matkę.

Plewy machnął dłonią na znak, że zaraz przyjdzie i skupił uwagę na pracy. Zmniejszył szybkość: dojeżdżał do końca pola.

- No, no, diable - powiedział. - Na dzisiaj dosyć.

Podciągnął lemiesz i zajechał pod wiatę. Wydobył spod siedzenia płachtę poplamionej szmaty, wytarł ręce.

- Później oczyszczę ciebie - spojrzał na maskę. - Trzeba pomyśleć o małym remoncie. Niedługo rdza wrąbie ci całkiem bebechy.

Przeszedł przez korral obłożony drogim mu szmelcem i gospodarskimi narzędziami. Przed domem starannie otrzepał buty.

Zona siedziała na szerokiej, małżeńskiej kanapie pod portretem dziadka w białym mundur wojsk lotniczych. Nieznajomy stał. Był wyższy od starego o pół głowy. Gdy wyciągnął rękę, kurtka opinająca jego tors zaszeleściła jak rozkładana gazeta.

- Jestem Peters - powiedział. - Z Agencji Kolonizacyjnej.

Plewy sposepniał. Spojrzał znacząco na żonę i mruknął:

- Usiądźmy.

- Napije się pan mleka? - spytała kobieta.

Mężczyzna pokazał nienaturalnie biały garnitur sztucznych zębów.

- Jeśli pani uprzejma...

- A może pan głodny?

- Nie, nie - zaprzeczył przybysz, nie przestając się uśmiechać. - Jadłem pół godziny temu.

Stary patrzył spod zmrużonych powiek. Nie podobał mu się ten wyelegantowany bubek. Twarz, postać, zachowanie miał takie, jakby przed chwilą zszedł z ekranu. Sączył mleko drobnymi łykami.

- Jak ziemia? - zagadnął Peters.

- Ziemia jak ziemia...

- A plony? Pewnie mizerne?

- Czasem mizerne, czasem nie mizerne...

Przybysz odstawił opróżnioną szklanę i obrócił się do okna.

- Gospodarstwo, jak widzę, prowadzone ręką fachowca. Lubi pan tę pracę, prawda?

Plewy zmilczał. Peters oglądał pokój. Obmacywał wzrokiem strop, ściany, meble.

Spostrzegł wiszący w kącie automatyczny sztucer.

- Jest tu jakaś zwierzyna? - spytał.

- Czasem trafi się ptaszek, czasem coś większego...

Popatrzyli na siebie.

- Lubi pan polować?

- A pan? - odwrócił stary.

Przybysz zmieszał się.

- Owszem, ale nie mam zbyt dużo czasu. I lasy wytrzebione...

Żona przydreptała z kuchni. Postawiła na stole kruche ciasteczka i przycupnęła obok męża. Peters taksował ich wzrokiem.

- Dużo wydajecie na nawożenie?

- E, tam - machnął lekceważąco ręką. - Tyle co wszyscy.

- Wszyscy? Tu już nikogo nie ma.

Plewy pochylił się do przodu i odparł z naciskiem:

- My jesteśmy.

Sprzed domu dobiegały śmiechy. - Zobaczcie, jak on dziwnie wygląda w środku - mówiła najstarsza córka. - Nie dotykaj! - krzyknął syn. - Ten pan będzie się gniewać.

- Zdrowe macie dzieci - stwierdził Peters. - Dorastają...

Położył na kolanach teczkę. Szperał długo w jej wnętrzu. Wydobył plik barwnych plansz. Żadne nie wyciągnęło ręki.

- Prospekty - rzekł stary głucho. - Było tu kilku przed panem.

Kobieta przekręciła głowę i przez ramię męża spoglądała na przyciągające wzrok napisy reklamowe. Po twarzy przybysza pełzał nikły uśmiezek.

- Najwyższy czas... Zdecydujecie się?

Stary wyprostował plecy.

- Nie zmieniłem zdania - odparł twardo.

Peters oblizwał wargi. Zerknął z nadzieją na kobietę.

- Dostaniecie tyle ziemi, ile będziecie chcieli - oświadczył. - Ziemi urodzajnej, która wyda owoce dwa razy do roku. Klimat bez porównania lepszy. Powietrze nie skażone. Jeziora i rzeki niczym kryształ. Dodamy wam kilka akrów lasu. - Podszedł do okna. Stuknął palcem w szybę. - To jałowizna, ledwo wam starcza na życie. Niebawem wstrzymamy dostawę nawozów, co wtedy? A tam - uniósł rękę ku górze - prawdziwy eden. Zabierzecie ze sobą sadzonki, będziecie uprawiać to, co tutaj. Wszystko zostanie bez zmian.

Siedzieli bez ruchu. Kobieta ścisnęła męża za ramię. Z tego, co mówił Peters, słyszała niewiele. Myślami była przy czekającej ją robocie. Przybysz zbliżył się do starego.

- Jest pełno zwierzyny. Ogrodzicie gospodarstwo, nikt wam nie będzie przeszkadzać. Podróż szybko zleci.

Plewy pokręcił przecząco głową. Hałas na dworze ucichł. Ciszę przerwał szelest kurtki poruszanej oddechem.

- Pomyślcie o dzieciach...

Stary wstał. Podszedł do wyjścia i otworzył drzwi. Przybysz wziął teczkę.

- Do widzenia - rzekł niechętnie.

Na progu obejrzał się. Dzieci uciekły ze śmiechem. Plewy trzymał w dłoni prospekty.

- Niech pan to zabierze.

Spojrzeni sobie w oczy.

- I proszę dać nam spokój.

Peters wrzucił teczkę do kabiny. Na stopniu znieruchomiał. Jeszcze raz otworzył usta:

- A może...

Zatrzasnął za sobą drzwiczki. Powiew powietrza przygiął liście, zmierzwił włosy starego. Pojazd dźwignął się, zabalansował, zawrócił w miejscu i otoczył się chmurą pyłu.

Plewy długo patrzył za niknącym tumanem.

- Co ty tam wiesz - mruknął wreszcie i poszedł oczyścić traktor.

Najdłuższy cień

Szef Urzędu Służby Specjalnej kołysał się za rozkraczoną ławą, na poduszce powietrznej, z nogami założonymi po turecku. Ssał pastylkę witaminizowaną. Fałdy spowijającej go materii skrzyły się złotawo przy lada poruszeniu. Jego wielka głowa chwiała się na cienkiej szyi niczym balon na wietrze, a twarz przypominała gębę wymalowaną na balonie właśnie, gębę nie ogolonego typu o wyłupiastych oczach spoglądających na świat głupawo i naiwnie. W rzeczywistości jednak Johanann wiedział, czego chce i jak to osiągnąć. Wyłuszczał sprawę niedbale, jak gdyby chodziło o zakupienie nasion do ogródka.

- To stara historia, Ben - mówił. - Przedstawiano mi ją w zeszłym tygodniu. Popatrz, siedzę na tym stanowisku już od pięciu lat i nie ma miesiąca, żeby nie wypłynęło coś nowego. Moi ludzie nie przekopali archiwum nawet w połowie. Po tym cholernym bałaganie organizacyjnym uporządkowanie i zarejestrowanie akt wszystkich spraw jest równie proste, co przeprowadzenie spisu ludności całego świata. Znachodzimy tego więcej, niż jesteśmy w stanie rozpatrzeć i zaewidencjonować. Dodaj teraz zagadnienia bieżące... A wiesz, co mówią moi zwierzchnicy? „To musi być zrobione.” Koniec. Kropka.

Siedzieliśmy w prywatnym mieszkaniu, które nie było mieszkaniem Johananna ani nikogo z jego znajomych. Przypuszczam, że w ogóle nie miało stałego lokatora. Służyło do spotkań pracowników USS z takimi jak ja. Dwunastopokojowe, o architekturze biura, bez sprzętu do spania. Ławy, powietrzne berzery, palmy pod świetlny sufit, w kątach: lodówki, teleradiole, szafy. Błyszczące podłogi.

Johanann wypluł pastylkę w kierunku promiennika. Zniknęła nie dotykając podłogi. Jego głos brzmiał mniej bełkotliwie. Przystąpił do rzeczy:

- Roelants, Theodore Roelants - mówi ci coś to nazwisko? Profesor doktor.

Przetrzęsnałem dokładnie pamięć z nadzieją, że nie odnajdę żadnego Roelaretsa. Tak by było lepiej dla nas obu.

- Roelants... ale Patrick. Studiowaliśmy razem.

Johanann niczym egzaminator grymasem okazał zniecierpliwienie.

- Profesor doktor Theodore Roelants to człowiek po pięćdziesiątce - wyjaśnił. - Jego placówka badawcza znajduje się sześćdziesiąt mil stąd - zawiesił głos, jak gdyby sądził, że

dokończę za niego. - Szefostwo poprzedniego Urzędu Służby Specjalnej miało tam paru zaufanych ludzi... Obecnie po reorganizacji...

- Infiltracja?

Szef znowu się skrzywił.

- Brzydkie słowo - popatrzył na mnie z afiszowaną dezaprobatą, abym zrozumiał, że powinienem czym prędzej zatuszować nietakt. Najlepiej zaangażowaniem.

- Potrzebuję szczegółów - powiedziałem.

Johanann rozwalił się na niewidocznym oparciu.

Z jego postaci emanował spokój i ulga jak po ubiciu korzystnego interesu. Stroną pokrzywdzoną w tym wypadku byłem ja.

- Znakomicie...

Milczeliśmy. On zbierał myśli. Albo rozważał, czy słusznie postąpi przedstawiając mi od razu całe zagadnienie.

- Szczegóły... Nie narzekam na ich nadmiar. Dokumentacja jest zdekompletowana i zdezaktualizowana. Od lat nie otrzymywaliśmy stamtąd meldunków. Roelants kontynuował prace podjęte w XX wieku przez profesora Harrisa, Watkinsa, Chena, doktor Mintz, a rozszerzone wiek później przez „Team Profesorski”.

Jakikolwiek wymienione nazwiska nic mi nie mówiły, to z określeniem „Team Profesorski” zetknąłem się kilkakrotnie podczas rozmów kularowych. Prace tego zespołu otaczała ścisła tajemnica. Nieoficjalne pogłoski były tak nonsensowne, że nawet ludzie spoza środowiska medycznego nie dawali im wiary. Toteż gdy Johanann bąknął: „hybrydyzacja”, zdziwiłem się mocno.

- Hodowla?

- Hybrydyzacja, ale nie w sensie, w jakim rozumieją ją hodowcy. Roelants nie ogranicza się do kojarzenia genotypów w obrębie odmiany czy rasy tego samego gatunku.

- Ciekawe.

- O, problem nie jest nowy i coś powinno ci się obić o uszy, wszak embriologia to twoja druga specjalność. Już dwa wieki temu za pomocą wirusów połączono sztucznie komórki człowieka z komórkami myszy. Kod genetyczny okazuje się na tyle uniwersalny, że cytoplazma komórki człowieka może doskonale dojść do porozumienia z jądrem komórkowym, dajmy na to, szczura. Jednakowy kod rządzi procesami życiowymi różnych struktur, co nie jest ci chyba obce. Pierwsze trudności pojawiły się dopiero przy próbach połączenia komórek rozrodczych różnych gatunków. Tu pomoc wirusów jest niewystarczająca, ba, niebezpieczna. Trzeba było wynaleźć inny sposób umożliwiający

rozpuszczenie błony otaczającej komórkę jajową. Właśnie nad tym pracował „Team Profesorski”.

Szef zdawał się nie dostrzegać mojego pytającego wzroku.

- Udało się?

- Aż za dobrze. Efekty ich pracy do dzisiaj okrywa tajemnica, ale musiały być niebywale, skoro Rada Nadzorcza, na polecenie rządu, rozwiązała „Team” i zakazała dalszych badań pod groźbą deportacji. Nie znaczy to oczywiście, że prac tych nie kontynuowano w innych ośrodkach badawczych - pozostających w gestii ministerstwa zbrojeniowego - za cichą zgodą tegoż rządu. Od tamtych czasów minęło sporo lat, sprawa pomału traciła znaczenie, aż przestano się nią interesować. Dlatego kiedy Roelants wystąpił o pozwolenie i fundusze na badania nad metodami krzyżowania komórkowego, motywując prośbę zamiarem niesienia pomocy gospodarce rolno-hodowlanej, uważasz, co za cwaniak?, otrzymał zgodę i kilkaset tysięcy na rozruch. Początkowo przysyłał sprawozdania, ale gdy towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło mu sześć milionów po śmierci żony, notabene przyczyna jej zgonu do dnia dzisiejszego nie została wyjaśniona, korzystając z kolejnego kryzysu rządowego, postarał się, by o nim zapomniano. Jego placówka nadal figuruje w naszych wykazach, wiem także, że uczelnie medyczne kierują do niej absolwentów na praktykę, ale na tym kończy się moja wiedza. Nasi ludzie odszukali dwóch byłych praktykantów Roelantsa. Dowiedzieli się od nich, że Roelants to dziwak i samotnik. Podobno nie wpuszczał ich do swojej pracowni i przy byle okazji radził im, żeby wynosili się do diabła.

...Studia ukończyłeś parę lat temu, ale dla Roelantsa będziesz praktykantem. Jutro rano umyślny dostarczy ci instrukcje i skierowanie. Pojedziesz bez zwłoki. Interesuje nas przede wszystkim, jak dalece Roelants posunął się w badaniach. Zadanie niezmiernie delikatne. Niezmiernie.

Spojrzał mi w oczy prawie życzliwie. Wstał. Ja także.

- Życzę sukcesów - rzekł, kładąc mi dłoń na łopatkę. Staliśmy przy drzwiach. - Życzę sukcesów... Bellerofoncie.

Drgnąłem. Nie paliłem się do walki z Chimerą.

*

Po powrocie do domu zająłem się pakowaniem waliz. Z sąsiedniego pokoju dobiegło mnie ciche wołanie. Matka obracała w palcach stary, złoty pierścień z jasnoniebieskim lapis lazuli. Podała mi go.

- Weź.

- Cóż znowu, mammo?

Niezgrabnie rozpięła kieszeń mojej bluzy.

- Weź. To talizman. Gemma.

Okręciła się na pięcie i odeszła pośpiesznie, chyląc głowę. Poruszony wróciłem do pokoju. Zachowanie matki, odzież rozrzucona w trakcie pakowania, szuflady otwarte - podobnie jak rok temu, gdy trzej małomówni mężczyźni skończyli swoją robotę. Przyszli zaraz po zachodzie Lustra, świtem. Jeszcze spałem. Pokazali matce nakaz rewizji. Ściągnęli mnie z pościeli, a pościel z łóżka. Metodycznie, cal po calu, przetrząsali pomieszczenia. Najbardziej ciekawiła ich zawartość biblioteki, prywatna korespondencja, bruliony i notatniki. „Domyślam się, że szukacie czegoś, co można ukryć między kartkami.” Typek zajęty przekładaniem bielizny odpowiedział: „Czasem szuka się ziarnka prochu, a znajduje armatę.” Zabawili do południa. Zgadywałem, o co im chodzi. Ale tego nie było w domu. Przekonań nie trzyma się przy, lecz w sobie. Poprosili, żebym im towarzyszył. Matce drżały usta i dłoń zaciśnięta na broszce pod szyją. Patrzyła na moją twarz z uporem, jak gdyby utrwałała w pamięci jej każdy szczegół.

Pojechaliśmy luksusowym wozem, który nie ściągał uwagi, do umownej granicy między city a dzielnicami prywatnymi. Zza pięciometrowego muru z betonu wystawał skośny dach wiekowej budowli. Kierowca zahamował na podwórzu. Za nami zamknęły się wrota stylizowane na średniowieczną, wykutą ze stali, bramę. Zaprowadzono mnie do bezokiennego pokoiku z drewnianym krzesłem i stołem w rogu. Na brudnej podłodze walały się pety. Zostałem sam. Po kwadransie przyszedł umundurowany. Tamtych, którzy złożyli mi poranną wizytę, nie zobaczyłem już nigdy.

Pomieszczenie, do jakiego teraz trafiłem, przypominało gabinet bossa mało reprezentacyjnej instytucji. Usiadłem przed pustym biurkiem. Oczekałem następny kwadrans. Na widok wchodzącego cywila umundurowany wstał i wyszedł. Cywil miał ponad czterdzieści lat i pachniał dobrą wodą po goleniu. Przedstawiliśmy się sobie. Johanann - takie wymienił nazwisko - okazywał mi szacunek i sympatię. Jakby nie istniały więzienia, a sama myśl o nich napawała go wstrętem. Wydawał się ubolewać nad moją sytuacją. Odniosłem wrażenie, że zależy mu na jak najszybszym zamknięciu tej nieprzyjemnej dla nas obu sprawy. Tego - sugerował - nieporozumienia. „Udzieli nam pan tylko kilku wyjaśnień.” Przystałem z ochotą, by wykazać maksimum dobrej woli. Lepiej było nie drażnić tych działających pod szczególną opieką wszechwładnej Policji Generalnej. Zbyt łatwo znikali niewygodni ludzie - niekiedy z całymi rodzinami - żeby zaryzykować zatarg lub odmowę. Nie marzyłem o karierze, ale chciałem do czegoś w życiu dojść, znaleźć się na liście lekarzy, jeśli nie znanych,

to przynajmniej godnych poszanowania. Bez względu na cenę. Tak mi się wtedy wydawało.

Skończyłem pakować walizy. Przed kolacją powiadomiłem swych nielicznych pacjentów o moim wyjeździe. Ich głos w słuchawce, w miarę jak tłumaczyłem i przepraszałem, stawał się oschły, z trudem kryjący oburzenie. Obiecywał: „Więcej ty nas nie zobaczysz, konowale.” Czułem, że tracę jedyne źródło dochodu. Starłem się o tym nie myśleć.

*

Nazajutrz wczesnym rankiem zawitał do mego domu obcy mężczyzna. Zachowywał się jak człowiek potrzebujący pomocy neurologa. Przychodzili już do mnie tacy.

Dał się zaprowadzić do gabinetu i tu odzyskał nagle spokój. Nie zdjął peleryny ani ciemnych okularów. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wydobyl szary pakiet. Położył go na biurku.

Powiedział:

- Proszę wypisać receptę. Rezerpina w tabletkach.

Wyszedł mniej roztrzęsiony, cały w ukłonach i podziękowaniach. Odprowadziłem go do furtki. Stawiał zamaszyste kroki. Recepta, którą ścisnął w palcach, furkotała na wietrze. Deszcz ustał, wyrzało słońce.

Z gorącą kawą wróciłem do gabinetu. Rozerwałem kopertę i przestudiowałem instrukcje. Skierowanie wystawiono na moje nazwisko, nazwa uczelni była ta sama. Zmieniono natomiast rok jej ukończenia. Wśród dokumentów znalazłem mapę z zaznaczonym celem podróży. Leżał na zachód od 52-go słupka milowego Autostrady Południowej. Nie znałem tamtych okolic.

Zgodnie z poleceniem zniszczyłem w promienniku instrukcję obsługi radiostacji (40X30X10 mm), pozostałe papiery ulokowałem w schowku (przy kierownicy samochodu) otwieranym szyfrem papilarnym. Kiedy uruchamiałem silnik, dostrzegłem płatek kartonu zatknięty za przednią szybę, wypełniony pismem maszynowym: WIEMY WSZYSTKO. DECYZJA JUŻ ZAPADŁA. Przeczytałem te zdania dwukrotnie.

To naturalnie nie była robota ludzi Johanna. Bezsensowna, zarazem złowróżbna treść wskazywała raczej na grupę przeciwną, grupę, do której należałem. Do której przynależność motywowałem przed Johannem obowiązkiem, przed sobą zaś samym - przekonaniem.

Zastanowiłem się, czy nie jechać z tym do szefa. Instrukcja nie przewidywała podobnego wypadku, nagliła do wyjazdu. Gdybym nawet zadzwonił do Johanna, spotkalibyśmy się dopiero nazajutrz. Telefoniczne przekazywanie informacji było zabronione.

Z drugiej strony pogroźkę sformułowano dosyć jasno. Kartkę podrzucono najprawdopodobniej między zachodem słońca a wschodem Lustra, kiedy pas terminatora kładł na miasto głęboki mrok. Przez ten kwadrans ciemność ulic rozpraszało jedynie okresowo włączane oświetlenie witryn sklepowych i prostokątne snopy światła padającego z mało których okien. Smugi cienia, sygnału nadciągającej nocy, powszechnie oczekiwano w domach. Nieliczni, których ciemność zdybała na ulicy, skręcali do kawiarni lub najbliższych magazynów. W tym czasie każdy bez zwracania czyjejkolwiek uwagi mógł umieścić kartkę w zaparkowanym na chodniku samochodzie.

Ukradkiem zlustrowałem wzrokiem ulicę. Za zakrętem niknął gazeciarz. Nikogo. Okoliczni mieszkańcy brali poranny prysznic i siadali do śniadania. Może któryś z nich? Obserwuje mnie właśnie zza firanki.

„Wiemy wszystko” oznaczało tyle co „nie wiemy nic”. Zalatywało prowokacją. Wrzuciłem bieg i nacisnąłem pedał gazu. Po dwudziestu minutach pędziłem Autostradą Południową.

*

Za pięćdziesiątym drugim słupkiem milowym skręciłem w wyboistą drogę. Więcej niż trzydzieści nie sposób było jechać. Słońce osuszyło ziemię po niedawnym deszczu i chmury kurzu kotłowały się nad maską. Amortyzatory skrzypiały, w bagażniku zawodził niedokręcony detal, nadwozie wydawało trzaski.

Droga skończyła się raptownie wśród drzew równiny aż po horyzont. Bliżej na poboczach ciągnęły się poletka niskopiennej kukurydzy. Siatka z tworzywa sztucznego odgradzała je od drogi. Za nią w odległości dwudziestu metrów stała altana ocieniona pnączami winorośli. Odnalazłem furtkę. Lawirowałem między grządkami sadzonek, które z bezczelnością kaktusów spoglądały w rozpalone niebo.

- Hola!

Zatrzymałem się w połowie drogi. Starczy tenor rozległ się z prawej, - za wodotryskiem, tam gdzie rosły krzewy krategusa.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Kolczaste gałązki drgnęły. Wysunęła się zza nich lśniąca lufa myśliwskiej broni. Jej wylot skierowany był tak, że mogłem doń zajrzeć.

- Czego chcesz? - warknął nieprzyjazny głos.

- Bardzo przepraszam, straciłem orientację, przyszedłem prosić o poradę, jadę do zakładu profesora Roelantsa - plotłem chaotycznie.

Trochę trwało, zanim nadeszła odpowiedź.

- Do diabła, to jasne, że nie wybrałaś się na grzyby! Ale po cholere tutaj wlażeś?

- Właśnie mówię: szukam drogi...

Mężczyzna zastanawiał się jakiś czas.

- Nigdy tam nie byłeś? - spytał łagodnie.

- Nigdy, proszę pana - odparłem z naciskiem.

Niekiedy jedno słówko wypowiedziane w stosownym momencie więcej może zdziałać od dwugodzinnej przemowy. Zwrot „proszę pana” okazał się zwrotem właściwym. Chrząkanie i posapywania świadczyły, że wprowadziłem rozmówcę w zakłopotanie.

- Hm... Do czego to doszło. Żebym pokazywał drogę... Słuchaj, młody człowieku. Jeżeli chcesz dotrzeć do tego... tego... tfu! Cztery mile dalej jest szosa na zachód. Zajedziesz nią pod sam zakład. Tu przedtem też była droga, człek się napatrzył i nasłuchał... Ale od kiedy postawili tamę, zarosła zielskiem. Teren podmokły.

- Dziękuję panu. Trafie jak po sznurku. Dziękuję.

Lufa opadła. Mężczyzna powiedział:

- Lepiej, żebyś nie trafił, chłopcze. Czysty grzech, co ci piekielnicy wyprawiają. Nie daj się omamić. Uciekaj stamtąd czym prędzej i złóż meldunek komu trzeba, bo mnie nikt nie wierzy.

Pożegnałem się i wróciłem do wozu. I Johanann po tym, czego się dowiedziałem, nie byłby w stanie wyperswadować mi wizyty u Roelantsa. Ale meldunek, chcąc nie chcąc, będę musiał złożyć.

*

Placówka badawcza profesora Theodore Roelantsa leżała w płytkiej kotlinie. Dziesięciohektarowy teren okolono wysokim na trzy metry ogrodzeniem z metalowych płaskowników. Przy rozwartych wierzejach wisiała przekrzywiona tablica o złuszczonego napisie. Dwie stojące naprzeciw siebie bliźniacze budowle - płaskie, wąskie i długie jak hangary - dzieliła prawie dwustumetrowa szerokość zwirowanego dziedzińca. Ich lokalizacja wskazywała na nieprzemyślaną koncepcję architektoniczną. Jakby w pierwotnych planach zamierzano wznieść między nimi dodatkowy kompleks budynków, z czego w ostatniej chwili, zaraz po niwelacji, zrezygnowano.

Budowle okrywały czarne płaszczyzny dachu. Na bliższej wznosił się maszt ośmiokątnej anteny jak z filmu o Kosmitach. Pachniało rozgrzanym piaskiem. Gorące, zastęłe powietrze zniekształcało obraz lasu zdobiącego widnokrąg postrzępionym pasmem.

Wjechałem na dziedziniec, zatoczyłem półkole. Po wyjściu z samochodu trzasnąłem oznajmiająco drzwiczkami. Nikt nie wyszedł na spotkanie, nie uchyliło się żadne okno, a

przecież czułem, że jestem obserwowany.

Swobodnie, jak gdybym przyjechał na weekend do krewnych, poszedłem wzdłuż pierwszego budynku, rozglądając się za wejściem. Jedna z bielonych okiennic rozchyliła się jak od podmuchu eksplodującej wewnątrz bomby.

- ...autodrom?! Zabieraj pan to!

Wyciągnięta sztywno ręka, celująca w oddaloną część dziedzińca, załamała się w łokciu.

- Profesor Roelants... prawda?

Postać w oknie była identyczna z tą na fotogramie załączonym do instrukcji. A Johanann twierdził, że zdjęcie pochodzi sprzed piętnastu lat.

- A pan? Co pan...?

- Jestem absolwentem akademii medycznej. Praktykantem.

- Praktykantem, krewa! Rajdowiec...

Przerwał mu gwizd jak z parowego sygnalizatora. Roelants rzucił się do tyłu. Patrzyłem w ciemną czeluść pokoju o zwyczajnym suficie i ścianach, na których zamocowano archaiczne kinkiety. Medytowałem, co robić.

Gwizd zamarł jak ucięty. Roelants kłął w głębi budynku. Wyzywał kogoś od pijaków. Zjawił się po pięciu minutach.

- Pan jeszcze tu? - wrzasnął. - Jazda z tym na parking! - zniknął i zaraz wychynał na nowo. Rzekł spokojnie: - Czekam w gabinecie. Wejście z drugiego końca, drzwi na prawo.

Na betonowym podjeździe stało sześć samochodów, w tym cztery ciężarowe. Zaparkowałem tyłem do ogrodzenia, aby w razie potrzeby opuścić zakład bez konieczności manewrowania.

Przez mroczną sień dostałem się do gabinetu Roelantsa. Pomieszczenie przypominało sypialnię, którą właściciel, ze względu na prywatne bądź służbowe zainteresowania, obwiesił hologramami. Roelants rozwalał się w fotelu, nogi zaś ułożył na muzealnej otomanie. Mocne światło jarzeniowe upodobało go do trupa. Szpakowate brwi i gęste siwe włosy lśniły, jak gdyby posypane pyłem glinu.

Wyciągnąłem rękę z papierami. Nie wziął ich. Nie zachęcił mnie także do zajęcia któregoś z wolnych krzeseł.

- Co pan potrafi? - spytał wprost. Nim zdążyłem zebrać myśli, rzucił następne pytania:

- Imię, nazwisko, nazwa uczelni, ukończone fakultety?

Poczułem się jak podczas pierwszego przesłuchania. „W trakcie rewizji wspomniał pan o trudnościach związanych z pozyskaniem pacjentów - rzekł Johanann. - Czyżby Związek

wykazywał aż taką indolencję?” „Nie należę do Związku.” „O, a czemuż to?” Pytał z udaną naiwnością. Jakby o niczym nie wiedział. Jakby nie po to mnie tu sprowadzili. Udzielałem rzeczowych i zgodnych z prawdą odpowiedzi, aby zrozumiał, że przejrzałem go, że zbyteczna jest ta cała błazenada. „Moje podanie zakwestionowała Komisja Kwalifikacyjna.” „Bez uzasadnienia?” - zagadnął, a ja już miałem na końcu języka: „Nie zgrywaj się, pajacu!” Odparłem pogodnie: „Było uzasadnienie. Na trzecim roku studiów rozkolportowałem wśród kolegów własnoręcznie zredagowaną i wykonaną ulotkę. Około pięćdziesięciu egzemplarzy. - Nie czekałem na pytanie, ciągnąłem bezczelnie dalej: - Dotyczyła ostatnich przeprowadzanych przez koła militarne doświadczeń z delfinami, które przysposabiano do przenoszenia broni jądrowej i niszczenia celów podwodnych. Podałem te eksperymenty surowej krytyce. Mało tego, jedną z ulotek przykleiłem na drzwiach gabinetu rektora. Omal nie wyleciałem z uczelni. Sentowi szczególnie nie podobała się wzmianka, że Tamci od wieków przestrzegają absolutnego zakazu połowu delfinów, i że budują specjalne oceanaria, by ratować...” Przecholowałem i zląkłem się. Johanann patrzył mi w oczy z zimną ironią. Dodałem bezwiednie, lekceważąc poprzednią wypowiedź: „Zwykle szczeniackie uniesienie.” I wówczas spostrzegłem, że się wyparłem samego siebie. Ale cofnąć się nie miałem odwagi. „To charakterystyczne dla młodego wieku - potwierdził pobłażliwie Johanann. - Jedni protestują przeciwko własnym urojeniom, inni jadą Tam w pogoni za iluzorycznym szczęściem.” „I zostają.” „O nie, drogi panie, to błędne presumpcje. Zna pan kogoś, kto został?” Potwierdziłem. Johanann wziął mnie w obroty: nazwiska, adresy, daty, miejsca spotkań, kontakty. Około południa, kiedy zmordowany bezustannym gadaniem, wypatrywałem końca przesłuchania, umundurowany przyniósł dzbanek kawy i dwie filiżanki. „A teraz, drogi przyjacielu - rzekł kordialnie Johanann podając mi cukier - proszę to wszystko, co pan tu opowiedział, streścić pisemnie.” Opadłem na oparcie. „Po co? - spytałem słabo. - Przecież nasza rozmowa została utrwalona w rejestrach. Ten pokój z pewnością nafaszerowany jest ukrytymi mikrofonami.” Johanann roześmiał się serdecznie. „Pan jest przewrażliwiony, Ben. Widział pan zbyt dużo filmów kryminalnych. Właśnie fakt, że proponuję panu pisemne złożenie zeznań świadczy o uczciwości moich zamiarów wobec pana. Liczę przy tym na pańską uczciwość. Chciałbym raz na zawsze skończyć z tą niewątpliwie przykrą sprawą i wykreślić ją z pańskiego konta.” Zabrzmiało to szczerze: Johanann był niezłym aktorem. Z gorliwą skrupulatnością układałem zdanie po zdaniu. Zapewniałem siebie, że to zwykła formalność. Kiedy pozostało do napisania kilka ostatnich wierszy, Johanann przerwał: „Na dzisiaj wystarczy. Odłóżmy to do... na przykład wtorku. Przyjdzie pan tutaj o 17. Odpowiada to panu?” A następnie powiedział coś, co przekonało

mnie o jego lojalności: „Proszę na razie nie podpisywać zeznań. Zrobi pan to przy okazji.” Przy bramie uściskał mi dłoń. Przyszło mi na myśl, że jest to sygnał dla kogoś, kto od tej pory będzie mi deptać po piętach. Nigdy na dobre nie pozbyłem się podejrzeń, że jestem pod stałą obserwacją. Nawet teraz, w sypialni, którą Roelants nazywał gabinetem i w której oprócz nas dwóch nie było nikogo.

- Więc pańska uczelnia uważa, że alumn wydziału embriologii znajdzie u mnie zajęcie?

Milczałem: pytanie było retoryczne. Cybernetyczna mucha pełzła po oknie i zbierała drobiny kurzu. Roelants spuścił nogi na podłogę i poprawił się w fotelu.

Powiedział rzeczowo:

- Słuchaj pan. W tamtym baraku są wolne pokoje. Wybierz se pan któryś przyległy do pracowni. I rób, co chcesz. Jak znajdziesz pan drugiego początkującego geniusza, w co wątpię, bo tu nikt nie usiedzi dłużej niż miesiąc, to zasuwaszcie razem. Ja wam przeszkadzać nie będę, ale wymagam tego samego od innych. Ponadto: żadnych rajdów po dziedzińcu.

- Tak jest, panie profesorze.

- I bez tytułów. To nie uczelnia!

Machnął niecierpliwie ręką. Zmęczyła go moja obecność, którą - postanowiłem to w tej właśnie chwili - nie będę mu się naprzykrzać. Wykonałem ostry zwrot na pięcie i otworzyłem drzwi. Nim przestąpiłem próg, do pokoju weszła kobieta. Zobaczyłem jej profil. Pachniała łagodną wodą kwiatową i lekarstwami. Otwierała usta do pierwszego słowa. Jak na zwolnionym filmie. Zwróciła ku mnie twarz: ujrzałem ją wpierw en trois-quarts, potem en face. Miała klasyczną urodę Egipcjanek, których podobizny pokrywały wyroby ceramiczne z okresu najwcześniejszej dynastii. Stała jak dumny posąg wydobyty z monumentalnej piramidy czy mastaby, posąg ożywiony światłem dziennym. Ale zarazem było w niej coś z kurtyzany. Wrażenie to potęgowała jej, może kokieteryjna, nieświadomość obu cech własnej niezwyklej aparycji. Pod spojrzeniem migdałowych oczu spuściłem wzrok (jakże mi się wydał kaprawy!). Dziewczyna odgadła, co czuję. I chyba sprawiło jej to radość.

Wyszedłem.

Wkroczyłem w przedział objęty punktem trzecim instrukcji podstawowej: „Zadania w punktach od 1) do 4) musisz wykonać zgodnie z wytycznymi: wykluczam zaistnienie jakiegokolwiek nieprzewidzianego zdarzenia.” Jak dotąd prognozy Johananna sprawdziły się szczególnie po szczególe. Punkt trzeci, przed którego realizacją nie wzdragałem się (w każdym razie nie bardziej niż przed podjęciem się tej „misji” - jak o niej mówił szef), zalecał dokładne rozpoznanie terenu.

Druga budowla „obiekту” miała symetryczny rozkład pomieszczeń. Z jednego, głównego wejścia wchodziło się wprost do holu biegnącego przez cały budynek między ślepa ścianą nośną a działową z szeregiem drzwi. Gumolit na podłodze wiernie odbijał światło padające z sufitu, w powietrzu zaś wisiała woń szpitala. Po obu końcach korytarza mieściły się pokoje typowo hotelowe zaopatrzone w kuchnię i łazienkę. Te bliżej środka posiadały dodatkowo pracownie, dwukrotnie większe od sypialni. Wyposażenie pracowni było takie samo: mikroskopy, komplety narzędzi, stoły wieloczynnościowe, palniki, wypełnione serwantki, naczynia, inkubatory.

Naciskałem klamki kolejnych drzwi, przygotowując w myślach wyjaśnienie na wypadek, gdybym wtargnął do zajętego pokoju. Otwierały się bezszelestnie, ukazując nie zamieszkałe wnętrza. Jedne stawiały opór. Obszedłem pozostałe i wróciłem. Zapukałem. Wewnątrz zaszurało i ucichło.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Nie przeszkadzam?

Powolne, miękkie kroki zbliżyły się do drzwi z tamtej strony.

- Curtinus? - padło pytanie zniekształcone falsetem, jak od długiego niemówienia.

Mężczyzna odchrząknął. - Co tam? Curtinus?

- Nazywam się Ben. Nowy.

Sporo czekałem na odpowiedź.

- Nowy. Aha, nowy. A o co chodzi?

Niezręcznie było mówić do drzwi.

- Rozglądam się za jakimś lokalem. Poza tym...

Głos wybuchnął histerycznie:

- U mnie? Nie ma nic wolnego? O ile wiem, wszystkie pokoje... oprócz, rzecz jasna, przylegających do mojego! Może pan wybrać, jaki pan chce! Oprócz tych dwóch i mojego. No, na co pan czeka? - jego oddech świszcział przy szparze. Mężczyzna nasłuchiwał. Spytał ciszej: - Jest pan tam jeszcze?

- Tak - szepnąłem zdetonowany. - Ale...

Przerwało mi nieludzkie jęczenie. Falset zza drzwi krzyknął, jakby pragnął je zagłuszyć:

- Niech pan już idzie! Niech pan w tej chwili idzie! Proszę odejść, och proszę. Precz, precz!

- Idę.

Stawiałem stopy mocno, ale on nie usłyszał, że odchodzę, bo krzyczał i lamentował dalej. Zaszyłem się w najodleglejszym pokoju z tych, które miały pracownię. Usiadłem, by

dać wytchnienie osłabłym nagle nogom.

Z ciężkim sercem rozpakowywałem walizy. Jak gdybym miał pozostać tutaj na zawsze, aby w charakterze pacholka Roelantsa do śmierci prześlęczyć w laboratorium.

Profesor zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie. Pozostawała nadzieja, że dotrzyma słowa i rzeczywiście nie będzie się wtrącać. Żałowałem przyjazdu nawet nie z powodu Roelantsa, typowego kacyka-naukowca, nie z powodu jego sugestii: „Tu nikt nie wytrzyma dłużej niż. miesiąc”, które w zestawieniu z rozhisteryzowanym typkim nabierały ponurego znaczenia, lecz ze względu na dziewczynę. Uświadomiła mi, że może istnieć coś nieosiągalnego, na co mogę ledwie popatrzeć, a i to nie z bliska, bo swoją bliskością mógłbym ją sprofanować.

Do spraw z kobietami nigdy nie przywiązywałem większej wagi: byliśmy sobie nawzajem potrzebni, tak jak potrzebny jest człowiekowi pokarm albo i mniej. Po prawdzie i z tą dziewczyną było podobnie, ale jakby inaczej. Bo każdą z tamtych łatwo zastępowała inna, tej zaś bym wolał żadną nie zastępować. Nie, to nie tak. Zresztą nie wiem. Wiedziałem natomiast, że wszystkiemu winien był Johanann.

Ten swój charyzmat szef podkreślał na każdym kroku. Dawał odczuć, że przysługują mu wyjątkowe przywileje. Zachowywał się jak wszechwiedzący. Dlatego po pierwszym przesłuchaniu, leżąc w pokoju zaciemnionym żaluzjami, ze strachem pojąłem, jak ryzykowne było zatajenie przed nim niektórych faktów. Choćby albo przede wszystkim mojej przynależności do Grupy. Za mniejsze przewinienia robiono z ludzi bezwolne i ponad wszelką miarę posłuszne maszyny.

Do wtorku liczyłem godziny. Niepokoilem się coraz bardziej, bo faceci z USS z pewnością nie zasypiali gruszek w popiele. Węszyli, jak to oni, i lada dzień mogli się zjawić z nakazem aresztowania. Kiedy znalazłem się przed biurkiem, wypaliłem: „Grupa istnieje i działa nadal, chociaż mniej aktywnie!” Johanann przymknął rude powieki niemal z lubością. I znów sakramentalne pytania: „Nazwiska, adresy, miejsca spotkań, daty, kontakty?”

Starłem się być dokładny. „A teraz proszę to i wszystko streścić pisemnie” - rzekł przyjacielsko. Ośmielony, pozwoliłem sobie na żart: „Nie lepiej było włączyć rejestrator?” Spojrzał z zaciekawieniem. „Dobry pomysł - oświadczył. - Ale na razie niech pan pisze.” I tym razem nie dał mi dokończyć. „Uzupełni pań za trzy dni, zgoda? - zaproponował. - Jest dosyć późno, zapewne naglą pana obowiązki. I tak dużo pan nam pomógł. Postaramy się Zrewanżować.” „Miłe to z waszej strony - bąknąłem. - Przyjdę.” A tak chciałem mieć wszystko za sobą!

Wydobyłem z sakwojazu radiostację. Punkt czwarty instrukcji podstawowej:

Nawiązać łączność radiową, przesłać meldunek.

Nacisnąłem guzik nadawczy. W chwilę później wewnątrz sąsiedniego budynku odezwał się buczek. Odruchowo cofnąłem palec i podszedłem do okna. Buczek zamilkł. Opustoszały plac jaśniał w słońcu. Nie działo się nic. Poglądziłem w zadumie trzymany w dłoni aparat. Uderzyła mnie pewna zbieżność. Sygnał fali nośnej wysłany w eter przejęli ludzie Johananna. Ale - zacząłem przypuszczać - przejęło go też inne urządzenie. Urządzenie, które uruchomiło buczek. Powiodłem wyrokiem wzdłuż przeciwległego dachu. Antena. Antena radiogoniometru. Roelants nie był głupcem, a Johanann tego nie przewidział.

Początkowo zamierzałem zrezygnować z nawiązania łączności: istnienie aparatury pelengacyjnej na terenie ośrodka było wystarczającym usprawiedliwieniem. Z drugiej jednak strony przebiegłość Roelantsa zrodziła we mnie chęć rywalizacji. Nie leżało w mojej naturze składanie broni bez walki.

Ponadto, dopóki nie miałem całkowitej pewności, musiałem trzymać się instrukcji.

Wyłącznie teraz należało przeprowadzić próbę: Roelants chyba nie dotarł jeszcze do radiogoniometru, a następujące po sobie urywane działania buczka łatwiej było złożyć na karb chwilowej niedyspozycji urządzenia.

Dotknąłem guzika nadawczego. Pociśnąłem krótko. Nic. Jeszcze raz nieco dłużej. Z dwusekundowym opóźnieniem rozległo się buczenie. Zamilkło po upływie pół sekundy od momentu zwolnienia przycisku. Normalne, zważywszy odległość. Prosty rachunek wskazywał, że bezwładność pelengatora wynosi 1500 milisekund. Półtorej sekundy na nadanie meldunku!

Ludzie Johananna zaczynają prawdopodobnie podejrzewać, że stroję żarty. Przełączyłem radiostację na odbiór. Cisza.

Półtorasekundowy przedział nie dawał mi spokoju. Dawniej, gdy używano alfabetu Morse'a, był to okres wystarczający do nadania meldunku, przy zachowaniu odpowiednich przerw między impulsami, aby wzbudzony, na przykład po trwającej sekundę „kresce”, czujnik radionamiernika powrócił do fazy początkowej. Lecz nie znałem tego alfabetu. Wątpię też, czy znali go technicy szefa.

Bezmyślnie gapiłem się na stolik w kącie, gdzie obok staroświeckiego komputera zainstalowano ręczny perforator. Poszczególne kombinacje kodowe składały się z pięciu dziurek na taśmie papierowej. Moja radiostacja posiadała pięć zakresów. Zrazu nie dostrzegłem w tym niczego poza przypadkiem... Ale nie na darmo ojciec wpoił mi zamiłowanie do radiotechniki.

Na klawiaturze dziurkarki wystukałem wiadomość: PIERWSZA CZĘŚĆ AKCJI

WYKONANA. INNY KONTAKT WYKLUCZONY. Oderwałem taśmę i - wsunąłem ją do szczeliny czytnika wyposażonego w pięć zębów wyróżniających, zaopatrzonych w zestyki. Ich sprężyny przełączały się, kiedy ząb trafił na otwór w taśmie. Następnie, po rozmontowaniu radiostacji, połączyłem generator wzbudzający z zestykami czytnika w taki sposób, żeby impuls z owego generatora szedł w eter, gdy tylko ząb wyróżniający napotka otwór. Pracując jednocześnie na wszystkich pięciu zakresach, mogłem nadawać kombinacje sygnałów, z których każdy trwał 20 milisekund i tyleż trwało nadanie pełnej kombinacji składającej się na jeden znak. Czujniki radiogoniometryczne były w tym wypadku bezradne. Równie bezradni mogli okazać się deszyfranci Johananna, ale to ich zmartwienie. I tak zrobiłem więcej, niż do mnie należało.

Najpierw kolejno uruchomiłem na krótko zakres po zakresie: niech się przygotują. Szansę na zrozumienie upatrywałem w tym, że całość nasłuchu była rejestrowana. Spece Johananna będą mieli nad czym łamać głowę.

Obserwowałem, jak taśma ginie w czeluści czytnika. Potem przełączyłem radiostację na odbiór. Rad bym zobaczyć miny dyżurnych techników.

Po paru minutach zaszemrało w głośniku:

- W porządku. Odebrałem toto.

*

Regulowałem sprężystość materaca, kiedy zadzwonił wideofon. Z ekranu spoglądała na mnie twarz ożywionego posagu, oświetlona w trzech czwartych, z makijażem na wzór staroegipski.

Oślabłem. Również na umyśle.

Zakomunikowała matowym głosem:

- Dzwoniłam pod różne numery. Urządza się pan?

- Właśnie przed chwileczką...

- Da pan sobie radę? Tam są pawlacze. Prawie ich nie widać.

Rzuciłem okiem na ściany. Zdeprymowany, bo żadna błyskotliwa ani przynajmniej rozsądna odpowiedź nie przychodziła mi na myśl.

- Dam - wypaliłem, gotów zakończyć rozmowę. Jak bałwan.

Patrzyła z urazą typu: „Nie nalegam”.

- Zapomniałem się przedstawić - pośpieszyłem. - Ben.

- Nazywają mnie Joyful albo Joyous. Znajomi mówią mi Joy.

- A ja... czy zaliczam się do pani znajomych?

Dziewczyna wyrozumiale nie zwróciła uwagi na idiotyczny sens pytania. Powiedziała

coś w rodzaju: - Jesteśmy znajomymi, od kiedy przyjechałeś. - Z trudem łapałem treść jej słów.

- Niebawem obiad. Jeżeli masz ochotę, spotkamy się za pół godziny w kasynie. Mieści się w podziemiach. Korytarzem do końca i windą w dół.

Przerwała połączenie, a ja ciągle widziałem jej twarz, nie bez wyrafinowanej zalotności zwróconą do światła pod najkorzystniejszym kątem. Fakt, że pragnęła zaprezentować się dodatkowo, był dobrym znakiem, o ile nie tworem mojej wyobraźni.

Miałem jeszcze dwadzieścia pięć minut. Sprawdziłem w lustrze wygląd zewnętrzny. Nie zachwyił mnie, dlatego zająłem się układaniem planu rozmowy. Uprzejmej i graniczącej z flirtem, ale pozbawionej przejawów minoderii. Perspektywa dłuższego pobytu na placówce wydała mi się mniej przerażająca.

Miauknął gong wezwania. Uruchomiłem odbiornik radiostacji. Poznałem głos Johananna.

- Znakomicie, Ben - rzekł. - Znakomicie. I życzę powodzenia.

Wyłączył się szybko, jak gdyby sądził, że czujnik, ogniskujący pole ganiometryczne w obrębie ośrodka, podniesie larum po przechwyceniu jego sygnału.

Wróciłem do wideofonu. Z nudów przejrzałem spis numerów. W pokoju, który zajmował histeryk, zainstalowano aparat z numerem 43. Wdusiłem stosowne klawisze. Sygnał wołania zamilkł po minucie. Trzasnęło.

- Deckiel.

W słuchawce rzeźił niezdrowy oddech. Ekran pozostał ciemny: dysektor tamtego wideofonu był wyłączony.

- Ben, ten nowy. Chciałem pogadać, poznać ludzi.

Deckiel przypuszczalnie kontemplował moje oblicze. Chyba nie przypadło mu do gustu.

- Proszę pana, ja nie mam czasu...

Dźwięk podobny i do krakania, i do skomlenia zagłuszył resztę. Deckiel zaklął, łomotnął mikrotelefon rzucony obok aparatu. Przez kilkanaście sekund odległy rumor przeplatał się z jękiem i charkotem, potem ucichł, Deckiel zaś podjął słuchawkę i ryknął mi w samo ucho:

- Niech pan więcej nie dzwoni, słyszy pan, niech pan nie dzwoni!

Trzask i cisza.

*

Joy nie przyszła. Siedziałem w pustym kasynie nad wystygłym obiadem z autobaru,

jakich do licha na każdej ulicy. Czekałem trzy kwadranse z narastającym przekonaniem, że zwyczajnie zrobiła ze mnie balona. Miałem odejść, gdy wtoczył się rozśpiewany trzydziestoparolatek. Stanął na progu i wybałuszył oczy. Ciemne, rozczochrane włosy zakrywały mu czoło i uszy. Smagła cera mocno kontrastowała z bielą rozchelstanej, mokrej pod pachami koszuli.

- Sza! - krzyknął, kładąc palec na ustach. - Najściślejsza tajemnica!

Ze śpiewem ruszył do autobaru. Długo celował w rzędy klawiszy, nim wybrał. Na drugi zamierzył się pięścią. Walił weń ignorując czerwony wskaźnik przeciążenia.

Był to najdziwniejszy zestaw potraw, jaki widziałem: gorąca parówka, a na osobnym talerzu kopiasty stożek musztardy.

Mężczyzna balansował nad sąsiednim stolikiem. Przenosił wzrok z talerza na talerz, jak gdyby porównywał proporcje,

- Oszczędność, cholera.

Usiadł, umieścił parówkę w musztardzie, zamieszał. Pochłonął porcję niczym głodomór. Otarł wargi.

Zagadnął:

- I co? - zajął mi w twarz. - Nowy nabytek, he? - zachichotał. Dźgnął palcem własną pierś. - Cortinus, czyli geniusz propedeutyki mikrobiologii ogólnej. A faktycznie fizyk.

- Ben, embriolog.

- Sza! Tajemnica. Gość od zapłodnień. To stary myśli...

- Przyjechałem odbyć praktykę.

- Jasne! Dasz radę? Bo one nie chcą się rozmnażać, ha, hi! - dźwignął się, skinął na mnie: - Idziesz?

Wstałem z ociąganiem. Do pijanych zawsze odnosiłem się z rezerwą.

- Rozbijemy na atomy cholere.

Szliśmy korytarzem. Przed drzwiami Deckiela Cortinus zatrzymał się. Wymierzył w nie kopniaka.

- Te, wariat! - zawołał. - Żyjesz? - Nie czekając na odpowiedź mruknął: - To wariat.

Przemierzyliśmy rozpalony dziedziniec. Spod naszych stóp leniwie wznosiły się obłoczki kurzu. Cortinus maszerował przodem, szeroko stawiał nogi i mamrotał coś do siebie. Rozważałem, czy nie zawrócić, ale chwycił mnie za łokieć i wciągnął do budynku.

Nie bez obaw minąłem drzwi gabinetu profesora. Skręciliśmy do pokoju mniej więcej pośrodku korytarza. Przez sekundę miałem nadzieję, że spotkam Joy. Cortinus przesadnym gestem zaprosił mnie do pracowni.

Było w niej wyjątkowo zimno. Dwie trzecie miejsca zajmowała aparatura z grubsza przypominająca kocioł parowy. Wybiegające z niej grube, stalowe chyba przewody niknęły w podłodze. Pokrywała je iskrząca, srebrzysta pleśń. Głęboką ciszę mąciło najdelikatniejsze syczenie rur i pełne zadowolenia posapywanie Cortinusa.

- Co? Do diabła z embriologią!

Zbliżyłem dłoń do masywnego korpusu.

- Ostrożnie - ostrzegł Cortinus i zachichotał.

- Temperatura poniżej stu stopni. Radzę uwierzyć na słowo.

Cofnąłem rękę. Pleśń na przewodach była szronem. Jeszcze grubsza jego warstwa zdobiła owale wklęsnięć rozmieszczonych z czterech stron kotła, otoczonych łbami nitów.

- Parę tysięcy atmosfer - kontynuował Cortinus, spozierając na mnie z niezrozumiałym szyderstwem. - To prawdziwa bomba mrozu. Chcesz popatrzeć?

Podniósł z podłogi metalową puszkę. Rozpylił aerozol na jedno z wklęsnięć. Szron popękał i spłynął, obnażając lśniąca powierzchnię szkła.

- No...

Pochyliłem się do przodu. Chłód owiał mi twarz, wzdrygnąłem się. Wewnątrz kotła w wilgotnej niecce spoczywał całkowicie ukształtowany embrion ludziki. Pofałdowane ciało o barwie siniofioletowej było zwinięte jak w łonie matki. Organy wewnętrzne rysowały się pod delikatną skórą granatowymi konturami.

- Dobra robota, co? - spytał Cortinus. Wykrzywił twarz. - Z dwudziestu płyt, zlepione specjalną żywicą. Odporniejsze niż pancierz batyskafu.

Zbierałem rozbiegane myśli.

- O czym...

- Szkło. A resztą też można opakować wagon trotylu. - Spod uniesionej wargi błysnął poźółkłymi zębami. Wycedził: - I po cholere mi tutaj embriolog?!

W przyległym pokoju zadudniły kroki. W drzwiach stanął Roelants.

- Cortinus!

Cortinus powoli odwrócił głowę. Nie spieszył się.

- Wtajemniczam nowego adepta w arkana...

Roelants spurpurowiał.

- Kto ci pozwolił?!

- To po diabła go tu ściągnąłeś?! - od wrzasnął Cortinus.

Mierzyli się nienawistnie, jakby lada chwila mieli skoczyć sobie do oczu. Przytuliłem się do ściany. Z tego miejsca zwinięty zarodek wyglądał jak źrenica w ślepiu kota. Roelants

ochłonał.

- Wyjdź pan stąd.

Zrobił mi przejście. Klusem opuściłem pracownię, pokój, korytarz, budynek.

*

Natychmiast zorientowałem się, że ktoś był tutaj podczas mojej nieobecności. I wcale nie usiłowałem zatrzeć śladów wizyty. Przede wszystkim zajrzałem do przegródki w walizce, gdzie ukryłem radiostację. Tkwiła tak, jak ją zostawiłem. Potem na podstawie bałaganu spróbowałem ustalić, co najbardziej interesowało mego gościa. Nie wybredzał. Zostawił jednakowy nieład w pracowni i sypialni, jak gdyby kierował się złośliwością.

Nie wiem czemu, pomyślałem o Deckielu.

Zapukałem do jego pokoju. Szuranie za drzwiami ustało.

- To na nic - usłyszałem chrapliwy falset Deckiela. - Choćbyś przestał tam milion lat.

Ta metoda jest wyłącznie moja - z wolna podnosił głos - wyłącznie - moja, rozumiesz? I nic ci do niej!

- Deckiel - powiedziałem zły. - Ktoś grzebał w moim pokoju!

Oddech przycichł.

- A, to pan, panie... Ktoś grzebał... A cóż mnie to obchodzi?

- Może pan widział?...

- Nie widziałem, nic nie widziałem! Ja w ogóle nie ruszam się z pokoju. I proszę dać mi spokój!

Muszę się z panem zobaczyć, panie Deckiel. Dowiedziałem się o podejrzanych zamiarach Cortinusa - blefowałem. - Planuje wtargnąć do pańskiej pracowni.

- Proszę bardzo - odrzekł wyzywająco. - Krok za progiem czeka go niespodzianka. -

Po przerwie jednak dodał: - Skąd pan go zna?

- Poznaliśmy się dziś w południe.

- Racja. Pan przecież nowy. A co mówił?

- Bzdury. No, nie nalegam...

- Zaraz! Chwileczkę.

Zaszurał czymś ciężkim, przesuwającym po podłodze. Zgrzytnął zamek. Wprzód wychyłała głowa. Deckiel był blondynem o prostych, gładko zaczesanych na bok włosach. Zza silnych szkieł patrzyły bładoniebieskie, nieufne oczy. Rozejrzał się.

- Sam pan jest?

Przytaknąłem. Przez szczelinę w drzwiach widziałem wysoki, przenośny parawan zasłaniający wnętrze. Deckiel postawił go chyba teraz. I nagle, jakby dla zaspokojenia mej

ciekawości, donośny łopot poruszył napiętym płótnem parawanu. Deckiel szarpnął się do tyłu, lecz nim zdążył zatrzasnąć drzwi, pod sufit wzbił się stwór, który - jeśli wierzyć zmysłom - miał skrzydła sępa, natomiast tułów i łeb - psa.

*

Machinalnie podniosłem słuchawkę. Uśmiechnięte, lekko zażenowane oblicze Joy nie sprawiło mi radości.

- Czy coś się stało? - spytała.

- Nic ważnego.

Ciągle nie mogłem się opanować. Johanann słusznie przewidywał, że będę mieć do czynienia z monstrami, i byłem na to przygotowany, wszelako ujrzeć coś takiego... Przy tym ten pies opuszczał łeb, jak autentyczny sęp wypatrujący padliny, a sądząc po odgłosach, w wylęgarni Deckiela znajdowała się cała menażeria podobnych okazów.

- Przepraszam. Roelants dał mi pilną robotę.

Tłumaczyła się przede mną i to było wspaniałe. Zapewniłem ją prędko, że ani mi w głowie pretensje czy urazy, albo jakoś podobnie, i skwapliwie przystałem na propozycję wspólnej kolacji.

- Przyjdę po ciebie - oświadczyła.

Dla zabicia czasu doprowadziłem do ładu sypialnię i pracownię, porozwieszałem rzeczy w szafach. Potem wziąłem kąpiel. Pod na przemian zimnym i gorącym prysznicem odzyskałem równowagę, choć wyobrażenie latającego straszdyła prześladowało mnie nadal. O skurczonym embrionie, który - mimo że kołatało w nim serce - przypominał posiniałego z zimna trupka, wolałem nie myśleć. Zbyt wstrząsający był to obraz. Ale w raporcie nie pomnę niczego.

*

Leżałem z oczami utkwionymi w suficie. Znowu narastał we mnie żal do Johananna. Joy okazała się dziewczyną pustą i bez ambicji. Śmiała się wulgarnie i głośno, jej głos wcale nie był matowy, lecz zduszony, jak gdyby wydobywał się z przegród nosowych, a urodę Egipcjanki zawdzięczała makijażowi. Głowę miała nabitą głupstwami typowymi dla kobiet i dzieliła się ze mną tą masą głupstw. Paplała bez przerwy, wdzięczyła się z nachalną kokieterią. Początkowo patrzyłem na nią zdumiony, potem przyszło rozczarowanie, gorycz i rozdrażnienie, aż wreszcie ogarnęła mnie chęć, żeby chwycić ten swój niezastąpiony ideał za gardło, zawlec do kąta i udusić. To nie była Joyful ani Joyous, lecz Joyless.

A już mi się wydawało, że ze współpracy z Johanannem odniosę jakąś korzyść. Bo Johanann nie tylko groził, również obiecywał. „Z czego się pan właściwie utrzymuje?” -

spytał kiedyś. „Z wypadków.” „Jak mam to rozumieć?” „Dosłownie. Lekarze tuczą się ludzkim bólem, chorobą i cierpieniem, lecz są pożyteczni, jak pożyteczne są bakteriofagi. Czym więcej cierpień i chorób, tym wyższa stopa życiowa lekarzy. Ale dotyczy to tych zrzeszonych w Związku. Mnie pozostają nagle wypadki wymagające natychmiastowej pomocy.” Pokiwał głową ze zrozumieniem. „Wobec powyższego - rzekł - biorąc pod uwagę pańską dotychczasową postawę i zaangażowanie w kluczowe problemy naszego kraju, mogę pana zapewnić, że podanie z prośbą o przyjęcie, które w tych dniach pan złoży, zostanie przez Związek zaakceptowane. A tak na marginesie - dodał zaraz, tłumiąc swoją radość - jakie tematy aktualnie walczy się w Grupie?” „W zasadzie analizujemy jeden temat, mianowicie sens rozpętania na Antarktydzie wojny domowej.” „To nie jest wojna domowa - wybuchnął. - Antarktydę traktujemy jako poligon doświadczalny, a po obu stronach walczą nasi żołnierze!” „Grupę interesuje właśnie cel tej walki.” Drogi panie - powiedział Johanann, raptem serdeczny. - Nasi chłopcy walczą choćby po to, żeby wam, lekarzom, żyło się lepiej. Jak by wyglądały wasze portfele, gdyby zabrakło tych chorych i cierpiących? Nie przeraża pana taka wizja?” „Nie. Wolałbym, żeby jedyną dolegliwością trapiącą ludzkość był łupież.” „Dlaczego?” „To proste - stwierdziłem, ale nie stać mnie było na wyjaśnienia, Johanann zaś nie pytał dalej, aby nie wyjść na faceta, który nie pojmuje elementarnych rzeczy. - Musiałem to z siebie wyrzucić” - rzekłem. „Wiem. I jestem panu za to wdzięczny. Okazał pan szczerość - cechę jakże rzadką.” „Ludzie sarkają” - podjąłem z mściwym pragnieniem, by mu ta moja szczerość wylazła bokiem. Wstał z pewnym zniecierpliwieniem. Ben, mamy do siebie zaufanie. Od dzisiaj będziemy spotykać się na neutralnym gruncie i nie tak często. Tu masz adres punktu kontaktowego i numer mojego telefonu. W razie czego dzwoń. Ja także od czasu do czasu pozwolę sobie zaprosić cię na małą pogawędkę. Zgoda?” Jeszcze w uszach brzmiała mi jego obietnica. „Zgoda... szefie” - wykrztusiłem.

Po miesiącu przyjęto mnie do Związku. Tydzień wcześniej uratowałem życie prezesowi, który wpadł pod samochód w pobliżu mego domu. Toteż trudno jednoznacznie określić, ile winienem być wdzięczny Johanannowi, a ile przypadkowemu zdarzeniu. Dziwny przy tym wydaje się fakt, że w ciągu półrocznej przynależności Związek przydzielił mi zaledwie sześciu pacjentów, co w porównaniu ze średnią stanowiło jej jedną dziesiątą. Jakby ktoś specjalnie troszczył się o to.

*

Noc była duszna i upalna. Obudziłem się z bólem głowy. Lustro jeszcze nie zaszło, a wschodzące słońce nasyciło dzień nowym, świeżym blaskiem, od którego łzawiły oczy.

Przed śniadaniem nadałem meldunek. Tym razem odpowiedź nadeszła szybko:

odczytanie informacji według znanego klucza nie sprawiło deszyfrantom kłopotu. Johann (aż szokujące, że o tej porze był na nogach) oświadczył z uprzejmym podziwem:

- Znakomicie, Ben. Znakomicie. Warto sporządzić materiał dowodowy. Mam na myśli sfotografowanie obiektu i wyposażenia. Zgoda? - zawahał się. Zakończył tonem, jakby ostrzegał: - Ostatecznie nie masz nic do stracenia...

Widocznie fałszywie oceniał sytuację albo znów posuwał się do groźby. Powiedział to tak, jak gdybym nie miał odwrotu. Dał tym świadectwo, że oszacował moją bystrość wyżej, niż na to zasługiwała, że sądzi, iż zrozumiałem coś, co może - jeśli nie wywrze się na mnie nacisku - mieć fatalny wpływ na dalsze moje postępowanie i pokrzyżować mu plany. Czyżby miał na myśli ową złowróżbną kartkę znalezioną w samochodzie? Ależ ona właśnie powinna zdopingować mnie do ścisłej współpracy i bezwzględnego posłuszeństwa pracownikom Służby Specjalnej, gdyż tylko oni mogli mi teraz zagwarantować bezpieczeństwo. Chyba, że podrzucili ją ludzie Johanna, by ostatecznie skłócić mnie z Grupą.

Chowałem radiostację, kiedy ponownie odezwał się szef:

- Doszły nas słuchy, Ben, że na terenie placówki działa obcy wywiad. Sprawdź przy okazji tę informację.

W kasynie zastałem Cortinusa. Dziobał widelcem zawartość talerza. Na mój widok łypnął przekrwionymi oczami i uśmiechnął się blade.

- Jak samopoczucie? - spytałem zgryźliwie.

Usiadłem obok z paczką tostów, masłem i mocną kawą. Byliśmy sami.

- Przepraszam za wczorajsze - bąknął. - Dokładnie nie pamiętam co i jak, ale z autopsji wiem, że wtedy bywam dość agresywny.

- Jeżelibym miał do kogoś pretensję, to jedynie do Roelantsa. Wyskoczył z gębą...

- Stary? On już taki jest. Nieokrzesaniec. Siedzi tu od lat, najchętniej zadaje się z kierowcami... Dawno postradał dobre maniere. Znamy się trochę.

- Do diabła z manierami. Ważna jest wiedza. Osiągnięcia.

- Mhm.

- A jemu chyba nie można odmówić osiągnięć?

- Coś tam dłubie.

- Ten embrion w zamrażalniku...

Oczy Cortinusa rozszerzyły się i przylgnęły do mojej twarzy.

- Wiesz??

- Zaprowadziłeś mnie.

Patrzył z niedowierzaniem. Pocierał wilgotne czoło.

- Rany... A stary?
- Przyłapał nas. Był wściekły.
- No jasne. Ładna historia!
- I cuchnąca.

Spojrzał podejrzliwie. Zbierał się do odejścia, ale bez przekonania. Nie czuł się w porządku.

- Nielegalne eksperymenty - podjąłem. - Graniczące ze zbrodnią...
- O czym ty pleciesz? - przez chwilę miał minę człowieka, który domyśla się, że jest obiektem żartów, ale nie wie jeszcze, czy obraźliwych.
- O legalności decyduje prawo, a prawo nie wypowiedziało się jak dotąd na temat tego kierunku badań.

- Niemniej...

Cortinus odzyskał równowagę.

- Wątpię też, żeby tego rodzaju eksperymenty zostały kiedykolwiek zabronione. Przynajmniej w naszym kraju - dodał jak gdyby z sarkazmem.

Ciągnął dalej, ściszym głosem, przysięgłbym, że z goryczą. Może udaną, by na wszelki wypadek wybielić się, może rzeczywiście coś go gryzło.

- Nie obchodzi mnie cel tych badań i ich ewentualne wykorzystanie. Zresztą i tak moja robota ogranicza się do czuwania nad procesami fizycznymi. Nad całością pracuje Roelants, a wierz mi, że nie jest to facet wylewny.

- Coś niecoś jednak...

- Owszem, coś niecoś. Ale nie są to żadne rewelacje. Już w XX wieku przeprowadzano sztuczne syntezy białek. O ile pamiętam zapoczątkowało je urządzenie wynalezione przez Parę Edmana. Ten automat ustalał sekwencje aminokwasów w białkach dosyć prymitywnie, bo odrywał z łańcuchów białkowych kolejno każdy aminokwas. Potem „protein sequenator” zamieniono - dzięki zastosowaniu kilku nowinek technicznych - na aparaturę syntetyzującą. I zaczęło się. Głównie z komórkami rozrodczymi. Roelants robi to samo, też sztucznie zsyntetyzował gamety, tyle że... z drobnymi innowacjami. Bo zarówno w komórkach żeńskich jak i męskich zastąpił wszystkie grupy OH w łańcuchach węglowych grupami NH₂, a grupy C=O grupami C=NH. Następnie doprowadził do syngamii.

- Więc ten embrion...

- To produkt finalny, że się tak wyrażę.

- Ale ciśnienie, temperatura?

Cortinus wzruszył ramionami jak nad czymś normalnym.

- Naturalne środowisko dla życia amoniakalnego. Związki oparte na węglu i azocie mogą dowolnie polimeryzować, a struktury powstałe na skutek tej polimeryzacji w niczym nie odbiegają od struktur białkowych. To znaczy pozornie w niczym.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ono... samo się tam rozwinęło?

- Niezupełnie samo. Roelants czymś je futruje, może saletrą amonową, cholera go wie. Jedno jest pewne: organizm oddycha azotem i żywi się polimerową papką węglowo-azotową rozcieńczoną amoniakiem, a ja muszę baczyć na ciśnienie i temperaturę.

Coś mnie tknęło. Wyrąbałem bez namysłu:

- Wczoraj nadmieniałeś, że one nie chcą się rozmnażać. Co to miało oznaczać?

Zakłopotał się na krótką chwilę. Jak gdyby uprzytomnił sobie nagle, że dał się pociągnąć za język. Zmarszczył brwi i rzucił mi kose spojrzenie.

- Nie pamiętam - oświadczył wstając. - Wczoraj mówiłem same bzdury. Zwykle tak bywa, kiedy nadużyję... własnego zaufania.

Mruknął przepaszająco i zniknął za drzwiami. Byłem - przekonany, że treść rozmowy i zachowanie, łącznie z opamiętaniem w końcowej fazie, ukantował z góry i że podzielił się ze mną mikroskopijną częścią tego, co było mu wiadome. Ale dlaczego i po co? I czyżby celowo pozostawił mnie w niepewności?

*

Siedziałem tyłem do wejścia i dlatego nie zauważyłem, jak weszła Joy. Postawiła tacę na moim stoliku, - usiadła, skinieniem głowy życząc mi smacznego. Znowu była pełna dystynkcji. Nie rozpoczynałem rozmowy, bojąc się, że czar pryśnie, gdy tylko dziewczyna otworzy usta.

Zaczęła pierwsza:

- Nudzisz się.

- Owszem - odpowiedziałem. - Przyjechałem tutaj z myślą, że czegoś się nauczę.

- Rozumiem cię. Doświadczyłam tego na własnej skórze.

Głos miała ciepły i aksamitny.

- Przecież współpracujesz z nim - zdziwiłem się.

- Roelants ledwie mnie toleruje. Gdyby nie to, że jestem córką jego kolegi...

Jej makijaż nie wydawał się tak krzykliwy jak wczoraj. W ogóle trudno było mówić o makijażu: delikatne muśnięcia kredką wokół oczu podkreślały tylko jej naturalną urodę.

- Moi rodzice nie żyją, a ja urodziłam się i wychowałam tu, w zakładzie. Tutaj razem z asystentami mego ojca budowałam zamki z piasku. Do szkoły chodziłam milę stąd, tam gdzie teraz jest poligon raketowy. Czasem dobiegają stamtąd takie detonacje, że szyby nie

wytrzymują - wstrząsnęła się. - Straszne sąsiedztwo.

Przestałem jeść. Patrzyłem na nią i wdychałem jej zapach.

- Studia przerwałam po śmierci ojca. Początkowo Roelants pozwalał mi asystować. Później, w miarę jak zdobywałam wiedzę, coraz rzadziej korzystał z mojej pomocy, aż któregoś dnia przegonił mnie po prostu ze swojej pracowni. Zresztą nigdy nie miałam okazji poznać pełnego zakresu jego badań. Kiedy przyjechały tu buldożery i zastępy maszyn, umieścił mnie w internacie: chodziłam wtedy do liceum. Po powrocie nie zastałam żadnych zmian, a przecież przez pół roku można wybudować osiedle.

- I całą młodość przesiedziałaś... Co ja wygaduję, wszak jesteś młoda!

- Dawniej spędzałam weekendy w mieście. Lubię przyglądać się ludziom, gdy świętują koniec tygodnia. Zbierają się na placach zabaw...

Mówiła dalej. Patrzyłem w lśniące, migdałowe oczy i czułem ich pieśczętę.

Coś ścisnęło mi gardło.

Joy. Najwrażliwsza i najpiękniejsza dziewczyna, jaką spotkałem, wychowana na odludziu, wczorajszego wieczoru starała się pozyskać moją sympatię środkami, które podpatrzyła u dziewczuch brylujących na sobotnio-niedzielnym jarmarkach. Obiecałem sobie, że zabiorę ją stąd, gdy tylko Johanann uzna, że mogę wracać.

Raptowne podejrzenie zmało mi umysł: Joy jest agentką obcego wywiadu.

Natychmiast jednak odrzuciłem tę nedorzeczną myśl.

*

Żar lał się z nieba.

Czekałem na nadejście cienia: był to najwłaściwszy moment, aby niepostrzeżenie przekraść się do sąsiedniego budynku. Lustro, które odbijało promienie słoneczne, zawieszono nad Ziemią pod takim kątem, że zawsze oświetlało zaciemnioną półkulę, zostawiając na zachodzie sygnalizujący koniec dnia pas terminatora, którego wielkość zależała od szerokości geograficznej.

Miałem powody, żeby zachować ostrożność: Zaraz po obiedzie udałem się do Cortinusa. Ciągłe dręczyły mnie pewne niejasności. W pracowni nie było go. Poszedłem uśpionym korytarzem nieco dalej i otworzyłem następne drzwi. Także nikogo. Chociaż nie, był tam ktoś, były tam nawet dwie osoby, jeśli ta druga zasługiwała na takie miano. Co do pierwszej nie miałem wątpliwości. Deckiel - komu i w jaki sposób udało się go tu sprowadzić? - leżał nagi na pulpicie manipulacyjnym, a dziesiątki tysięcy mikroskopijnych elektrod pokrywało sterczącymi grotami jego ciało jak igły jeża. Włosowate przewody wybiegające z zakończeń elektrod łączyły się w pary, czwórki, sploty, by wreszcie wspólnym

warkoczem, grubym niczym udo dorosłego człowieka, wypełnić do sięgającego stropu autoklawu o ścianach niemalże przezroczystych. Masywność narożnych okuć tego ciśnieniowego kotła świadczyła dobitnie o panujących wewnątrz warunkach. Do połowy wypełniała go opalizująca to niebieskawo, to beżowo, organiczna breja poruszana skomplikowaną perystaltyką przez zanurzone w niej przetworniki syntetyzatorów. Autoklaw połączony był ze ścianą tunelem, przez który można by przejść na czworakach, a który służył zapewne do usuwania z kotła tego, co w nim zostało zsyntetyzowane. Bo że służył do syntezy - nie miałem złudzeń. Na moich oczach wśród pęcherzy bagnistej zawartości formował się właśnie kształt przypominający ludzką istotę. W niemalże idealnej ciszy zakłócanej najdelikatniejszym buczeniem podzespołów wznoszącego się opodal komputera, z organicznej masy wyłaniały się kończyny, tułów, głowa. Ryt po rycie ukazywała mi się twarz powstającego człowieka. Wstrzymałem oddech. Tak, z całą pewnością byłem świadkiem narodzin doskonałej kopii leżącego tuż przy mnie Deckiela.

Niezwłocznie poinformowałem o wszystkim Johananna. Przekazałem mu również, że w pracowni znajdował się bliźniaczy agregat, jakby przygotowany do drugiej transformacji organicznej - tak nazwałem zaobserwowany proces.

Wbrew przewidywaniom szef nie przyjął tego z zadowoleniem, rzekłbym wręcz, że czegoś się jak gdyby przeraził. Zapomniał nawet zapytać, czy sfilmowałem wspomniany proces. Powtórzył tylko ostrzeżenie sprzed paru godzin: „Ostatecznie nie masz nic do stracenia”. To mnie utwierdziło w przekonaniu, iż sądzi, że odkryłem coś, co usiłował przede mną zataić.

Nie zwracałem sobie tym głowy. Postanowiłem pokazać się z jak najlepszej strony i jeśli dopiszą okoliczności, sfotografować budynek zajęty przez Roelantsa, od fundamentów po dach.

Mijało teraz upalne popołudnie. Wprost na goły tors wdziałem płócienną kurtkę. W kieszonce na piersi spoczywał twardy przedmiot: pierścień matki. Wsunąłem go na palec, a w kieszeni umieściłem kamerę. Zawartość kasety pozwalała na tygodniową rejestrację obrazów non stop bez konieczności wymiany filmu. Na każdej klatce można było za pomocą specjalnej migawki utrwalić kilkaset ujęć, które po odtworzeniu przez projektor wybiórczy dawały złudzenie ruchomych kadrów.

Obiektyw kamery przewlokłem przez dziurkę w kieszonce i drugą w patce zakrywającej kieszeń. Wyglądał jak guzik i spełniał rolę guzika.

Do zmierzchu przesiedziałem przy oknie.

Zakląłem w duchu: drzwi do pracowni Cortinusa były zablokowane. Poszedłem dalej,

ostrożnie, noga za nogą. Przystawałem co rusz, nasłuchując. Nic. Jakby wszystko, co żywe, opuściło budynek.

Dotarłem do końca korytarza. Tak jak w moim bloku obok windy strome schody biegły spiralą w dół. Zszedłem nimi i znalazłem się w mrocznym holu o odpadającym tynku. Na betonowej posadzce leżały łuski lamperii. W chłodnym powietrzu unosiła się przenikliwa woń.

W głębi holu płonęło amarantowe światelko. Poszedłem tam. W niszy na prawo ujrzałem trzy skafandry, jakich używają nurkowie głębinowi. Ważyły po kilkadziesiąt ton i wytrzymywały ciśnienie tysięcy atmosfer. Ich blade, otwarte korpusy, masywne jak batyskafy, przypominały kształtem rozdęte kombinezony próżniowe. Znajdujący się w ich wnętrzu człowiek miał wrażenie, że siedzi w ciężko opancerzonym czołgu. Układy wspomagające, sterowane ludzkim mózgiem, umożliwiały wykonywanie dowolnych ruchów bez wysiłku.

Po wąskich stopniach dostałem się do wnętrza skafandra. Dopasowałem hełm encepcyjny i oparłem się plecami o wykładzinę ochronną. Na rękach i nogach poczułem ucisk obręczy receptorów, czułych na najmniejsze napięcie mięśni. Otwór, przez który wszedłem, bezszelestnie zasklepiła pokrywa. Szczelna przepona otuliła mnie dokładnie. Tkwiałem w stalowym, androidalnym kokonie, który by wytrzymał nawet ogień broni przeciwpancernej, posłusznym memu ciału.

Pod amarantowym światelkiem połyskiwały rdzawo gazoszczelne wierzeje. Postawiłem pierwszy, nieporadny krok. Drgnął cały budynek. Starannie wymierzonym ruchem sięgnąłem mechaniczną łapą do urządzenia otwierającego. Wderzeje ustąpiły.

Nagłowny reflektor wypłukał z mroku dziesięciometrowy korytarz zasklepiony drugą gazoszczelną, grubą na pół metra taflą stali stopowej. Nim do niej dojrzałem, wierzeje z tyłu zatrzasnęły się.

Wraz z ustępującymi zamkami blokady dokładną dotąd ciszę rozdarł świst. Wskazówka manometru zainstalowanego wewnątrz skafandra - tuż nad panoramiczną szybą - drgnęła. Jej ostrze dotykało cyfry 5. Manometr wyskalowany był w kilonatmosferach.

Przede mną rozciągał się prosty hol. Strop i ściany na całej długości pokrywała biała, skrząca się w świetle reflektora warstwa. Zbliżyłem do niej oczy. Szron. Zagłębiłem w nim mechaniczne palce, aż trafiły na zdecydowany opór. Spod pokrywy szronu wyjrzała matowa powierzchnia stali.

Tętniąc poczłapałem dalej. Hol zamykała nowa śluza o grodziach jeszcze potężniejszych niż pierwsze. Nasuwało to przypuszczenie, że poprzednia śluza służyła do

wstępnego wyrównania ciśnień. Za tą, przed którą stałem, panowało daleko wyższe.

Po sekundzie wahania otworzyłem wejście: przygotowane na obciążenia jak w przeciwoatomowych koferdamach. Poczekałem, aż zamkną się za mną, i uruchomiłem urządzenie otwierające następną gródź.

Prawie fizycznie odczułem nagły skok ciśnienia. Jak gdybym bardziej zespolił się ze skafandrem. Za plecami usłyszałem rytmiczne sapanie: ekshaustor wyrzucał na zewnątrz zużyte powietrze. Zawarta w nim para wodna w mgnieniu oka zamieniła się w biały pył i opadała na ziemię.

Drżałem z zimna.

Na wprost w niebieskawej poświacie majaczyły kontury ścian i sprzętów o niezrozumiałym przeznaczeniu. Obraz pomieszczenia falował, jak gdyby wypełniono je wodą z domieszką ultramaryny i rozchybotano. Nie spostrzegłem okien, nie było stąd także wyjścia, oprócz tego, w którym stałem.

Ogarniało mnie coraz bardziej przejmujące uczucie zimna. Z góry spadała gęsta czerwień.

Posunąłem się do przodu i wówczas z kąta oderwał się fioletowy cień. Z furją runął w moją stronę. Jakby chciał roztrzaskać się o stalowy korpus. To był człowiek. Póhłagi.

Sięgał mi zaledwie do bioder i z zaciekłością średniowiecznego drwala rąbiącego wiekowe drzewo okładał pancerne nogi skafandra. Pochyliłem się nad nim. Odskoczył, mierząc łomem w moją głowę. Nie cofnąłem się, a on zamarł ze wzniesionymi ramionami. Wtedy zobaczyłem jego twarz.

Profesor Theodore Roelants.

Patrzyliśmy na siebie długo. Białe we mnie oczy wyrażały zaskoczenie i wściekłość. Błysnęła w nich, jakby iskierka nadziei.

Mróz usztywnił mi kark i ramiona, nogi. Postać profesora zmętniała. Roelants nie opuszczał rąk. Stał nieruchomo, tylko gwałtowne skurcze wstrząsały jego ciałem. Stawały się coraz częstsze aż, przeobrażone w dziwaczny dygot, zakręciły w miejscu wątłą sylwetką.

Górne, czerwone światło przyćmiło mi wzrok. Nie mogłem wyprostować pleców. Roelants wybuchnął śmiechem. Zataczał się, drgał i podskakiwał, twarz wykrzywiał mu szyderczy grymas, ale jego oczy pozostały złe i wystraszone.

Wirowało mi pod czaszką. Już nie czułem zimna, jedynie senność i zmęczenie. Zamknąłem powieki. Nim zacisnąłem je całkowicie, ujrzałem źródło zagadkowego czerwonego światła. Była nim umieszczona wewnątrz hełmu kontrolka sygnalizująca awarię układu ogrzewczego.

*

Huk, jak gdyby obok ucha rozerwał się granat.

*

Ktoś gładził moje skronie. Otworzyłem oczy i zaraz zamknąłem. W jasnym świetle twarz Joy wydawała się nienaturalnie blada i wymizerowana. Wróciłem do sennych majaków. Nie pierzchły z pamięci, istniały w niej nadal, żywe w najdrobniejszych szczegółach.

Upał był nie do zniesienia. Leżałem pod ażurową kapą, taką samą, jaka okrywała nagie niemal Ciało dziewczyny.

- Joy... - wykrztusiłem. Powracały zawroty głowy.

Cofnęła wolno rękę. Patrzyła poważnie i trochę ciekawie.

- Pan mnie zna?

Usiadłem i rozejrzałem się. To nie był mój pokój: brakowało połowy wyposażenia, także sprzęty usytuowano inaczej.

- Gdzie ja jestem?

Opuściła powieki. Szepnęła:

- Jest pan na placówce badawczej profesora Theodore Roelantsa.

Ścisnąłem jej kruchy, szczupły nadgarstek. Nie otworzyła oczu.

Powiedziałem:

- Joy... CO SIĘ STAŁO?

- Nie wiem... Ta eksplozja...

- Jaka eksplozja? O czym ty mówisz?

- Ta tam. Miałam złe przeczucia. Od czasu, gdy zamienili szkołę w Ośrodek Badań Rakietowych. Zasypało nas.

Zerwałem się. Miałem na sobie jedynie przepaskę biodrową.

- Kiedy? Kiedy, Joy?

Uniosła głowę. Spojrzała półprzytomnie.

- Miesiąc. Niebawem upłynie miesiąc.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja tu... - urwałem. Ten wstrząs był dla niej zbyt silny.

- Och nie, ciebie... Pana znalazł Cortinus dzisiaj rano... Ale skąd pan... Nic, nic nie rozumiem...

- Cortinus? Więc Cortinus...

- Kazał, żeby dać mu znać, jak tylko pan odzyska przytomność. - Wtuliła twarz w dłoń. - On twierdzi... To zupełnie nieprawdopodobne!

Wybiegłem na korytarz. Pod ścianą sunęła młoda, obca mi kobieta spowita skąpym

pasem materii. Minęła mnie obojętnie.

Rzuciłem się do sypialni Cortinusa. Siedział za ogołoconym z manipulatorów stołem wieloczynnościowym. Końcem lancetu skrobał blat. Przez uchylone drzwi - pracowni zobaczyłem puste wnętrze. Autoklaw zniknął.

- Jest pan - stwierdził Cortinus z ulgą.

Podszedłem do stołu, śledzony wzrokiem jak w trakcie zawierania znajomości.

- Cortinus, nie poznajesz mnie?

Wstał. I jego ubranie składało się wyłącznie z opaski na biodrach. zaproponował, bym usiadł.

- Żałuję, ale nie mam nic do picia - rzekł. - Stan pańskich nerwów...

Zająłem wskazane miejsce.

- Dobra - powiedziałem przez zaciśnięte zęby. - Wał pan, o co chodzi. Od miejsca, jak mnie pan znalazł.

- To raczej pan zechce udzielić mi wyjaśnień.

Nie potrafiłem zmyślać na oczekaniu. Napomknąłem o przypadku, który jakoby sprawił, że bezwiednie wtargnąłem do chłodni, na co Cortinus uniósł brwi. Zginęły pod czarną grzywą.

- O jakiej chłodni pan mówi?

Zdenerwował mnie tym pytaniem.

- Po co to przedstawienie, Cortinus? Gdyby nie pan, zamieniłbym się w sopel lodu. Pan dobrze wie, że skafander był uszkodzony. Przełączył go pan na zdalne sterowanie i wytaskał stamtąd razem ze mną!

Jego osłupienie było tak autentyczne, że natychmiast przestałem posadzać go o grę. Opowiedziałem też da capo przebieg ryzykanckiej wyprawy z obszernymi uzupełnieniami.

Podparł czoło.

- Nic już nie pojmuję - wyznał. - Wydawało mi się, że ONI porwali innych... Ale ci, których przerzucają, przeczą wszystkiemu. Chyba żeby jakaś częściowa amnezja... - popatrzył błagalnie. - Naprawdę nic pan nie pamięta?

- Pamiętam Joy i pana, czy to nie wystarczy? Pamiętam naszą rozmowę w kasynie i to, jak mnie pan po pijanemu zaciągnął tutaj, do swojej pracowni, żeby pokazać ten kocioł ciśnieniowy, w którym leżał embrion.

- Ja? Pana? Kiedy to było?

- Wczoraj.

Znowu podparł głowę.

- Ten kocioł zniknął sześć tygodni temu - oświadczył.
- Któryś z nas jest w błędzie.
- Zapewne. Chociaż niewykluczone, że rację mamy obaj.
- Co to znaczy?

- Brak mi pewności... W tym budynku mieszka wiele osób. Są tu na przykład robotnicy, których Roelants sprowadził przed dwoma laty. Są pracownicy różnych specjalności. I każdy z nich upiera się, że został zasypany w innym okresie. Zasypany, co za bzdura! Wyłącznie jedna hipoteza może być traktowana serio.

- Mianowicie?

W oczach Cortinusa zabłysła pogróżka: „Spróbuj zakpić!”

- Por-wa-no nas - wysylabizował i zaraz podjął, jak gdyby chciał z punktu rozwiać moje wątpliwości: - Znajdujemy się na pokładzie statku kosmicznego. Proszę zauważyć, że w tym „budynku nie ma żadnych drzwi zewnętrznych. Zniknęły również okna, a ściany i sufit pod powłoką imitującą tynk są wykonane ze stali tak twardej, że nie biorą jej nawet diamentowe wiertła. Robiliśmy podkopy w różnych miejscach z wiadomym skutkiem. I wreszcie ostatnia rzecz, najważniejsza: istoty, które nas porwały. Otóż nikt nie może zaprzeczyć, że istnieją, ale, i jest to zjawisko niejasne, zdecydowanie unika się rozmów na ich temat. A przecież to one dostarczają nam żywności, dbają o warunki klimatyczne, dość nieudolnie zresztą, zważywszy ten upał, i zajmują się tranzytem, posłużmy się tym określeniem, porwanych ludzi.

Cortinus nie robił wrażenia maniaka, raczej człowieka niedowierzającego samemu sobie, diablo przy tym zmęczonego. A jednak... Maniak, jeśli nie afiszuje swej idee fixe lub jeśli nie odbiega ona zbyt od ogólnie przyjętych norm, może uchodzić za osobnika normalnego, niekiedy wręcz genialnego. Może sprawować odpowiedzialne funkcje, jak nie przymierzając Johanann, którym jeśli nie kierował obłąd, to na pewno fanatyzm, aczkolwiek jest to pojęcie przestarzałe od stuleci.

- Więc według pana znajdujemy się poza Ziemią?

- Nic takiego nie powiedziałem. Zaryzykowałbym twierdzenie, że Kosmici nie opuścili jak dotąd Ziemi. Tylko tak tłumaczy się owa różnica czasów porwania. ONI kompletują...

- Kompletują?

- Oczywiście. ICH nie interesuje pan jako jednostka ludzka, lecz jako specjalista w zakresie embriologii. Tutaj nie spotka pan dwóch osób o identycznych specjalnościach. Prowadzę ścisłą ewidencję - stuknął palcem w blat. - Z braku przyborów do pisania posługuję

się lancetem.

Obok lewego łokcia Cortinusa leżała na stole pokryta białym nalotem płytka, prawdopodobnie metalowa. Regularne nacięcia na niej przypominały pismo, nieczytelne pod kątem, pod jakim je widziałem.

- Pana, tak jak poprzednich, położyli na korytarzu. ONI nie zaglądną do pomieszczeń.

- Zetknął się pan z NIMI??

- Niejednokrotnie. Z pewnych przesłanek wnioskuję, że ich naturalnym środowiskiem są planety, na których temperatura wynosi kilkaset stopni. Tak więc mielibyśmy do czynienia z istotami zbudowanymi z łańcuchów organicznych opartych na krzemie. Co pan na to?

Wstałem powoli, z tułowiem podanym do przodu. Zdołałem odczytać część końcowego zdania „...umieścić go z Joy.”

- Były jakieś próby nawiązania kontaktu? - spytałem. - Czy pan próbował z NIMI nawiązać kontakt?

Cortinus zmieszał się wyraźnie. Jakby chciał, żebym nie przegapił tego zmieszania. Albo nie potrafił udawać.

- Szanse na porozumienie z NIMI w obecnej sytuacji są nikłe. Już nie chodzi o niebezpieczeństwo udaru cieplnego. ICH odwiedzinom towarzyszą przykre dla nas emocje.

Stałem trzy metry przed nim. Spuścił wzrok.

- Nie, panie Cortinus - powiedziałem. - Zanadto absurdalnie to wszystko się przedstawia, żebym mógł dać temu wiarę... A priori.

*

Spenetrowałem korytarz centymetr po centymetrze. Zbadałem podłogę w miejscu, gdzie przedtem były schody. Szukałem okien. Cortinus miał rację. Byliśmy odcięci od świata.

Otępiąły odnalazłem swój pokój. Jak się okazało, tu właśnie odzyskałem przytomność.

Joy nie było. Nie było także moich rzeczy, a resztki sprzętów walały się jak w złupionym domu. Jedyne przedmiot, który mi pozostał - to pierścień matki. Patrzyłem na lazurowoniebieski kamień z połyskującymi gdzieniegdzie złocistymi ziarnkami pirytu. Jego powierzchnia zmatowiała, jak gdyby okaleczono ją gruboziarnistym pyłem korundowym. Potarłem kamieniem o udo. Na nodze rozmasowały się ciemne smugi. Minerale o twardości 5,5 w skali Mohsa ścierał się jak grafit!

Zdumiony obracałem pierścień w palcach. Na tej czynności zastał mnie Cortinus. Twarz wykrzywił mu grymas gorzkiego triumfu. Zdawał się pytać: „Przekonałeś się?”

- Mam kłopoty z powierzchnią mieszkalną - zakomunikował. - Ten pokój traktujemy

jako izolatkę, jako pomieszczenie adaptacyjne dla nowo przybyłych. Pozostałe są już, niestety, zajęte. Dlatego jestem zmuszony zakwaterować pana z kimś z obecnych.

- Czy pan to uzgodnił z profesorem Roelantsem?

Cortinus odwrócił wzrok.

- Roelantsa tutaj nie ma. Tymczasowo pełnię jego obowiązki. Proszę nie myśleć, że uzurpowałem sobie prawo, chętnie bym się go zrzekł, ale ci ludzie zachowują bierną postawę i ktoś musi nimi pokierować.

- W porządku.

- Liczę przy tym na pańską pomoc.

- O, a czemuż mam przypisać ten zaszczyt?

- Pan ironizuje, a sytuacja jest poważna. Ludzie są apatyczni, jak gdyby stali w obliczu niechybnej zagłady. Trzeba im naświetlić nasze położenie i zająć czymkolwiek. Sam temu nie poddam.

- Nie widzę się w tej roli.

- To nic trudnego. Proszę tylko nie poddawać się ogólnemu marazmowi, pałać - jak to się mówi - optymizmem i zaszcześcić ten optymizm przynajmniej osobie, z którą dzielić pan będzie pokój.

- To znaczy?

- Joy.

Wymieniliśmy szybkie, płochliwe spojrzenia. Bałem się, że spostrzeże moje wzruszenie, a i on jakby chciał coś zataić.

- Pozostaje kwestia... hm, wyrażenia zgody przez drugą stronę.

- O to może pan być spokojny.

*

Joy zajmowała pokój bez pracowni. Urządziła go gustownie, na miarę dostępnych, skromnych wszak, środków.

Ucieszyła się, naprawdę się ucieszyła, kiedy przekazałem jej decyzję Cortinusa. Ażurowa materia, spięta na ramionach niczym peplos, upodabiała ją do starożytnej boginki. Poczęstowała mnie ciepłym, pozbawionym smaku napojem:

- Tylko to jest w tych warunkach osiągalne.

Siedzieliśmy na brzegu muzealnego, twardego łoża. Otaczający Joy zapach łagodnej wody kwiatowej i lekarstw, ulotnił się. Pachniała jak po gorącej kąpieli.

Zagadnałem o Deckiela. Nie wiedziała, co się z nim stało.

- Stosunki między Deckielem a Cortinusem, Cortinusem a Roelantsem i wreszcie

Roelantsem a Deckielem są dość zawile - oznajmiła. - Do śmierci mego ojca profesor pracował nad nową metodą hybrydyzacji. Asystował mu przy tym Dekiel i obaj doszli do konkretnych osiągnięć. Potem, kiedy umarła jego żona, Roelants przestał interesować się krzyżowaniem. Robi to za niego Deckiel z dobrymi rezultatami, w czym, zdaje się, swego czasu pomagał mu Cortinus, którego profesor ściągnął wcześniej do ośrodka. Cortinus podczas jednej z pijatyk wyjawiał mi, że bez niego Deckiel nigdy by nie rozwiązał jakiegoś tam problemu, bo jako mikrobiolog nie ma pojęcia o fizyce. Podobno zaraz po sukcesie Deckiel wyrzucił go z pracowni, bojąc się utraty eksceptu wynalazczego. Cortinus trochę sarkał, w końcu machnął ręką zarówno na swój udział, jak i na stan psychiczny dziwaczejącego z tygodnia na tydzień Deckiela. Zresztą wtedy pochłaniało go wypełnianie obowiązków wobec Roelantsa. Mówię o obowiązkach dlatego, że Cortinus nie pracuje z własnej woli. Nie ma w nim zapału, wykonuje polecenia jak niewolnik, jak gdyby go szantażowano. Dusi coś w sobie i pije. Kiedyś w stanie kompletnego upojenia alkoholowego zamknął się ze mną w kasynie i zmusił mnie, żebym wysłuchała jego życiorysu. Niewiele zrozumiałam z tego bełkotu, ale jedno zdanie, które często powtarzał, utkwiło mi dobrze w pamięci. „Gdybym mógł jeszcze raz zorganizować spisek - powiedział - zacząłbym od wysadzenia instytutu w powietrze...”

Donośny łoskot rozerwał nasze dłonie. Rumor toczył się za ścianą, trząsł konstrukcją budynku. Skoczyłem do drzwi.

- Nie wychodź! - krzyknęła Joy.

Wypadłem na korytarz. W jego końcu pęczniał jasny kłęb, niczym obłok plazmy. Powietrze falowało od wzrastającej temperatury. Kątem oka zobaczyłem Cortinusa biegnącego w tamtą stronę. Podążyłem za nim. Drzwi otwierały się, ludzie wyglądali na zewnątrz. Kobieta, którą widziałem wcześniej, stała pod ścianą i zanosila się śmiechem. Woal spłynął z jej pleców, nie okrywała nagości. Zatrzymałem się za plecami Cortinusa. Od pulsującego przed nami kłębu bił żar, jakby z wyrwy w rozpalonym piecu hutniczym. Z nagłą opętała mnie myśl, aby wskoczyć do tego otworu. Zarechotałem. Cortinus odpowiedział mi chichotem.

- To... to właśnie... ONI...

Nadciągali inni. Obłok skurczył się i złożył na ziemi ludzkie ciało. Obok głowy pozostawił szarobiałą tabliczkę.

Cortinus zwinął się w kłębek i dygotał z rozbawienia. Zarechotałem znowu, a w chwilę później, porwany idiotycznym śmiechem, osunąłem się na kolana. Ktoś potknął się o moje nogi i potoczył zabawnie po posadzce. Za nami zrywali boki pozostali. Nikt nie

zauważył, jak obłok zniknął. Turlaliśmy się jeden po drugim między ścianami, korytarz rozbrzmiewał salwami śmiechu.

Ból przepony zmusił mnie do wstania. Tłumiąc rechot, podszedłem do leżącego nieruchomo człowieka.

To był Deckiel.

Zbliżył się Cortinus. Zachichotał chwytając go pod ramiona:

- Bierzemy?

Zanieśliśmy Deckiela do izolatki. Oddychał nierówno, rzucał się, jak gdyby śnił o wyhodowanych przez siebie potworach. Cortinus podjął się czuwania.

Nim wróciłem do pokoju, obszedłem korytarz. Wyczerpani ludzie ociężale podnosili się z ziemi. Dokładnie obejrzałem miejsce, w którym leżał Deckiel. Tabliczka wsiąkła.

Wieczorem Joy powiedziała:

- To dla nich jedyna rozrywka. - A po namyśle dodała: - Wiesz, w kinach w trakcie wyświetlania komedii technicy tłoczą na widownię gaz rozweselający. Działa podobnie.

Ale mnie uderzyły inne analogie.

*

Spędziłem noc z Joy. I to miało znaczenie. Wyłącznie to.

Późnym rankiem znajomy grzmot przetoczył się wzdłuż korytarza. Usłyszałem oddech Joy i poczułem uścisk jej szczupłych palców. Nie ruszyłem się, także wtedy gdy załomotano do drzwi.

Hałas oddalił się, powrócił. Towarzyszyły mu dalekie salwy śmiechu. Krótki łoskot, jak gdyby zatraskiwanych, metalowych wrót, sprowadził ciszę.

Chichot zamierał.

Uwolniłem się z objęć Joy i wyszedłem na zewnątrz. Pod drzwiami leżała płytką. Na szarobiałym tle ktoś wyrył zdanie: „Znakomicie, Ben. Życzę powodzenia.” O mało jej nie upuściłem.

- Zaraz wracam, Joy - rzekłem, ledwo panując nad głosem.

Obszedłem postacie zwlekające się z podłogi i zapukałem do sypialni Cortinusa. Nikt nie odpowiedział.

Oprócz Cortinusa był tu Deckiel. Zareagował jak samonaprowadzający się pocisk po wykryciu celu. Odskoczyłem szybko, aby uniknąć zderzenia.

- To ty, łobuzie! - zaniósł się piskliwym falsetem. - To ty... ty, ty, złodzieju!

Młócił powietrze rękami. Nacierał coraz gwałtowniej.

- Oddawaj, oddawaj!. - okulary zsunęły mu się na czubek nosa. - Wyegzekwuję

sądownie i zgnijesz w kryminale, bandyto!

Cortinus już był przy nas. Uderzył. Okulary spadły Deckielowi z nosa i zaczepiły się o przepaskę na biodrach. Deckiel zawył cicho. Na jego prawym policzku ciemniały cztery pręgi. Takie same na drugim świadczyły, że Cortinus nie po raz pierwszy przywoływał go do porządku.

- Siadaj!

Deckiel posłusznie zajął miejsce. Cortinus zasłonił sobą stół, na którym zobaczyłem stosik tabliczek.

- Od rana naświetlam mu sytuację. Nie rozumie, o co chodzi. W kółko domaga się zwrotu menażerii.

Podszedłem bliżej.

- A czy ty wszystko rozumiesz? Naprawdę myślisz, że tobie jednemu udało się nawiązać kontakt z nimi? - obszedłem stół. Stosik leżał w zasięgu mojej ręki. Cortinus nie bronił mi dostępu. Rzuciłem swoją tabliczkę na blat. - Przeczytaj!

Otworzył usta. Nie dałem mu dojść do słowa.

- A teraz gadaj, gadaj, Cortinus, co wiesz o Roelantsie i jego brudnej robocie!

Patrzył przestraszony.

- Roelantsa tu nie ma - ciągnąłem. - Nigdy go tu nie będzie i tylko od ciebie zależy, jak wybrniemy z tego pasztetu.

- Ale...

- Gadaj!!

Oblizwał wargi.

- Dobrze... Więc tak. Roelants jakiś czas zajmował się hybrydyzacją...

- To wiem! Dalej.

- Później, kiedy złapał większą gotówkę, rozpoczął badania nad życiem w środowisku amoniakalnym. Hybrydyzację zostawił Deckielowi, żeby...

- Żeby na wypadek kontroli nie mieć kłopotów?

- Tak. Deckiel jednak wypaczył założenia badawcze Roelantsa i zamiast eksperymentować pod kątem przydatności hodowlanej...

- Co wtedy robił Roelants?

Cortinus spojrział mi w oczy prawie z pokorą. I taki człowiek brał się do spiskowania!

- Nie, nie... Domyślam się zaledwie. Podobno wybudował olbrzymie wiwarium amoniakalne pod dziedzińcem. Hoduje w nim istoty... Mnie zlecił opiekę nad urządzeniami.

- A kto nie chciał się rozmnażać?

- Właśnie te „amoniaczki”...tak je nazywał.

- I wówczas, żeby przekonać się, czy syngamia w tych warunkach jest w ogóle możliwa, pobrał gamety od przedstawicieli obojga płci tych istot i po zapłodnieniu umieścił w autoklawie, tak?...

Cortinus kiwnął głową.

- ...w autoklawie - ciągnąłem - który był niczym innym, jak inkubatorem! Czy ty nie rozumiesz, bałwanie, że te „amoniaczki”, jak o nich mówisz, to ludzie?!

Deckiel czyścił szklę.

- A co ze mną? - wtrącił.

- Moim zadaniem - powiedział Cortinus - było czuwanie nad procesami fizycznymi.

- Oczywiście - wycedziłem z nienawiścią. Patrząc na niego, uświadomiłem sobie własną postawę. - Już na pierwszym przesłuchaniu po wsypie w instytucie również umyłem ręce i wyparłem się kumpli spiskowców, prawda?

Przeraził się.

- Ja...

- Ja, ja, ja! - ryknąłem. - Podobnie teraz wydaje ci się, że dzięki przyjaznym stosunkom z tymi... z tymi istotami, niech będzie po twojemu, unikniesz losu, który nam gotują, chociaż nic ci nie jest o nim wiadomo! - Następnie dodałem spokojniej, bo żal było na niego patrzeć: - Wyciągnąłeś pochopne wnioski, Cortinus. Jestem o tyle lepiej zorientowany, że spostrzegłem parę drobiazgów, które uszły twojej uwadze, za co jednak nie można cię winić, f i z y k u. Bo choć zapewne znasz z autopsji działanie gazu rozweselającego, masz prawo nie wiedzieć, jaki ma skład chemiczny. Deckiel, a ty?!...

Deckiel mrugnął bladymi oczami.

- N₂O - odparł.

- Tak, N₂O. Podtlenek azotu. A wiesz, co to jest? - pokazałem mu ściskany w garści pierścień. - Lapis lazuli, zwany także lazurytem, jedyny szlachetny minerał oprócz malachitu, który ulega niszczącemu działaniu NH₃! - potarłem z rozmachem kamieniem o blat. Została ciemna smuga. - Ten wzór, jak sądzę, coś ci mówi.

Patrzył nierozumnie na stół. Jeszcze nie kojarzył.

- Amoniak? - spytał. - Skąd tu amoniak?

Zanurzyłem dłoń w naczyniu z płynem, jakim poczęstowała mnie Joy i chlusałem nim w twarz Cortinusa.

- Stąd!

Cortinus nie ocierał się. Kilka kropel ściekło mu po brodzie.

- Z w o d y?

Te jego rysy... Już chyba coś pojął, lecz ciągle bronił się przed tą myślą.

- To nie woda, Cortinus. Jeżeli bardzo pragniesz ją zobaczyć, weź do ręki którąkolwiek z płytek. Na niej właśnie ujrzysz skroploną i zamrożoną parę wodną, gdyż razem z płytką przyniesiono ją z nawilgoconego środowiska. Ale szron nie rozpuści ci się w palcach, bo twoje palce są zimne jak skrzepły spirytus. Ta bańka natomiast zawiera ciekły amoniak i jest to równie pewne jak fakt, że to my, nikt inny, znajdujemy się w wiwarium pod dziedzińcem!

Milczeli.

Wspomniałem o swoim spotkaniu z Roelantsem w izolowanym pomieszczeniu ciśnieniowym. Mój skafander nie wydzieliał tak dużych ilości ciepła jak skafandry ze sprawnym układem ogrzewczym. Temperatura wokół niego była bliska temperaturze otoczenia. Roelants bez przeszkód mógł mnie dotknąć, a niska ciepłota powłoki zewnętrznej nie zniekształcała jej konturów.

Częściowo zużyty tlen, usuwany ze skafandra za pomocą ekshaustora, łączył się z azotem - jedynym, pomijając pary amoniaku, składnikiem tamtego powietrza - w związku NO, N₂O NO₂, gazy trujące, oszłamiające i rozweselające; a jeśli nawet ciśnienie nie było wystarczające do stworzenia takich związków, to wyrzucany na zewnątrz skafandra tlen i dwutlenek węgla mógł oddziaływać na organizm Roelantsa podobnie jak te związki.

Może minutę staliśmy w zupełnej ciszy. Przerwał ją zniecierpliwiony Deckiel:

- A co ze mną?

Cortinus oderwał wzrok od splecionych rąk.

Wrzasnął:

- Stul pysk!

*

Lecimy.

Sto lat temu i więcej ludzkość rozpoczęła kosmiczną ekspansję. Wiele tysięcy raket podażyło ku gwiazdom, aby odkrywać nowe tereny życiowe. Wiele setek nigdy nie powróciło.

Sto lat temu człowiek stworzył na Marsie sztuczną biosferę i począł ją zaludniać. Zapomniano o tych, którzy wędrują przez kosmos. Nie upłynęło ćwierć wieku, kiedy z Marsa wróciła połowa osadników. Woleli wegetować na Ziemi niż pławić się w „marsjańskim dobrobycie”. Plan Zagospodarowania Układu Słonecznego upadł. Tylko merkuriańskie i wenusjańskie drobnicowce kursowały nadal.

Człowiek pozostał na Ziemi.

Lecimy.

Wystartowaliśmy z wojskowego kosmodromu, który rozciągał się milę za terenem placówki. Johanann, w porozumieniu z Roelantsem, mianował mnie dowódcą statku. Nie przeproszał. Napisał tylko: „Jesteście pierwszą grupą kolonizacyjną. Przed wami Jowisz i szlachetne zadanie. Wykonajcie je zgodnie z własnym sumieniem. Od waszej 30-osobowej załogi, od »Cratersosa«, zależy, jak potoczą się losy narodu. Życzę wam szczęścia i wszelkiej pomyślności w torowaniu drogi następnym eksploratorom.”

Na dalszych dwóch tabliczkach zaadresowanych do mnie Johanann odwoływał się do mej lojalności, odczucia doniosłości faktu dziejowego. Jakże skwapliwym i zaangażowanym wykonawcą jego poleceń musiałem być w rzeczywistości, skoro zlecił mi funkcję kierownika! Domyślałem się, że pierwotnie miał nim zostać kto inny, prawdopodobnie kopia Roelantsa. Ta, którą znalazłem w izolowanym pomieszczeniu wiwarium. Mniemam, że profesor najprzód na sobie dokonał transformacji organicznej, lecz nie przewidział reakcji duplikatu, reakcji tym bardziej niepojętej, że zrodziła się w jego wiernej kopii.

Następnie wziął się za nas. Kompletował załogę „Cratersosa” miesiącami, dbając by nie zabrakło reprezentanta żadnego przydatnego fachu. Kolejno poddawał każdego transformacji, syntetyzując organizmy duplikatów - czyli nasze - ze struktur opartych na węglu i azocie, zachowując przy tym całkowitą zgodność genotypów oryginału z kopią.

Nie znam procesu technologicznego transformacji organicznej, nie umiem nawet podać ogólnych zarysów. Do tego potrzebny jest mikrobiolog. A jedyny mikrobiolog, Deckiel, od czasu, gdy zwrócono mu ukochaną aparaturę, kontynuuje przerwane badania. Johanann nie bez kozery włączył go do załogi. Ten dobrowolnie odcinający się od świata człowiek ma stworzyć pierwsze egzemplarze zwierząt hodowlanych, które zaaklimatyzują się w jowiszańskiej ekosferze. Zresztą każdemu z nas wyznaczono zadanie. Mnie prócz kierownictwa Roelants zlecił (druga tabliczka) ustalenie przyczyn agamii - tak się wyraził, idiota - członków. Jego ograniczony umysł nie był w stanie pojąć, że człowiek nawet w warunkach całkowicie odmiennych i bliskich prymitywu może zachować godność. Roelants i Johanann - dwa typy o specyficznej i jednakowej mentalności - popełnili szereg podstawowych błędów wypływających z nieznamościami ludzkiej psychiki. W ich imaginacji powstał obraz społeczeństwa bez reszty podporządkowanego wytyczonym przez nich celom, dla nich Ziemia stała się zbyt ciasna, a budowa baz atomowych na Jowiszu była sposobem zdobycia władzy w kraju i pozycji w świecie. Jaki obraz powstał w mojej wyobraźni? Oto w ciągu roku, tłumiąc w sobie sprzeciw i obrzydzenie do samego siebie, zdołałem

usprawiedliwić się przed własnym sumieniem i udowodnić sobie, że obrałem właściwą drogę.

Dzisiaj, kiedy nadszedł czas rozrachunku, kiedy z uczuciem bezgranicznej ulgi pozbyłem się skorupy, nic mnie nie obchodzi tamten *ja*, lepszy czy gorszy, i nie żal mi tamtej Joy, bo mam ją tutaj cudownie bliską. Nie obchodzą mnie dalsze losy tamtego *ja* i tym chętniej się go wyrzekam - przyznaję to ze wstydem - że do niedawna nim byłem. W pojedynku z Johanannem nie odniosłem zwycięstwa: nie odważyłem się zrzucić jarzma, i z pewnością tamten *ja* nadal obłudnie je znosi, krzywdząc tym tamtą Joy. Ale Johanann przebrał. Własnoręcznie nałożył sobie pętlę na szyję.

Ułożyłem tabliczki na pulpicie. Jedną obok drugiej.

Johanann!! Zapewniam cię, że twój rozkaz zostanie dokładnie wykonany! Postąpimy zgodnie z naszym sumieniem! Utorujemy drogę następnym eksploratorom i przyjmiemy ich z otwartymi ramionami, jeśli będą nimi kierować intencje równie czyste co nasze!

Ciebie także przyjmiemy!

Odpowiednio.

„Mały genetyk”

W przeddzień Bożego Narodzenia program rozpoczynał się o godzinie 16 i trwał przez cały wieczór wigilijny aż do północy, kiedy to przerywano dopływ prądu, żeby społeczeństwo mogło w spokoju odpoczywać. Do tego czasu jednak we wszystkich poczynaniach miała towarzyszyć obywatelom znana im z SV, popularna rodzina Iksińskich. Program finansowała firma „Future”.

Inżynier, ledwie wrócił z pracy, zasiadł w fotelu przed szklaną ścianą z widokiem na ogród i włączył emitor. Natychmiast po przeciwnej stronie ściany w miejscu ogrodu pojawił się nowoczesnie umeblowany pokój, na razie pusty. U dołu płonął napis: „Wkrótce zaczynamy.” Inżynier sprawdził godzinę i niechętnie poczłapał do kuchni, aby przywitać się z żoną. Na progu zderzył się z synem.

- Tatku! - wrzasnął brzdąc. - Pod choinką już leżą prezenty! Mogę swój rozpakować?

- A mama pozwoliła?

Chłopiec wsadził palec do nosa i pognął do kuchni. Inżynier udał się za nim. Pocałował żonę w policzek, potem zanurzył się w lodówce.

- Gdzie nakryć? - zapytała żona.

Inżynier wzruszył ramionami.

- W saloniku oczywiście - odparł. - Zaraz będą lecieć Iksińscy.

- Mamo - wtrącił synek - czy mogę zobaczyć, co dostałem?

Ojciec zatrzasnął lodówkę.

- Daj matce spokój - mruknął, przeżuając coś. - Nie widzisz, że zajęta?

- Ach, zobacz - odpowiedziała inżynierowa. - I odczep się wreszcie! - Zerknęła na męża. - Jak tam dzisiaj w pracy? - spytała.

- Nic ciekawego. Tylko powiesili za kołnierz jednego na dźwigu. Tak dla żartu. A kłął, jakby mu kto krzywdę robił!

- Okres przedświąteczny nie obfituje w nadzwyczajne wydarzenia - przyznała żona. - Mój szef wrócił z kliniki psychiatrycznej.

Salonik wypełnił się gwarem. Inżynier nastawił uszu.

- Zaczęło się!

- Później mi opowiesz - rzuciła za nim małżonka.

W przedpokoju dopadł go synek.

- Dziękuję, tatku! - pisał. - Skąd wiedziałeś, że chcę dostać „Małego genetyka”?

- Przyśniło mi się - odrzekł inżynier. - Ale nie baw się tym w mieszkaniu, bo jeszcze nas spalisz albo wysadzisz w powietrze. Idź do stodoły. Tylko ubierz się ciepło!

W pokoju za szklaną ścianą Iksińska dekorowała stół. W rogu stało drzewko o świecących gałązkach, pokryte różnobarwnym śniegiem, obwieszone opalizującymi błyskotkami, które przy poruszeniu wydawały melodyjny dźwięk. Jedną ścianę podpierały meble segmentowe, druga składała się z samych skrytek, wnęk i schowków, pod trzecią rozłożona była sofa z dobudowanym kojcem, w którym majtały pulchne rączki i nóżki Iksiniątka. Wszystko w naturalnych rozmiarach i kolorach - tak jakby oglądało się sąsiadów zza ściany, która zniknęła.

Inżynier krzyknął przez ramię:

- Oni już nakrywają!

- Ja też zaraz nakryję! - odpowiedziała z kuchni małżonka. - Rozstaw tymczasem stół, tak jak u nich.

Wszedł Iksiński, ubrany w świąteczny garnitur. Nadstawił policzek do pocałowania. Inżynier zanotował ten fakt w pamięci. Od dzisiaj nie on żonę, ale żona jego będzie całować.

- Hmm - Iksińska odchyliła głowę, jakby chciała lepiej przyjrzeć się małżonkowi. - Jak ty ładnie pachniesz!

- To woda kolońska produkowana przez firmę „Future” - oświadczył Iksiński. - Podoba ci się?

- Upajający zapach! Taki męski, zdobywczy i obezwładniający.

Inżynier na wszelki wypadek zapisał nazwę firmy. Przechodząc obok lustra, zauważył, że w przeciwieństwie do Iksińskiego ma na sobie ubranie robocze. Przebrał się czym prędzej. Następnie pomógł żonie nakryć do stołu.

- Oni mają srebrne sztućce - rzucił między jednym a drugim kursem z kuchni do saloniku.

- Widocznie kupili specjalnie na święta - odrzekła żona. - Dotąd jadali platerami.

Iksiński przywitał się z dziećmi. Do pokoju wkroczył robot z dymiącą wazą.

- I robota mają! - krzyknął inżynier.

- A cóż to takiego? - zdziwiła się Iksińska.

- Prezent gwiazdkowy dla ciebie - odparł Iksiński. - Najnowszy model. Wieloczynnościowy, niezawodny robot firmy „Future”.

- „Future” - powtórzyła Iksińska. - Jesteś kochany! I firma „Future” też!
Inżynierowa na palcach wśliznęła się do saloniku i przycupnęła obok męża.

- Zaczynamy? - spytała szeptem.

- Poczekajmy na nich - powiedział inżynier.

- Możemy chyba zasiadać - zaproponował Iksiński. - Robot nas obsłuży.

- Siadajmy, siadajmy! - poparła go dziatwa.

Zjawił się synek inżyniera. Umorusany jak diabeł.

- Tatku! - wrzasnął. - Ten „Mały genetyk” jest bombowy! Udało mi się wyhodować
świnie maciupką jak mysz, z ogonem zaskrońca i pyskiem żaby. Ale ona od razu zdechła.
Żebyś mi pomógł..

- Nie przeszkadzaj - poprosił ojciec. - Lepiej coś zjedz.

Robotowi drgnął manipulator. Część zawartości łyżki wazowej znalazła się na stole.
Inżynier z satysfakcją obserwował kałużę rozlewającą się po obrusie.

- Drobiazg - oświadczył entuzjastycznie Iksiński. - Wywabiacz „Future” upora się z
każdą plamą.

Ze zręcznością prestidigitatora wydobył skądś walcowatą puszkę. Rozpylił nieco
aerozolu na plamę. Znikła w oczach.

- Zdumiewające! - westchnęli inżynierostwo oraz Iksińska, Iksińcówna i Iksinek.
Nawet Iksiniątko zagaworzyło w kojcu z aprobatą.

- Musisz jutro kupić jeszcze pięć takich puszek - postanowiła Iksińska.

- Słyszysz? - syknęła inżynierowa. - Jak oni kupią pięć, to my kupimy dziesięć.

Ponownie przybiegł synek.

- Tatku! - szarpnął ojca za rękaw. - Skrzyżowałem krowę z muchą! I żyje. Ale nie
chce latać. I taka maleńka. Wszystko, co wyhoduję, wychodzi małe. Pomóż, co?

- No to dodaj drożdży - podsunęła mama. I przestań wreszcie zawracać głowę!

- Tatuśku - odezwał się Iksinek. - Opowiedz nam, jak minął ci dzisiaj dzień w pracy.

Iksiński rozpromienił się.

- Cudownie - oznajmił z euforią. - Uwielbiam swoją pracę, choć niektórzy powiadają,
że jest banalna, i twierdzą, że nie chcieliby wykonywać mojego zawodu. Gdyby nie to, że
kocham przebywać wśród was, moi drodzy, poszedłbym jutro do pracy mimo świąt.

- Spójrz - powiedziała inżynierowa. - Nasz syn jest u Iksińskich.

- Rzeczywiście - zdumiał się inżynier.

- Jestem tutaj - sprostował berbec. - Tylko stanąłem plecami do ekranu. Chcę wam
powiedzieć, że skrzyżowałem byka ze szczurem, drożdżami i ze sobą. Dodałem do próbówki

trochę swojego naskórka - tak jak napisali w instrukcji - żeby się pomieszały chromosomy. Wyrosło z tego coś takiego, że się wierzyć nie chce, i ciągle rośnie.

- Odczep się! - poradzili rodzice.

- Wznoszę toast na cześć mojej pracy - oświadczył Iksiński. - Wiwat!

- Wiwat! - zawołał inżynier wznosząc literatkę.

- Pójdiesz jutro do roboty? - zagadnęła go małżonka.

- To zależy od tego, czy Iksiński pójdzie.

W kojcu rozpląkało się Iksiniątko. Iksińska rozwinęła je z betów.

- Mokre - stwierdziła. - Nawet ceratka jest mokra.

Iksiński zbliżył się do kojca.

- Tak myślałem! - ucieszył się. - Używasz niewłaściwych pieluszek. Jedynie pieluszki firmy „Future” dadzą tobie i twemu dziecku pełną satysfakcję. Pieluszki firmy „Future” są antyseptyczne, nieprzemakalne, wygodne, zdrowe i ognioodporne. Zapamiętaj: firma „Future”!

- Znajoma nazwa - inżynierowa westchnęła. - Może byśmy kupili trochę tych pieluch.

Inżynier wytrzeszczył oczy.

- Po co? - spytał. Przez chwilę przypatrywał się małżonce. - Czyżbyś...

Żona położyła palec na listach i kiwnęła głową. Inżynierowi ścierpła skóra. Powinien coś powiedzieć, ale co? Co by powiedział Iksiński na jego miejscu? Że nie zażywali pigulek firmy... jakże jej tam?

- Tatku!! To jest już takie wielkie, że przestało się mieścić w stodole! Rozsadziło ściany, polazło na pole i stale rośnie! - wrzasnął synek.

- Jazda stąd!!! - odwrzasnął tato.

Chłopca wymiotło.

- Wiesz co? - zagadnęła inżynierowa. - Mam czasem wrażenie, że to nie my Iksińskich, ale Iksińscy nas podglądają.

- Całkiem możliwe - przytaknął mąż. - Raz przyłapałem Iksińskiego, jak gapił się na nas, kiedy żeśmy figlowali na kozetce przed zakończeniem programu SV.

- Świnia! - oburzyła się małżonka.

Obraz za szklaną ścianą znikł. Na zewnątrz w silnej poświacie księżycowej drzemał ogród. Zapanowała głęboka cisza przerywana odległym, przeciągłym grzmotem. Inżynierostwo wyszli przed domek. Nad horyzontem, tam gdzie wznosiło się miasto, pulsowała luna. Snopy iskier, dławione kłębkami, strzelały ku niebu. Ziemia drżała.

- Ciekawe, co się tam dzieje? - inżynier wpadł w zadumę. - I dlaczego przerwali

program?

- To moje monstrum! - odpowiedział mu podekscytowany głosik synka. - Kiedy wyrosło takie olbrzymie, że na raz mogłem zobaczyć tylko jedną łapę, kazałem mu iść do miasta i rozchrzanić tych głupich Iksińskich. Obiecałem mu za to placek z rodzynekami, ile będzie chciał. Bierzcie się do pieczenia, bo ono tu wnet wróci, a ma wielką ochotę na ten placek!

Patent

Brogazzi na nowo przygotowywał się do rozmowy z tym kimś, kto pracował za drzwiami opatrzonymi numerem 107. Krzątający się po gmachu urzędnicy mijali go obojętnie, przyzwyczajeni do wszelkich dziwactw ściągających tu interesantów, ale Brogazziemu wydawało się, że śledzą każdy jego ruch. Ze sto razy przemierzył w tę i z powrotem wysoki, mroczny hol Urzędu Patentowego, nim zdecydował się wejść.

W pokoju, zbyt dużym jak dla jednego pracownika, znajdowało się biurko, kilka niedbale rozmieszczonych foteli, skromny regał. Urzędnik stał przed oknem. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się i Brogazzi zobaczył jego twarz: puciołowatą, lśniącą, o oczach ciemnych i głęboko osadzonych. Gdzieś już ją widział.

- Witam pana. Nazywam się Laterno i jestem kierownikiem Medycznej Komórki Wynałazczej. Zechce pan usiąść.

Urzędnik obszedł biurko, ustawił naprzeciw siebie dwa fotele, zajął jeden. Następnie otworzył pudełko z cygarami. Brogazzi odmówił.

- A może kieliszeczek koniaku albo filiżankę herbaty? Pan się dziwi tej gościnności, ale proszę mi wierzyć, każdy pomysłodawca jest dla nas na wagę złota. To taki stary związek frazeologiczny, lecz nic w nim z przesady. A tak na marginesie: pan jest lekarzem?

Brogazzi najeżył się. Drażniły go tego rodzaju pytania.

- Laborantem - mruknął. - Mimo to...

- Naturalnie - wtrącił szybko Laterno. - Wykształcenie nie zawsze ma wpływ na proces wynalazczy, przy czym przez słowo „wpływ” rozumiem pomoc i przyspieszenie; niejednokrotnie wręcz niszczy wrodzone zdolności, nawet talent. Mniemam, że i w pana przypadku jest podobnie - to znaczy, dzięki wrodzonym zdolnościom właśnie, wpadł pan na niezwykle frapujący pomysł.

- Powiedzmy: ciekawy pod niektórymi względami.

Laterno rozparł się w fotelu i zapalił cygaro. Wyglądał jak człowiek, który przed chwilą otrzymał wiadomość, że jego akcje podskoczyły o 50 procent.

- Posłucham z prawdziwą przyjemnością.

Brogazzi potarł brodę w zadumie. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

- Skierowała mnie tutaj Komisja Medyczna - powiedział. - Tydzień temu przedstawiłem tamtym panom ogólne zarysy mego wynalazku. Szczegółów nie mogłem im zdradzić bez uprzedniego uzyskania pewnych gwarancji dotyczących przyszłego wykorzystania „Homofilu”, tak go nazwałem. Z kolei Komisja Medyczna odmówiła mi udzielenia takich gwarancji przed poznaniem szczegółów. Koło się zamknęło. Jeden z tamtych panów prywatnie poradził mi przyjść tutaj. Więc jestem.

- Tak, tak... A co w ogóle może pan powiedzieć na temat tego Homofilu”?

- Wiele rzeczy, ale... Widzi pan, idea „Homofilu”, jak to bywa z większością wynalazków, zrodziła się z potrzeby. Elektrofizjologowie, o czym pan zapewne wie, bez trudu wywołują w istotach posiadających mózg, przede wszystkim w człowieku, dowolne uczucia na sygnał radiowy. Ich urządzenia, głównie ostatnio skonstruowane, pozwalające na kierowanie ludzkim zachowaniem bez konieczności umieszczenia w mózgu odpowiednich elektrod, wykorzystywane są w kołach militarnych. Dokładniej: w armii. Popęd agresji wywołany takim urządzeniem może spowodować, że najczulsza matka, będąc całkowicie przekonana, iż działa zgodnie z własną i nie przymuszoną wolą, z zimną krwią zamorduje swe ukochane dziecko. Chyba pan rozumie, jakie to ma znaczenie dla dowódcy kierującego oddziałem wojska. Wystarczy przycisnąć guzik, żeby pułk, dywizja czy armia rzuciła się z autentyczną nienawiścią na wroga. „Homofil” - Brogazzi uśmiechnął się zjadliwie - jest kopniakiem dla żołdaków wymagających od podwładnych ślepego posłuszeństwa. Zresztą nie tylko... Jest to środek, który może zbawić ludzkość... - zamyślił się na chwilę, po czym dokończył szeptem: - Dlatego chciałbym mieć pewność, że tej rozmowy oprócz nas nikt nie słucha.

Laterno zatrzepotał powiekami.

- Wszak jesteście... Ach, pojmuję. Mówi pan o ukrytych mikrofonach, nadajnikach i tak dalej. Nie, panie... panie...

- Brogazzi.

- Panie Brogazzi. To wykluczone. Ten gmach, chociażby z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim...

- Ten gmach właśnie z uwagi na charakter przeprowadzanych w nim spraw, które miał pan na myśli, jest szczególnie narażony na wszelką działalność szpiegowską. Ostatnio wykryto aparaturę podsłuchową nawet w tajnym gabinecie premiera.

Laterno umoczył wargi w herbacie. Uśmiechał się jak ktoś, komu udało się oszukać cały świat.

- To nie wszystko - dokończył za Brogazziego. - Podejrzewam, że w gabinecie, o

którym pan wspomniał, nadal znajdują się urządzenia wywiadowcze. Dodam też, aby udowodnić panu, że nie lekceważę niczego i jestem facetem nieźle oblatanym w temacie, iż nie istnieje na Ziemi, Układ Słoneczny zostawiam w spokoju, obiekt, w którym jeśli jest godny zainteresowania, nie pracowałaby aparatura szpiegowska. Oprócz... Oprócz, drogi panie, budynku Urzędu Patentowego. I nie są to czcze przechwałki. W końcu przez n a s z e ręce przechodzą dokumentacje różnego rodzaju wynalazków i n a m przysługuje prawo pierwokupu. Toteż kiedy pewnego dnia nikomu nie znany skromny student przyniósł do nas projekt przyrządu zdolnego wykryć absolutnie każde urządzenie szpiegowskie w promieniu stu metrów, niezwłocznie skorzystaliśmy z okazji. Dzięki temu przyrządowi wiem, że ma pan przy sobie mikronadajnik.

Brogazzi otworzył szeroko oczy.

- Nie twierdę, że przyszedł pan z nim celowo - rzekł Laterno. - Prawdopodobnie ktoś ciekawy, kierując się motywami, których nie znam, zadbał o to, aby miał pan przy sobie takiego miniaturowego szpiega. I licho wie, czy chodziło temu komuś o pana, czy też o mnie.

Brogazzi spojrzał po sobie, przeszukał kieszenie. Laterno patrzył na niego niemal ze współczuciem.

- To może być guzik, spinka przy mankiecie lub zapięcie przy pasku od zegarka.

- Zaraz - Brogazzi wyłowił z kieszeni pierścień. - Podarowałem go przed miesiącem dziewczynie, z którą jestem... byłem zaręczony. Znalazł się dzisiaj w skrzynce na listy. Nie mam pojęcia, dlaczego zwróciła... - powiedział zawstydzony.

Laterno obrócił w palcach pierścione. Przyjrzał mu się dokładnie.

- Istotnie - mruknął. - Należało się tego spodziewać. Unieszkodliwimy? Proszę się nie obawiać, pole magnetyczne zniszczy tylko zawartość - nie czekając na pozwolenie wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach siedział znowu w swoim fotelu i sączył herbatę. - Jak pan widzi niepożądanych słuchaczy załatwiamy expedite i explicite. Oczywiście pańska narzeczona jest w porządku. Mamy tu do czynienia z ingerencją obcej osoby. To znaczy mieliśmy.

Przez chwilę milczeli. Brogazzi zastanawiał się nad przerwany wątkiem.

- Mówiąc o niebezpieczeństwie podsłuchu - zaczął - myślałem przede wszystkim o ludziach zatrudnionych w Ministerstwie Wojny. „Homofil”, jeżeli zostanie zastosowany zgodnie z moimi wskazaniem, będzie dla nich solą w oku, rzekłbym wręcz: pozbawi tych ludzi obecnej pracy. Innymi słowy Ministerstwo Wojny przestanie istnieć z braku potrzeby, jeśli kiedykolwiek w ogóle istniała taka potrzeba.

Laterno poruszył się, ale nie rzekł ani słowa. Słuchał w skupieniu.

- Idea „Homofilu” jest prosta - kontynuował Brogazzi. - Zażycie choćby

nieporównywalnie małej dawki tego środka stwarza w psychice człowieka stałą blokadę popędu agresji. Agresji często atawistycznej, odziedziczonej po przodkach. Muszę się od razu przyznać, że niemały wpływ na moje dociekania miała, zainspirowała mnie mnie niejako, książka pod tytułem *Zarys etologii*, którą ostatnio czytałem, przyznam, że z konieczności, przygotowuję się bowiem na wyższe studia. Przedstawiony w tej książce mechanizm działania agresji wewnątrzgatunkowej okazał się szczególnie interesujący. Natura obdarzyła tą agresją zwierzęta głównie po to, by ta jako jeden z ważniejszych selektorów dopuszczała do rozmnażania się jedynie osobników najsilniejszych, najbardziej inteligentnych i najlepiej przystosowanych, słabszych zaś skazywała na samotnicze bytowanie i ustępowanie we wszystkim swym dorodniejszym pobratymcom. Kłamstwem natomiast jest, że natura w sposób kategoryczny pozbawia kogoś prawa do życia, bo wraz z agresją wewnątrzgatunkową wyposaża zwierzęta w instynktowne hamulce wyłączające tę agresję w pewnych wypadkach. Rzecz jasna, że agresja wewnątrzgatunkowa jak i jej hamulce rozwinięte są daleko słabiej u zwierząt usposobionych z natury pokojowo niż u drapieżnych. I właśnie u tych pierwszych, jeśli stworzyć im anormalne warunki egzystencji, dochodzi do walk kończących się zwykle śmiercią, gdyż agresji, pobudzonej wypaczanymi eksperymentalnie warunkami nie przeciwstawiają się prawie żadne hamulce, już z góry ustalone przez naturę jako szczątkowe. Na szczęście wypadki te zdarzają się wyłącznie, jak już nadmieniałem, w stacjach doświadczalnych. W przypadku drapieżników jest nieco inaczej. Łatwy do przewidzenia byłby los zwierząt, powiedzmy, z rodziny kotów, gdyby pozbawiono je nagle mechanizmów hamujących. Niech pan spyta obojętnie którego hodowcę lisów, łasic czy nutrii, jak zareaguje matka karmiąca małe, kiedy coś ją śmiertelnie przerazi, i kiedy wspomniane mechanizmy hamujące zawiodą. W farmie ojca mojego kolegi, gdy piorun uderzył opodal zabudowań, cztery lisice pozagryzały swoje mioty. Dlatego natura ze specjalnym pietyzmem zadbała, by zwierzęta uzbrojone w kły i pazury miały wyjątkowo potężne hamulce.

Laterno odstawił opróżnioną filiżankę. Nie spuszczał wzroku z Brogazziego.

- Uruchomienie tych hamulców następuje różnie u różnych zwierząt. Dla przykładu posłużę się tutaj psami. Gdy na swej drodze staną dwaj rywale, to oczywiście rozgorzeje między nimi walka. Zacznie się wprawdzie od poznawania sił i możliwości przeciwnika, a więc wzajemnej prezentacji zębów i zjeżonej sierści, inaczej mówiąc od przyjęcia postaw grożąco-imponujących - używam leksyki obowiązującej w etologii - żeby w miarę, jak budzi się agresja wewnątrzgatunkowa, przejść do ataku. Na ogół już po wymianie kilku ukąszeń obaj konkurenci wiedzą, który z nich w końcu ulegnie. Słabszy ma zatem czas, aby w porę się

wycofać. Gdyby nie mechanizm hamujący, los jego byłby przesadzony, w sukurs jednak przychodzi mu dalekowzroczna natura. Żeby uniknąć niechybnego rozszarpania, wykonuje gest pokory zwany inaczej gestem pojednania: rytualny ruch powodujący w przeciwniku zahamowanie agresji. W omawianym przypadku słabsze zwierzę nadstawia pod szczękę silniejszego najbardziej czułą i podatną na zranienie część swego ciała: bok szyi, gdzie przebiega tętnica główna. Jest to tak potężny bodziec hamujący, że atakujący z całą gwałtownością przeciwnik staje jak wryty i dopóki ma przed nosem zebrzącego o łaskę rywala, dopóty jest bezsilny. Co najwyżej może wyładować złość na leżącym obok kawałku drewna. Ale nie jest to regułą...

Spoglądali na siebie. Laterno poprawił się w fotelu.

- Świetnie - rzekł. - Zrobił mi pan wykład z etologii, ale doprawdy nie rozumiem, jaki to ma związek z pańskim...

- Przechodzę do meritum - oświadczył Brogazzi. - Chodziło mi o określenie człowieka zarówno pod względem agresji jak i jej hamulców. I wie pan, co stwierdziłem? Że należymy do gatunku zwierząt pozbawionych naturalnej broni w postaci kłów czy pazurów, dlatego też agresja wewnątrz nas oraz mechanizmy hamujące są w zaniku. Gdybyśmy bytowali w normalnych warunkach, oba te elementy nie byłyby nam do niczego przydatne. Ale tak nie jest. Stworzony przez nas świat jest światem wypaczonym. Szczujemy się wzajemnie, agresja wewnątrzgatunkowa wzrasta, a hamulców nie ma. Dodatkowo - i tego natura także nie przewidziała - zdobyliśmy broń, jaką nie dysponowało żadne zwierzę; broń, która zdolna jest unicestwić nawet jej właścicieli... - Brogazzi zawiesił na chwilę głos. - Dlatego, panie Laterno, skoro wymyśliliśmy już arsenały mogące efektownie rozładować sztucznie podsycaną w nas agresję, należało jeszcze wymyślić skuteczne hamulce. „Homofil” jest właśnie katalizatorem powodującym powstanie w psychice ludzkiej mechanizmów hamujących. Jednorazowa dawka wystarcza do końca życia, a dawka ta może być mniejsza niż homeopatyczna. Wie pan, jak niegdyś postępowali homeopaci? Specyfik, którego chcieli użyć jako lekarstwo, maksymalnie rozcieńczali. Wlewali na przykład probówkę driakwi do wiadra wody, z tego wiadra brali kroplę i umieszczali ją w drugim wiadrze, z którego znów pobierali kropelkę, żeby wpuścić ją do trzeciego, i tak dalej. Wreszcie w którymś z kolejnych wiader driakiew była tak rozcieńczona, że praktycznie niewykrywalna. „Homofil” pobrany bodaj z setnego wiadra, zachowa pełną aktywność. Ponadto nie straci jej po przegotowaniu wody, nie można go odfiltrować ani zniszczyć obojętnymi dla zdrowia ludzkiego środkami.

- Jednym słowem, po zażyciu pańskiego „Homofilu” człowiek zachowuje się jak pokorny baranek?

- Tego nie powiedziałem. Choleryk, choćby wypił i litr „Homofilu”, zostanie cholerykiem, a jeśli planował zbrodnię, będzie to robił nadal. Co więcej, dokona jej, jeżeli planowana ofiara nie uczyni gestu pojednawczego.

- A jeśli taki gest uczyni?

- Wtedy odezwią się mechanizmy blokujące, które niedoszłego mordercę rzeczywiście zamienią w pokornego baranka. Trochę jak w bajce...

- Czy ten gest... pojednawczy jest bardzo skomplikowany?

- Niestety, zarówno gest pojednawczy jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, których...

Laterno poderwał się. Raptownie i niespodziewanie przystąpił do natarcia. Jak gdyby naraz zrzucił owczą skórę. Powiedział twardo, przedrzeźniając Brogazziego:

- Zarówno gest pojednawczy jak i skład chemiczny „Homofilu” są szczegółami, które znamy, drogi panie. Przed chwilą nasza ekipa zakończyła rewizję w pańskim domu!

Brogazzi osłupiał.

- Jak pan śmiał, panie Laterno...

- Nie jestem żadnym Laterno! - warknął mężczyzna. - Rozmawia pan z generałem Pinnebergiem, przedstawicielem Ministerstwa Wojny. Nasi ludzie z Komisji Medycznej już od dawna mieli pana na oku. Chyba nie sądzi pan, że z dziecinną niefrasobliwością pozwolimy komuś, żeby zapaskudził morale naszego wojska! Jeszcze dzisiaj zrobimy porządek z panem i pańskim idiotycznym „Homofilem”!

Brogazzi wstał. Powoli przychodził do siebie.

- Zapomniałem panu powiedzieć o jednej rzeczy - oznajmił z zimną satysfakcją. - Otóż na początku naszej rozmowy, kiedy stwierdziłem, że jestem laborantem, nie wyjaśniłem, że pracuję w Laboratorium Stacji Uzdatniania Wody. Od trzech dni tytułem próby, samowolnie i bez niczyjej wiedzy... dodawałem do zbiornika komunalnej sieci wodociągowej odrobinę „Homofilu”. Eksperyment ten dał pomyślne wyniki.

Generał spurpurowiał.

- Ty... ty kanalio... Ty... - zaczerpnął powietrza. - Aresztować go! - ryknął.

Do pokoju wpadło dwóch uzbrojonych cywilów. Chwycili Brogazziego za ramiona. Szarpnął się do tyłu.

- Niechże mi wolno będzie pożegnać się z panem generałem - rzekł.

Następnie niemal teatralnym gestem złożył ręce na piersiach i wykonał głęboki, pełen szacunku ukłon w stronę Pinneberga.

Szepnął:

- Proszę wybaczyć...

Generał oniemiał. Jego przerażony wzrok padł na filiżankę po herbacie.

- Czy mogę odejść? - spytał cicho Brogazzi.

- Ależ naturalnie... proszę, uprzejmie... - wyjąkał Pinneberg, z trudem opanowując drżenie podbródka.

Gdy Brogazzi opuścił gabinet, po puciołowatych policzkach generała spłynęły gorzkie, pełne bezsilnej wściekłości łzy.

Krążąc przy plaży...

Do najprzyjemniejszych rozrywek po śniadaniu należy bez wątpienia gonitwa. Jeżeli jeszcze dopisze temperatura i przejrzystość, uciechy jest co niemiara. Ale wszystko zależy od nieruchawców. Dopiero słoneczna pogoda wygania ich z nor. Wsiadają wtedy na powolne, kanciate koryta i mącą. Zresztą nie zawsze. Nieraz te ciągnięte przez koryta mącidła nie sięgają dna i wtedy cała ich robota idzie na marne.

Zazwyczaj są to ci sami. Iijio oraz Jijiu, najodważniejsi, dają im wówczas do zrozumienia, żeby spuścili linę niżej, ale nieruchawce ignorują wszelkie rady. Tylko czasem któryś wyciągnie skądś zmiętoszonego śledzia i rzuci jak jałmużnę.

Potrafią być sympatyczni. O ile dobrze znamy ich obyczaje, są stworzeniami towarzyskimi, umieją się cieszyć i smucić, ponoć posiadają własną kulturę i w ogóle wykazują duży stopień inteligencji. Jeden z naszych czołowych nieruchawologów twierdzi nawet, że ich inteligencja dorównuje naszej. Ale w takim razie dlaczego nie spuszczają niżej mącideł, skoro zupełnie wyraźnie się o to ich prosi? Dlaczego są one tak nieudolnie skonstruowane? Żeby to nieudolnie - wręcz niebezpiecznie. Ijjija wpadła raz do takiego mącidła i nabawiła się klaustrofobii. Musieliśmy ją później cały miesiąc kurować glonami, bo majaczyła o sieciach, matniach i ciasnocie. Kochana Ijjija, do dzisiaj unika zabawy w gonitwę. Uczęszcza teraz na kurs gry na muszli. Chce zostać wirtuozem gwizdu. Twierdzą, że ma talent.

Nachodzi mnie pewna refleksja: nieruchawce też potrafią się porozumiewać. Wydają z siebie niskie, charkotliwe dźwięki. Czy nie udałoby się ich nauczyć poprawnej wymowy? Posiadają przecież organy głosowe, które łatwo byłoby przystosować do odpowiedniej częstotliwości. Dowodem tego efekty podchodów. Ile razy przydybaliśmy pławiącego się w wodzie nieruchawca, tyle razy piszczał, aż miło było słuchać. Najpiękniejszy, bo najwyższy ton wydawały z siebie samice, ale samce przy dobrej woli z obu stron też można by przeszkolić.

Jedyną ich wadą to ta, że nie potrafią pływać. Przy lada fali krztuszą się, wymachują tymi swoimi niewykształconymi w pełni narządami, a już całkowite zanurzenie oznacza dla nich katastrofę. Na ostatnim posiedzeniu Rady ten problem był szeroko omawiany. Powołując

się na kilka wypadków uratowania życia nieruchawców - bodajże w ten sposób zaskarbiliśmy sobie ich sympatię, że nie powiem zaufanie - przewodniczący apelował o roztoczenie nad nimi szczególnej opieki. Jak on to sobie wyobraża, nie mam pojęcia, nieruchawce bowiem są nadzwyczaj płochliwe, ale jestem za. W końcu oni także wyratowali naszych z niejednej opresji, a nawiasem mówiąc przyda nam się sojusznik, nawet taki, zamieszkujący te okropne, wysuszone okolice.

Większość była podobnego zdania. Wprawdzie część zgłosiła drobne obiekcje dotyczące nazbyt intensywnej eksploatacji przez nieruchawce oceanicznych zasobów surowcowych, ale po co dzielić włos na czworo? W razie kryzysu wystarczy przecież rozpuścić lody obu biegunów i natychmiast odpadnie konkurencja. Chyba że przyzwyczają się do życia w wodzie.

Nic jednak na to nie wskazuje. Zbyt dobrze czują się na lądzie. Śpią tam, jedzą, pracują, nawet rozmnażają się. Kiedyś podpatrzyliśmy z Ijjiją jedną parę w okresie tarła. Zresztą nie podobna tu mówić o konkretnym okresie, nieruchawce nie trzymają się określonych terminów i wbrew nazwie są wówczas nadzwyczaj ruchowe. Wyglądali bardzo pociesznie i robili to tylko we dwójkę, chociaż nie przypuszczam, żeby celowo oddalili się od innych osobników, bo po co? Widocznie tak im wypadło. Potem próbowaliśmy w stadzie naśladować tę parę, ale nic z tego nie wyszło. Na domiar złego strażnicy zaalarmowali nas, bo w sąsiednim akwenu zjawiała się orka - bydlę wyjątkowo ogromne i żarłoczne. Należało czym prędzej przygotować obronę. Ukryliśmy samice z młodymi w niszy przybrzeżnej, a sami wysunęliśmy się do przodu. I nagle alarm został odwołany. Nieruchawce przybyli z odsieczą. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem tak wielkie i smukłe koryto. Orka miotła się obok, a z jej grzbietu sterczały trzy stalowe pręty głęboko zatopione w ciele.

Krażyłem dookoła i usiłowałem rozszyfrować mentalność nieruchawców. Z jednej strony sprzątali nam sprzed nosa pożywienie, podobno nawet mącidłami - to teoria Jiiiije, z drugiej dbali o nasze bezpieczeństwo bardziej niż o własne - bo wiadomo, czym się może skończyć kąpiel nieruchawca w morzu. Jak dziś pamiętam nauki profesora Iiiiiju: „Nie pozwolić umrzeć - mawiał - i nie dać żyć, oto dewiza nieruchawców”.

Zbyt wielkim pesymistą, jak na mój gust, był ten prawie 30-letni podówczas starszek. Dość obejrzeć swawolące na brzegu nieruchawce, by nabrać przekonania, że jeżeli już coś knują, to nie przeciw nam. Najlepszym dowodem relacja Jjiiii, który blisko rok przebywał razem z nimi. Trzymali go w zamkniętym pomieszczeniu, pieścili, chuchali, karmili, nawet ryzykowali wejście do basenu. Żeby w jakiś sposób okazać im wdzięczność, wyskakiwał z wody, a oni aż zamierali z zachwytu i tłukli w te swoje do niczego nie podobne

pletwy. Tak się spał i zdeprawował na ich utrzymaniu, że po powrocie musiał się na nowo uczyć życia w stadzie. Zapomniał nawet, jak się poluje.

Mimo to postępowanie ich bywa niekiedy co najmniej zastanawiające. Nasi naukowcy od lat przeprowadzają badania tego gatunku, ale ze, względu na specyfikę środowiska, w którym zamieszkuje, i na nasze ograniczone możliwości - są to przeważnie testy na inteligencję. Ostatnio cały świat podwodny zbulwersowała teoria stada naukowców twierdzących, że pochodzimy od nieruchawców. Nie obyło się bez protestów.

Oho, Iijjo i Jijiu dają mi znaki, że nieruchawce wyruszyli na morze z mąidłami i namęcili odpowiednio. Jeżeli dobrze rozbełtali wodę, to nim muł opadnie, do obiadu będzie można pobawić się w gonitwę.